

SIECI

**NOWI DOWÓDCY NA NOWĄ FAZĘ WOJNY
MAREK BUDZISZ
O ZMIANACH KADROWYCH
W UKRAIŃSKIEJ ARMII**

**UJAWNIAMY
TAKIEJ ZACHŁANNOŚCI JESZCZE
NIE BYŁO. JAK NOWA WŁADZA
RZUCIŁA SIĘ NA SPÓŁKI**

**ZDROWIE I POLITYKA.
CZY PREZYDENT BIDEN
JESZCZE OGARNIA
RZECZYWISTOŚĆ?**

**LUKSUSOWE
PENSJONATY
W HISZPANII
DLA IMIGRANTÓW**

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

8 (586) 2024
19-25 lutego 2024

CENA: 10,90 zł
(w tym 8% VAT)

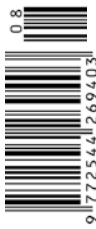
SIECI

TYLKO U NAS

PLAN PiS: ODBIĆ UNIE, POMOC TRUMPOWI

**MIMO UTRATY WŁADZY W POLSCE
FORMACJA JAROSŁAWA KACZYŃSKIEGO
ROZPOCZYNA ZASKAKUJĄCĄ OFENSYWĘ ZAGRANICZNĄ**

INDKS 287393 ISSN: 2544-2694



9 772544 269403

polsat box 

plus 

Telewizja Polsat Box z Disney+ + Światłowód Plusa

19 **zł**
/mies.

przez pierwszy rok po rabatach



Pobierz ulotkę

Telewizja Pakiet S – 55 kanałów z Disney+.
Światłowód S – do 300 Mb/s.

Od 13. mies. 107,99 zł/mies. z rabatami,
od 25. mies. 136,99 zł/mies. z rabatem.

Oferta dotyczy wybranych wariantów ofert dla nowych Klientów, którzy łącznie kupią ofertę internetu stacjonarnego Plusa i telewizji Polsat Box z pakietem podstawowym S i pakietem dodatkowym Disney+ z umowami na okres podstawowy 24 mies. **Internet stacjonarny S** do 300 Mb/s z abonamentem przez pierwszych 12. mies. za 19 zł/mies. z rabatami za: e-fakturę 10 zł, smartDOM 9 zł i specjalnym 21 zł. Od 13. do 24. mies. za 40 zł/mies., z rabatami za: e-fakturę 10 zł i smartDOM 9 zł. Od 25. mies. za 59 zł/mies. z rabatem za e-fakturę 10 zł. Szczegóły w Regulaminie Promocji z grupy ofert „Plus Internet Stacjonarny – oferta łączona” na plus.pl. **Telewizja satelitarna/kablowa IPTV** z pakietem S i pakietem dodatkowym Disney+ przez pierwszych 12 miesięcy bez opłat (dotyczy tylko pakietu S z pakietem dodatkowym Disney+ i nie obejmuje innych pakietów dodatkowych, opłaty jednorazowej za aktywację dekodera ani opłat za internet), od 13. do 24. mies. od 67,99 zł/mies. Od 25. mies. od 77,99 zł/mies. Technologia kablowa IPTV działa z internetem stacjonarnym Plusa (min. prędkość 8 Mb/s dla kanałów HD i 25 Mb/s dla kanałów 4K na dekoder). Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie na pilsatbox.pl **Warunkiem skorzystania** z Rabatu jest zachowanie warunków programu smartDOM i zgoda na przekazywanie danych pomiędzy Cyfrowym Polsatem S.A. a Polkomtel Sp. z o.o. Szczegóły w Regulaminie „smartDOM 5 – Telewizja, Internet, Telefon” na pilsatbox.pl i plus.pl. Oferta ważna na dzień 14.02.2024 r.

Naród błaga o przyszłość

Czy tylko ja dostrzegam absurd tej sytuacji? Od wyboru rządu 13 grudnia trwa narodowe błaganie władzy, by ta nie hamowała rozwoju Polski. Wszyscy jak pieski stoimy na dwóch łapkach przy nogach premiera Rzeczypospolitej Polskiej Donalda Tuska i zbiorowo odprawiamy błagania, żeby:

- nie hamował rozwoju kraju przez zniszczenie projektu Centralnego Portu Komunikacyjnego,
- nie blokował rozbudowy portów morskich i budowy dróg morskich na rzekach,
- nie zatrzymywał niezbędnych inwestycji w elektrownie atomowe,
- nie demotował rozbudowy armii, gardłowej wobec rosnącego zagrożenia napaścią,
- nie oddawał za darmo sprawy reparacji wojennych za niemieckie zbrodnie z czasów II wojny światowej,
- nie wyprzedawał tych resztek majątku narodowego, które ocalały, a które zostały pomnożone i rozwinięte za czasów rządów Zjednoczonej Prawicy.

I to nie wszystkie nasze błaganie.

Notujemy tu pewne sukcesy, zwłaszcza dużą falę wsparcia dla CPK, ale i porażki, jak choćby hold berliński, zdejmujący z Niemiec wszelką presję. Mobilizujemy się wokół tych tematów, spieramy się o to, jaki rodzaj argumentacji trafi do umysłu, a jaki do serca władcy, choć istnienie tego ostatniego organu wcale nie jest pewne.

Nawet członkowie koalicji dającej panu Tuskowi władzę biorą szeroko udział w tych naszych działaniach. Tam, w parlamencie, głosują za powołaniem na stanowiska ludzi, którzy mają ukatrupić skokowy postęp w jakości transportu publicznego, a w mediach martwią się o losy tych projektów, prezentują trafne argumenty, czasem nawet polemizują z przeciwnikami polskiego rozwoju. Naprawdę ciekawe to debaty.

W Sejmie otwarcie się plotkuje, że wszystko to tylko teatr – podobno jednak z Niemcami hamowanie dogadane, załatwione, opłacone. Bo przecież to szybki rozwój naszego państwa, w wielu obszarach wykraczający poza marzenia, sprawił, że zafundowano nam tu, nad Wisłą, coś w rodzaju kolorowej rewolucji i obalono najlepszy rząd ostatnich trzech dekad.

I tak biegają kolejne dni. Lista zagrożonych spraw jest długa. Wszystko, co obóz premiera Jarosława Kaczyń-

skiego wypracował, zaplanował, rozpędził, ma wszak iść pod nóż. Nie robi na nas wrażenia nawet ostry ruch ze ścięciem z dnia na dzień projektu budowy 100 obwodnic. Mieszkańcy dotknięci tą decyzją miejscowości, często głosujący na serduszka i trzecie drogi, dziś mogą pisać na Berdyczów. Podobnie posłowie czwórkoalicyj, wybrani z tych okręgów. Tak samo z zapowiedzią przycięcia programu rozwoju kolei – znów słyszymy, że przede wszystkim nie ma pieniędzy oraz że inwestycja się nie zwróci, bo będzie zbyt mało pasażerów. Tak jakby działania państwa w dziedzinie infrastruktury nie miały głębszego, prorozwojowego sensu.

Mimo to błagamy, skomlemy, prosimy. Piszemy apele, podajemy dalej, lajkujemy.

Władca słucha uważnie – czasem zmarszczy brwi, niekiedy mrugnie okiem, często bez mrugnienia okiem mija się z prawdą, by za chwilę jednak do prawdy zbliżyć się na 0,5 m. Z wosku więcej wywróżysz niż z tych wygibasów, bo przecież fakty są bezdyskusyjne: wnioski o finansowanie nie są składane, terminy przepadają, do władz poszczególnych instytucji odpowiedzialnych za projekty wchodzi ich zażarci przeciwnicy, opinię publiczną epatuje się zarobkami prezesów i specjalistów. Ma wierzyć, że ci, którzy weszli, by likwidować, pracują za darmo.

Widział kto, by zbudował cokolwiek człowiek, który zbudować nie chce? Człowiek, który każde większe przedsięwzięcie opatry słowem „zadęcie”, a potem dorzuci lekceważąco: „romantyzm”? Albo i „Bizancjum”?

Jak doszliśmy do tego momentu? Jak to się stało?

Za czym głosowali Polacy? Są tak niemądrzy czy tak ich oszukano? Chcieli projektów pi-sowskich bez PiS czy może wszystko

im jedno? A może nie rozumieli, że wielkie projekty i ambicje godne naszego położenia oraz naszego potencjału nie były jakimś przypadkiem, PR, sztuczką, ale wynikały z myślenia patriotycznego obozu niepodległościowego, że poza nim są w istocie niemożliwe?

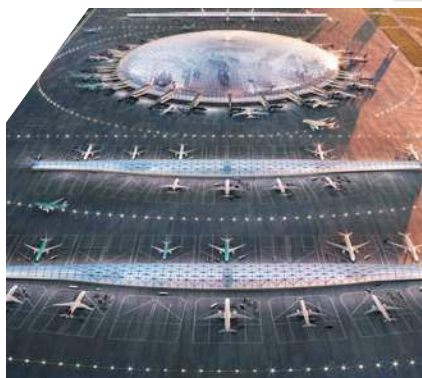
Chcą rozwoju narodo-wego realizowanego przez wierne sługi Berlina? Chcą skutecznej konkurencji z Zachodem, stawiając na czele człowieka, który tam się tylko kłania?

Narodowa schizofrenia? Wielkie oszustwo?

Czy tylko ja widzę absurd tej sytuacji?

Michał Karnowski





32

Hamulcowy Tusk
Konrad Kołodziejcki



35

Z Magdaleną Szefernaker
rozmawia Dorota Łosiewicz



45

Inwazja traktorów
Jan Rokita

NA POCZĄTEK

- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 LEKCJE PANI BASI**
Krzysztof Feusette
- 9 PAULINA WALECZNA**
Dorota Łosiewicz
- 10 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejcki
- 12 PRYZYWCZAJAM SIĘ DO STAROŚCI...**
Jan Pietrzak
- 12 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 13 PROSKRYPCYJNA KULTURA**
Bronisław Wildstein
- 14 WALIZKA MARCINA SKABY**
Michał Korsun
- 16 OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 17 INŻYNIERIA PRZYMUSOWEJ MIGRACJI**
Marta Kaczyńska-Zielińska

TEMAT TYGODNIA

- 20 Z DOMINIEM TARCZYŃSKIM**
rozmawia Michał Karnowski
- 24 WOJUJĄCY Z AMERYKĄ**
Stanisław Janecki

KRAJ

- 28 JAK ONI ODPARTYJNIAJĄ**
Marek Pyza
- 32 HAMULCOWY TUSK**
Konrad Kołodziejcki
- 35 Z MAGDALENĄ SZEFERNAKER**
rozmawia Dorota Łosiewicz

WOJNA ROSJI Z UKRAINĄ

- 38 NOWI DOWÓDCY NA NOWĄ FAZĘ WOJNY**
Marek Budzisz
- 41 Z PROF. HENRYKIEM GŁĘBOCKIM**
rozmawia Jakub Augustyn Maciejewski

ŚWIAT

- 45 INWAZJA TRAKTORZYSTÓW**
Jan Rokita
- 48 WOJSKO W OPARACH ABSURDU**
Aleksandra Rybińska

50 PREZYDENT BIDEN I STANY
UMYSŁOWE AMERYKI

Dariusz Matuszak

53 NIELEGALNY IMIGRANT
W LUKSUSACH

Małgorzata Wołczyk

OPINIE

56 SKĄD SIĘ BIORĄ ELITY?

Grzegorz Górny

59 Z KS. TADEUSZEM BRONAKOWSKIM

rozmawia Goran Andrijanić

62 PIONKI I FIGURY CARA

Artur Kołęda

DODATEK PFN

65 I LOVE POLAND

– z miłości do Polski

SIECI KULTURY

69 ANATOMIA SUKCESU

Jolanta Gajda-Zadworna

71 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Piotr Zaremba

72 GNOJÓWKĄ ALBO WOJNĄ

Robert Tekieli

73 WOJNA CYWILIZACJI

Robert Tekieli

74 KOKTAJL KULTURALNO-POLITYCZNY

Maciej Walaszczyk

PODRÓŻE

78 MOJE SZLAKI: WYSPA
NA KRAŃCU ŚWIATA

Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

79 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM

Anna Monicka, Przemysław Barszcz

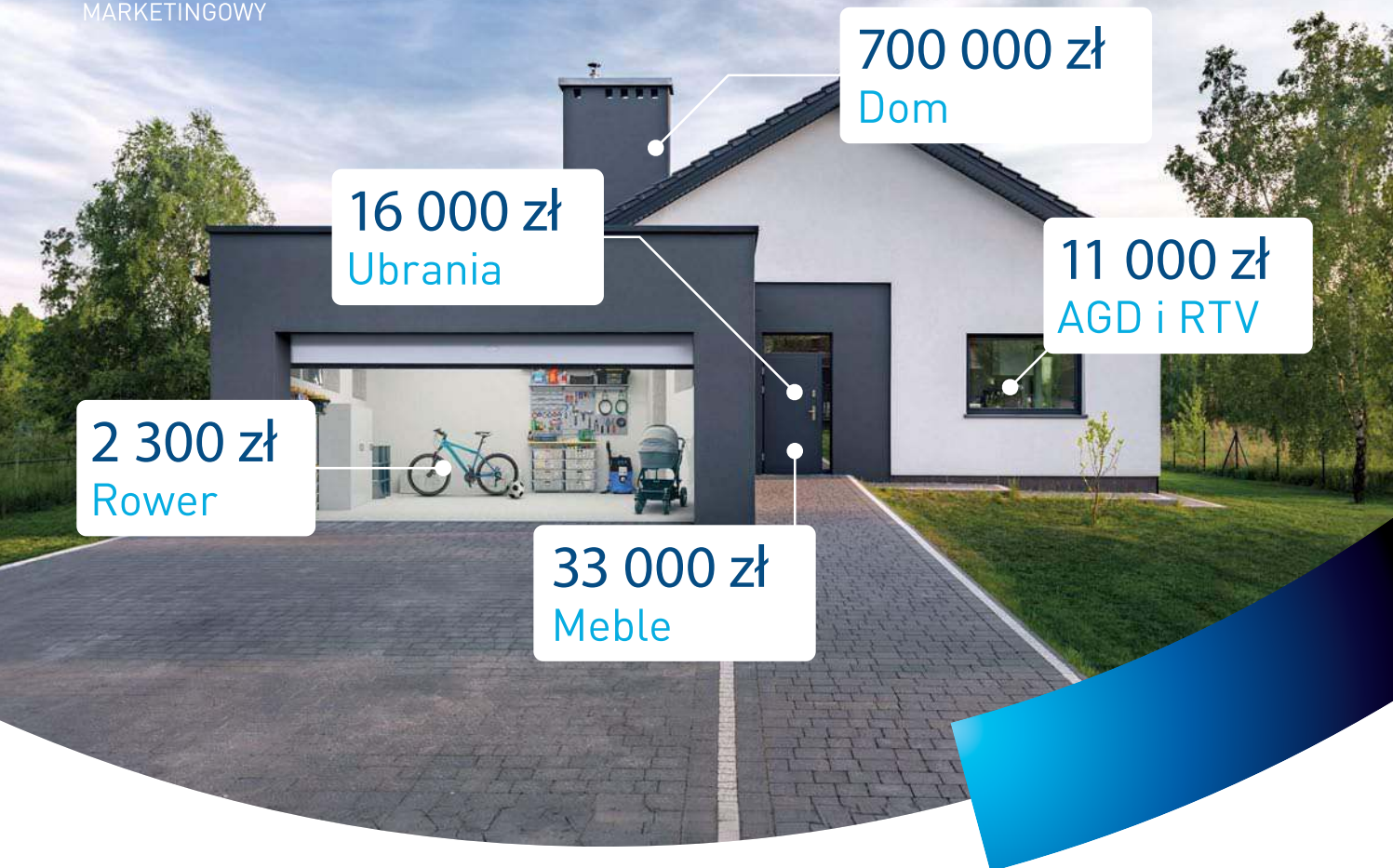
NA KONIEC

81 FESTIWAL LESZCZYNOWY

Leszek Długosz

82 OD PAROBKA DO PAROBKA

Katarzyna i Andrzej Zybortowiczowie



Ubezpiecz więcej niż cztery ściany

Oszacuj realną wartość domu i wyposażenia,
aby otrzymać odpowiednie odszkodowanie
w razie szkody.

Dowiedz się więcej
u **agenta**, w **oddziale**, w **mojePZU**
lub pod numerem **600 600 601**
(Opłata zgodna z taryfą operatora)



Zakładem ubezpieczeń jest PZU SA. Materiał nie stanowi oferty w rozumieniu art. 66 kodeksu cywilnego. Szczegółowe informacje o zakresie ubezpieczenia, w tym o wyłączeniach i ograniczeniach odpowiedzialności, znajdziesz w aktualnych ogólnych warunkach ubezpieczenia PZU Dom dostępnych na pzu.pl, w naszych oddziałach i u naszych agentów. Prezentowane wartości wyposażenia są przykładowe, mają jedynie informacyjny charakter i są każdorazowo określone indywidualnie.

Sygnalista nadaje

Donald Tusk ogłosił w Berlinie, że „w sensie formalnoprawnym kwestia reparacji jest zamknięta od wielu lat”. „Bardzo bym chciał, by ta refleksja historyczna i decyzje, które mogłyby nas usatysfakcjonować, żeby one służyły przyszłości, wspólnemu bezpieczeństwu. I ja uważam – podejrzewam, że kanclerz może mieć tu inne zdanie – uważam, że Niemcy mają tutaj coś do zrobienia”. Padło dużo okropnych słów, ale w sensie prawnym nic się nie zmieniło. Niepodległa Polska kiedyś wróci do tej kwestii.

Szef MSZ **Radosław Sikorski** cieszy się z obrotu sprawy: „Niemcy przyznają, że mają dług moralny wobec Polski. Zabiegamy o to, żeby to poczucie winy znalazło swój materialny wyraz. Ponieważ przez osiem lat PiS nic nie załatwiło, to uważamy, że niech teraz to Niemcy wymyślą, jak przywrócić ład moralny, przywrócić Polakom poczucie, że Niemcom jest przykro i chcą w tej sprawie coś zrobić” – mówił w neoTVP. Ochłapów nie chcemy i nie przyjmujemy. Tylko poważne odniesienie się do wystawionego rachunku może zamknąć sprawę.

Koalicja 13 grudnia niemal codziennie potwierdza, że jej zasadniczym celem jest przygaszenie rozwoju Polski. Jak się okazuje, także program rozbudowy połączeń kolejowych jest zbyt ambitny jak na gusty ekipy Tuska. Wiceminister infrastruktury Piotr Małepczak mówi o „pewnej rewizji” Krajowego Programu Kolejowego, a także programu Kolej Plus. „Z bardzo dużym prawdopodobieństwem będziemy rezygnować z części zadań – szczególnie tych, które są związane z budową zupełnie nowych linii kolejowych” – zapo-

wiada, wskazując na „rosnące koszty tych inwestycji”. To jak prawo fizyki: gdy rządzi Tusk, nic się w Polsce nie opłaca.

Obwodnic też nie będzie. Wiceminister infrastruktury Paweł Gancarz stwierdza: „Po weryfikacji kosztów okazało się, że przewidziane na realizację programu »stu obwodnic« środki są niewystarczające”. I dalej: „Często decyzje co do dużych inwestycji infrastrukturalnych były dyktowane decyzjami politycznymi”. Rzeczywiście, decyzja o rozwijaniu Polski miała charakter polityczny. Konkretnie, patriotyczny.

Zwrot w tył także w sferze kultury. „Nie będziemy budować Polskiej Opery Królewskiej. To jest decyzja podjęta. Głęboko przeanalizowana ze służbami konserwatorskimi, z Łazienkami Królewskimi, przeanalizowana ekonomicznie. Jest to inwestycja na skalę i na miarę potrzeb naszych czasów, a my takich potrzeb nie przewidujemy. Nie mamy takich potrzeb” – ogłosił wiceszef resortu kultury. Bardzo szczerze: „Nie mamy takich potrzeb”. Rzeczywiście, nie mają.

Głos w tej sprawie zabrał społeczny doradca prezydenta Tadeusz Deszkiewicz. „Koalicja 13 grudnia, popatrzcie, co niszczy. Traktowanie Polaków jak idiotów bez głębszych potrzeb to podstawa waszej ideologii. Bo narodem bez potrzeb kulturalnych łatwiej sterować! W czasach zaborów Polak miał umieć liczyć do 100, podpisać się i być spolegliwym. Czy to jest wasze dziedzictwo narodowe? Polacy, obudźcie się, bo zostaniemy wasalami Europy!” – ocenił Deszkiewicz. Kto wie, może tym razem Polska naprawdę się skończy?

Lech Wałęsa ostrzega Amerykanów przed wyborem Trumpa.

„Ponieważ nie ma rozwiązań, to politycy, demagodzy dochodzą do głosu.

My kiepsko wybraliśmy kiedyś i u was też coś tu widzę. Dyskutujcie szybko, żebyście nie popełnili błędu podobnego jak Polacy. W sprawach globalnych powinny mieć rozwiązania Stany jak w kontynentalnej Europie Niemcy, Francja, Włochy”. Jak zwykle niejasno i jak zwykle błędnie. Niedoskonały Trump to jednak nadzieja na jakąś korektę lewicowego szaleństwa, które na całym świecie łączy dziś jedno: nienawiść do własnej cywilizacji.

Posłanki rządzącej większości rzuciły się w tany w budynku Sejmu. Akcję zorganizował Parlamentarny Zespół Praw Kobiet w ramach protestu przeciwko przemocy wobec kobiet. „ZATAŃCZ – PROTESTUJ przeciwko przemocy, bo wspólny taniec wyzwala energię, bo TYLKO »TAK« OZNACZA ZGODĘ!» – tłumaczyła sens tańca poseł Wanda Nowicka, ale chyba nie wytłumaczyła. Wszystko w Środę Popielcową, czego panie posłanki pewnie nawet nie wiedziały. W każdym razie blazenada narasta. Dobrze, że przynajmniej tak jasno to widać.

Wydarzenie skomentowała była premier Beata Szydło: „W polskim Sejmie tańce, a w Parlamencie Europejskim pakt migracyjny. Jeżeli nie zgodzimy się na przyjęcie nielegalnych migrantów, będziemy musieli płacić za każdego bardzo duże kwoty kary. Tusk mówi, że nie ma pieniędzy w budżecie. Nie ma na CPK, na elektrownię jądrową, czyli można z tego wysnuć, że pewnie nie ma też na te kary. Co to oznacza? Oznacza to tyle, że nielegalni migranci będą już niedługo trafiać do Polski”. Przebudzenie z tego koszmarnego snu będzie bolesne.

Ministerstwo Edukacji Narodowej planuje okroić listę lektur szkolnych. Co miałyby zniknąć z podstawy programowej? Według MEN to m.in. opisy, zwyczaje i polowanie z „Pana Tadeusza”, „Reduta Ordoña”, a także „Quo Vadis” Sienkiewicza. „W pustyni i w puszczach” miałyby być czytane we fragmentach. Z listy miałyby też zniknąć „Syzyfowe prace” Żeromskiego, a także poezja Cypriana Kamila Norwida i Jana Lechonia. To charakterystyczne, że rządząca ekipa niemal nie ukrywa, że im Polacy mniej wykształceni, tym więcej głosów dostanie.

Rzeź pamięci ma objąć także historię i inne przedmioty. **Mateusz Morawiecki** komentuje: „Proponowane zmiany w nauczaniu np. matematyki wykreślają fundamenty niezbędne do zrozumienia, jak funkcjonuje chociażby sztuczna inteligencja. Mówimy tu także o podstawach ekonomii i socjologii. Do tego lista lektur, którą przycięto z subtelnością piły mechanicznej. Kolejne pytania: dlaczego w nowym kanonie nie znalazło się miejsce dla ani jednego żyjącego poety? Gdzie w nowej podstawie wiedza o polskich miejscach kaźni? Czy wymazywanie wielokulturowego dziedzictwa Rzeczypospolitej to droga, którą chcemy iść?”. Nie miejmy złudzeń: dla tej ekipy im mniej, tym lepiej. Cele wiadome.

Prof. Andrzej Waśko, literaturoznawca, redaktor naczelny dwumiesięcznika „ARCANUM”, doradca prezydenta Andrzeja Dudy, tak widzi cele tej operacji: „Chodzi o to, żeby ludzie nie czytali za dużo, bo jeszcze zaczęliby zadawać pytania.



Stara lewica marksistowska w XX w. publikowała w tanich wydaniach serie klasyki światowej, żeby klasa robotnicza mogła uczestniczyć w kulturze wysokiej i skończyło się to narodzinami Solidarności oraz załamaniem projektu komunistycznego. Nowa lewica, ucząca się bardziej od Gramsciego niż od Marksa, nie chce popełniać tego błędu i chce pozostawić swój proletariatus niedouczonym”. Kto wie, może i w tym kryje się kolejny śmiertelny błąd?

Minister kultury **Bartłomiej Sienkiewicz** wstrzymał wypłatę środków na budowę i wystawę stałą Muzeum Pamięci i Tożsamości im. św. Jana Pawła II. Tłumaczył się brakiem pieniędzy, ale nie tylko: „Niezależnie od powodów prawnych mamy do czynienia z czymś, co jest oczywiste, tzn. pod bardzo szczytnymi nazwami, pod pięknymi nazwiskami historycznych postaci stworzył się system – w ciągu tych dwóch miesięcy – gwałtownego wypychania publicznych pieniędzy do swoich”. Jak wstrzyma dotacje m.in. dla środowisk LGBT, to może uwierzmy.

Czy gwiazda Polsatu **Dorota Gawryluk** wystartuje w wyborach prezydenckich? „Baner programu »Lepsza Polska« wygląda jak plakat wyborczy, bo jest slogan plus moja twarz i mam podejrzenie, że właśnie to zestawienie legło u podstaw plotki: oto Gawryluk ma hasło »Lepsza Polska«! Czyli będę startować” – mówiła w rozmowie z dziennikarzem „Gazety Wyborczej”. Ale czy start jest możliwy? „Nie. Chcę budować lepszą Polskę, ale w Polsce, porządnie wykonując swoją dziennikarską pracę. Te pańskie pytania o politykę robią się niestosowne” – stwierdziła dziennikarka. Cóż, gdyby Dorota Gawryluk powiedziała jednak „tak”, mogłaby sporo namieszać.

Aktor **Artur Barciś** zachwyca się Polską po wyborach: „Tak, czuje się ten oddech. Przede wszystkim wiemy, że idziemy znowu we właściwą stronę, że to nie jest jakaś czarna uliczka ksenofobii i nietolerancji, tylko idziemy w kierunku Europy, czyli tego świata, do którego ja, jako młody człowiek, bardzo tęskniłem – wtedy chcieliśmy być Zachodem. Mam nadzieję, że do tego Zachodu z powrotem, znowu dołączymy”. Oddech czuć, ale czy na pewno jest to oddech świeży?

Aktor opowiedział także o przemianie, która miała się dokonać u jego mamy. „Moja 91-letnia mama, która oglądała wyłącznie Telewizję Polską i zawsze mnie krytykowała za to, że ja nie popierałem wiadomej partii, teraz nagle mi powiedziała: »Wiesz, wiele zrozumiałam«. Ja mówię: »No nareszcie!«. Trudno się nie zgodzić: w ostatnich tygodniach cyniczna i jednocześnie brutalna natura nowej władzy wybrzmiała z całą mocą.

Lekcje pani Basi



KRZYSZTOF FEUSETTE

– Dzień dobry, zapewne wiecie, kim jestem. Pobawimy się dzisiaj w szkołę. A zatem – czego nie można dowiedzieć się na lekcji? Kto odpowie? Proszę bardzo, może chłopiec z pierwszego rzędu?

– Ja? Ja pamiętam tylko, jak musiałam karmnik robić. Karmnik za karmnikiem, ptak za ptakiem, słonina za słoniną, i tak co zimą, przepraszam, niedobrze mi się robi, jak słyszę o dokarmianiu.

– Ojej, Kasiu, nie poznałam cię. A po co był ten karmnik?

– Nie wiem. Pani twierdziła, że dzieci nie można obciążać wiedzą, gdyż im mniej będą wiedziały, tym lepiej, bo głupi może więcej. „Na przykład wejść do rządu” – mówiła.

– A kto ci kazał akurat karmnik robić?

– Rodzice.

– Kto im pozwolił?

– No, prawdopodobnie, matka ojcu, a on jej.

– Rozumiem. W takim razie powinnaś dostać odszkodowanie. No, dobrze, skoro pożartowaliśmy już sobie z panią wice-minister, pragnę przywitać wszystkich państwa w skromnych, nie tylko intelektualnie, progach resortu edukacji, z której od jutra wypadną, ostatecznie i na zawsze, np. dzieła pradiada ministra kultury. Nie będzie nepotyzmu w moim resorcie. Takie „Quo Vadis”, zwane „Dokąd idziesz”. A co cię to obchodzi, chłopie? W przyszłości wstawimy w to miejsce „Szczerze” pana premiera...

– ...Rady Ministrów.

– Kaśka, kiedy ty zrozumiesz, że albo „premier” albo „prezes rady ministrów”? Ja cię wzięłam na wice, a ty takie rzeczy gadasz? Aha, żebym nie zapomniała, czy są pytania? Proszę bardzo, może chłopiec z pierwszego rzędu, o, sorry, znowu cię nie poznałam...

– Chciałam tylko dodać, dla mediów, że my nie zabraniamy zadawania zadań...

– Jak nie, jak tak?

– No, przecież nie możemy. To jest dobrowolne.

– Jakie, k..., dobrowolne, jak mają nie zadawać?

– Jak – nie zadawać? Mogą zadawać, ale nie mogą oceniać. To znaczy, mogą sprawdzić, czy ktoś coś przeczytał, ale co to było, to nie. Rozumiesz?

– Ja czy rozumiem? A kim ty, Staszek, jesteś, żebyś mnie oceniała? Z parytetów do resortu weszłaś i stroisz się w piórka?

– Ja? W piórka? Ja z karmnikami walczyłam, jak ty z Zandbergiem chodziłaś!

– G...wno cię obchodzi, z kim chodziłam! Przepraszam państwa bardzo... I nie o karmniki chodzi, ale o wyklejanki!

– Wyklejanek też odmawiałam! I przestań się wydzierać! Znalazła się ministra! Na razie rozporządzenia nie ma.

– Bo nie podpisałam. Ja – nie ty.

– Ja bym nie podpisała. Zwłaszcza, że większość nie chce.

– To się powie, że karmniki są niebezpieczne. Że pisowskie ptaki dostawały tam nieekologiczną żywność. Mogę coś takiego zamówić u Olgi Tokarczuk, np. powieść o dzieciach,

które obcinały sobie palce przy odrabianiu lekcji. Dopiszemy to do lektur, bo akurat siedzę i czyszczę listę...

– Z pisowców?

– Niekoniecznie. Z Polaków, ale takich, wiesz, że dla nich polskość to nie jest nie-normalność. A po co komuś dzisiaj w Europie jakiś Pilecki czy rzeź wołyńska? Mic-

kiewicz, Słowacki, Żeromski, Prus czy Jan Paweł II naprawdę nie są niezbędni. Więc siedzę i tnę.

– Nie ma co się załamywać, różne rzeczy los nam rzuca na barki...

– Ale ja ich tnę, nie siebie i właśnie zupełnie bez żalu. Urządziłabym palenie książek przed resortem, ale Donald się waha, bo mówi, że to chyba gdzieś było. Podsumowując, można zadawać, ale nie oceniać.

Chyba że uczeń zechce. Wtedy podpis rodziców, że dziecko wie, co robi i podpis dyrekcji, że ta też ma świadomość, czym grozi konfrontacja ucznia z oceną.

– Natomiast zakazu nie ma.

– No, nie wytrzymam. Kaśka, czy ty słyszysz, co ja do ciebie mówię?!

– A co z lekturami?

– Nie można czytać. To znaczy można, ale nie można oceniać. Lepiej nauczyć dzieci jeść nożem i widelcem, parkować rower albo sikać

na siedząco. Bo kiedyś to się może przydać.

– Dokładnie. A jakby dzieci były mądre, tak same z siebie, to by ich nie trzeba uczyć, prawda?

– Otóż to. Zadania domowe to jest dzisiaj główny powód awantur rodzinnych. Każde, nawet te nie szkolne. Np. dziecko ma za zadanie posprzątać w domu po jedzeniu, i co? Awantura gotowa. Inna sprawa, że jak nie ma rodziny, to nie ma konfliktów, ale wszystkiego naraz nie załatwimy.

– Ja też uważam, że podstawa programowa jest przeładowana. Czemu nie uczymy dzieci parkować samochodów pod hotelami? Dlaczego nie wiedzą, ile to jest, powiedzmy, reszta z lizaka, który, dajmy na to, kosztuje, no, powiedzmy, k..., jak to teraz policzyć, no, dajmy na to, dwa pięćdziesiąt, a on, znaczy to dziecko, daje mu, znaczy sprzedawcy, dwie monety po złotówce i jedną, no, nie wiem, trzydzieści groszów, groszy, sorry... To ile mu wyda?

– Jeszcze raz. Co on kupuje?

– Dziewczynka. Lizaka.

– A, widzisz? I tego się nie uczy.

– Szczerze? Ja bym w ogóle szkoły zamknęła. Jest internet, TikTok, jak ktoś chce czegoś się dowiedzieć, to może samodzielnie. Budynki szkolne można przerobić na kluby albo dyskoteki, wielopiętrowe, ty, Baśka, albo na dole sala fitness, w każdej szkole! Sauny, siłownie, baseny...

– Nie wiedziałam, że taka wysportowana jesteś. A co z przed-szkolami? No, nic, trzeba to jeszcze przemysleć. Jeżeli nie ma więcej pytań, dziękuję bardzo sobie, dziękuję pani wice-minister... Ale proszę mi nie przerywać, dobrze? Ja muszę jeszcze do wieczora wywalić praktycznie całego Norwida. A przecież się nie rozdwoję.

Uwagę opinii publicznej przykuwa ostatnio wzmożona działalność Pauliny Matysiak z partii Razem (rząd wsparła, choć do niego nie weszła), która niczym lwica bije się o budowę CPK i zapalem zaraża innych.

Pod koniec stycznia Paulina Matysiak dołączyła do parlamentarnego zespołu „Tak dla rozwoju. CPK – atom – porty”. Jego inicjatorem jest poseł PiS Marcin Horała. Posłanka wyjaśniła swoją decyzję wyborcom za pośrednictwem portalu X (d. Twitter). „Ja się zapisałam, bo oczywiste jest dla mnie, że Polska musi się rozwijać. A żeby to było możliwe, musimy postawić na rozwój transportu i naszej energetyki” – napisała Matysiak. Po niej do zespołu dołączyła Anna Maria Żukowska, szefowa klubu parlamentarnego Lewicy. Do udziału w pracach zespołu posłanka Matysiak zachęciła także Krzysztofa Bosaka z Konfederacji, a niektóre media ogłosiły, że piekło zamarzło, bo politycy z dwóch różnych światopoglądowo biegunów znaleźli porozumienie. „To chyba najlepsze 3 tity w historii polskiego X politycznego. Posłanka Razem bez problemu dogaduje się z posłem Konfederacji w sprawie, która jest ważna dla PL, bez względu na barwy polityczne” – komentował użytkownik platformy X po tej wymianie tweetów:

„Panie pośle, to może warto dołączyć do tej inicjatywy?” – zapytała Paulina Matysiak. „OK. Dołączę. Mam nadzieję, że w projekt zaangażuje się większa liczba posłów z różnych formacji, dając w ten sposób przykład, że możliwa jest dobra współpraca ponad podziałami” – odpowiedział jej wicemarszałek Sejmu Krzysztof Bosak. „Wspaniale. Bardzo się cieszę” – napisała posłanka. Do zespołu dołączył także Michał Wawer z Konfederacji.

Paulina Matysiak zaskoczyła także podczas debaty sejmowej, gdy pytała przedstawicieli rządu o przyszłość CPK. „Dla wielu to, że jeszcze nie rozpoczęły się żadne prace, nie została wbita przysłowiowa łopata w ziemię, oznacza, że nic nie zostało zrobione. To nieprawda. W spółce została wykonana ogromna praca przez ekspertów, fachowców, którzy myślą

Paulina waleczna

Ech, gdybyśmy mieli więcej takich posłów, którzy bez względu na różnice ideologiczne rozumieją, czym jest polska racja stanu



w propanistwowy sposób – mówiła. – Ja bym chciała, żebyśmy dzisiaj usłyszeli o tym, czy ten projekt będzie kontynuowany, bo to jest polska racja stanu, żeby nasz kraj mógł się rozwijać. To jest jedna istotna rzecz, która powinna nas na tej sali łączyć ponad podziałami” – mówiła z mównicy sejmowej Matysiak.

Na tym nie koniec zaskoczeń. Po Radzie Gabinetowej zaatakowała premiera rządu, który partia Razem przeciw wsparła. Na platformie X napisała tak: „Premier @donaltdusk powiedział dziś w Pałacu Prezydenckim o CPK: »Wszystkie dotychczasowe ekspertyzy stawiają pod znakiem zapytania całą inwestycję«. Skierowałam dziś po tych słowach do pana premiera interpelację. A o co pytałam: O jakich ekspertyzach mówił dokładnie Pan Premier w przytoczonej wypowiedzi? Proszę o przekazanie ich kopii. Kto zlecił powyższe ekspertyzy, kto je wykonał i kiedy? Proszę o podanie wszelkich informacji w tym zakresie. Jak powyższe ekspertyzy mają się do zapowiadanych audytów odnośnie do projektu CPK?”

Podobną orkę posłanka Matysiak urządziła Grzegorzowi Napieralskiemu z Koalicji Obywatelskiej w internetowym studiu „Super Expressu”. „Maciej Lasek pokazał wszystko bardzo dokładnie na tych karteczkach: kiedy zapadła decyzja, przegłosowana ustawa i nic się więcej nie wydarzyło. Oprócz tego, że ludzie zarabiali olbrzymie pieniądze, były dziwne ekspertyzy, były wysiedlenia ludzi za niegodne dla nich pieniądze, były konflikt” – mówił Napieralski.

Spokojna jak zawsze Paulina Matysiak anielskim tonem zapytała: „A ile było tych wywłaszczeń? Może pan powiedzieć, jest pan w stanie?”. Zaskoczony Napieralski odparł: „Nie, nie jestem, nie mam takich danych”. Na to pani poseł ze stoickim spokojem: „Żadna osoba jeszcze nie została wywłaszczona”. Na słowa Napieralskiego: „Ja rozumiem, że może tak być”, odpowiedziała: „To chyba nie warto mówić, że były wywłaszczone osoby, skoro jeszcze nikt nie został wywłaszczony”.

Ech, gdybyśmy mieli więcej takich posłów, którzy bez względu na różnice ideologiczne rozumieją, czym jest polska racja stanu, byłibyśmy w innym miejscu publicznej debaty. 

Dorota Losiewicz

Jaś Fasola kontra elektryki

Wielka Brytania 

Ekolodzy twierdzą, że Jaś Fasola jest odpowiedzialny za spadek zainteresowania Brytyjczyków autami elektrycznymi i zniszczenie ich „dobrej reputacji”. Tymi zarzutami zajęła się nawet komisja w Izbie Lordów.

„Jednym z najbardziej szkodliwych artykułów był jego komentarz opublikowany w »The Guardian« – oświadczyli aktywiści Zielonego Sojuszu, oskarżając komika Rowana Atkinsona o przyczynienie się do spadku sprzedaży elektryków w Wielkiej Brytanii. Spadek niewielki, z 16,6 proc. w 2022 r. do 16,5 proc. w 2023 r., jednak prognozy zapowiadały stały wzrost. Tym bardziej że premier Rishi Sunak zapowiedział wycofywanie do 2035 r. ze sprzedaży aut z silnikami spalinowymi.

Tymczasem we wspomnianym artykule aktor dowodził, że akumulatory półprzewodnikowe, wodorowe ogniwa paliwowe i paliwa syntetyczne stają się realną alternatywą dla milionów elektryków z szybko zużywającymi się i ciężkimi bateriami litowo-jonowymi. Atkinson jest nie tylko aktorem, lecz także inżynierem i znawcą motoryzacji. Był też jednym z pierwszych użytkowników aut z napędem elektrycznym na Wyspach. Oświadczył, że czuje się oszukany, a motoryzacja elektryczna nie jest panaceum na ochronę środowiska. Przedstawił przy tym całą gamę argumentów przeciwko używaniu akumulatorów litowo-jonowych. Wskazywał, że są one absurdalnie ciężkie, ich żywotność krótka, a podczas ich produkcji emisja gazów cieplarnianych jest prawie o 70 proc. wyższa niż w przypadku samochodów benzynowych.

Okazuje się, że gdyby pozostawić sprawę w rękach wolnego rynku, bez zakazów, nakazów, systemu rządowych zachęt i ograniczeń, samochody elektryczne nie miałyby szans w konkurencji z autami spalinowymi. Raport ujawniony w brytyjskiej Izbie Lordów pokazał bowiem rosnącą niechęć Brytyjczyków do pojazdów elektrycznych. Kierowcy twierdzą, że w ramach kampanii promocyjnych sprzedano im pewną iluzję, która teraz zderzyła się z rzeczywistością. Nie ma już zachęt do kupna elektryków, wzrosły koszty ubezpieczenia i przede wszystkim ładowania baterii. Raport wskazał też na drastyczny spadek wartości używanych pojazdów. Wartość dwuletniego elektrycznego Volkswagena zakupionego w 2021 r. po przejechaniu 24 tys. mil spadła z prawie 38 tys. funtów o połowę. Nic więc dziwnego, że entuzjastów takich pojazdów szybko ubywa. Jaś Fasola tym razem wcale nie żartował. 

Maciej Walaszczyk



Ryżowy sojusz

Podczas niedawnej wizyty w Wietnamie prezydent Filipin podpisał pięcioletnie porozumienie o dostawach ryżu po „konkurencyjnych i przystępnych cenach”. Ryż jest w krajach Azji Południowo-Wschodniej towarem strategicznym a Filipiny, obok Indonezji, jego największymi importerem.

Zdaniem komentatorów umowa ma nie tylko wymiar handlowy, lecz także strategiczny, gwarantuje bowiem Manili bezpieczeństwo żywnościowe. W związku z huraganem El Niño ubiegłoroczne zbiory ryżu na Filipinach były znacznie niższe niż zwykle, co efektem zmusiło władze kraju do importu przeszło 3 mln t tego zboża.

Relacje na azjatyckim rynku zostały dramatycznie zaburzone, gdy władze Indii, największego światowego eksportera

ryżu, ogłosiły czasowe embargo na jego eksport w związku z trudną sytuacją na rynku wewnętrznym. W efekcie Filipiny stanęły w obliczu groźby kryzysu żywnościowego, który mógłby doprowadzić do destabilizacji państwa.

Zdaniem komentatorów singapurskiego dziennika „The Straits Times” porozumienie osiągnięte w Wietnamie może być dowodem na rosnącą solidarność krajów regionu. I nie chodzi tylko o dostawy ryżu. Filipiny i Wietnam już od lat zmagają się z prowokacjami chińskiej straży przybrzeżnej na wodach Morza Południowochińskiego, co nadaje osiągniętemu porozumieniu zupełnie inny – geostrategiczny – wymiar.

Jesienią ub.r. władze Filipin, obawiając się niepokojów wywołanych deficytem taniej żywności, wprowadziły maksymalną cenę ryżu, co zostało bardzo źle przyjęte przez tamtejszych rolników i doprowadziło do zauważalnego spadku popularności prezydenta. W przypadku Filipin, gdzie jedna trzecia pracowników jest zatrudniona w rolnictwie, utrzymywanie limitów cenowych to bardzo ryzykowne posunięcie.

Porozumienie z Hanoi daje teraz Manili znacznie większe pole manewru, a jednocześnie wzmacnia więzi krajów zrzeszonych w Stowarzyszeniu Narodów Azji Południowo-Wschodniej (ASEAN), które razem mają większy potencjał, aby przeciwstawić się chińskiej presji. Ryż, który w Azji jest towarem o znaczeniu strategicznym, przyczynia się w ten sposób do budowy nowego układu sił. 

Marek Budzisz

Odgrzany spór

Gujana

Wenezuelski reżim gen. Nicolása Maduro znów gromadzi wojska na granicy z Gujaną. Tym razem pretekstem są poszukiwania ropy naftowej, które w spornym regionie Essequibo prowadzi koncern ExxonMobil.

Wzrost napięcia jest skutkiem roszczeń terytorialnych, które wenezuelski reżim zgłasza wobec sąsiedniej Gujany. Spór ciągnie się od początków XIX w., a jego przedmiotem jest zasobny w złoto i ropę naftową region Essequibo, który obejmuje aż dwie trzecie terytorium Gujany. Gdy w 1819 r. powstała niepodległa Wenezuela, sporny obszar kontrolowany był przez Brytyjczyków, którzy założyli swoją kolonię w Gujanie. Tarcia między Wenezuelą i Wielką Brytanią były coraz silniejsze i pod koniec XIX w. doprowadziły do zerwania stosunków dyplomatycznych pomiędzy obydwojoma państwami. Ostatecznie w 1899 r. doszło do międzynarodowego arbitrażu, który przyznał prawa do Essequibo Brytyjczykom. Jednak na początku lat 60. ub.w. Wenezuela odrzuciła arbitraż, twierdząc, że została do niego zmuszona. Sprawa jest obecnie rozpatrywana przez Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości.

Od chwili odzyskania przez Gujanę niepodległości w 1966 r., Wenezuela wielokrotnie odgrażała się sąsiadom. Gwałtowny wzrost napięcia nastąpił w grudniu 2023 r., gdy reżim gen. Maduro, nie mogąc sobie poradzić z katastrofalną sytuacją gospodarczą w kraju, zorganizował referendum w sprawie przyłączenia Essequibo do Wenezueli, po czym wysłał wojska na granicę z Gujaną. Wybuch wojny powstrzymała zdecydowana interwencja Brazylii oraz międzynarodowa mediacja.

Uspokojenie sytuacji okazało się jednak chwilowe. Reżim w Caracas sprzeciwia się bowiem odwiertom poszukiwawczym, które u wybrzeży Essequibo przygotował koncern naftowy ExxonMobil. Gen. Maduro uważa, że obcy kapitał chce zawłaszczyc tamtejsze złoża ropy i w odpowiedzi rozpoczął wielkie manewry wojskowe na granicy z Gujaną.

Władze Gujany podkreślają, że poszukiwania ropy są prowadzone na jej terytorium i sąsiednia Wenezuela nie ma w tej sprawie nic do powiedzenia. Z pomocą Gujanie pospieszyły Stany Zjednoczone, które zamierzają pilnie wzmocnić obronę przeciwlotniczą tego kraju. W sąsiedztwie Essequibo swoje wojska rozmieściła też Brazylia.

Celem tych działań jest powstrzymanie wybuchu kolejnego konfliktu zbrojnego, który narusza globalny porządek. Nie jest bowiem tajemnicą, że wenezuelski dyktator jest bliskim sprzymierzeńcem Władimira Putina. Nagłe zaostrzenie historycznego sporu w Ameryce Południowej nie wydaje się więc całkiem przypadkowe.

Konrad Kołodziejski

Nieoczekiwana rezygnacja

10 lutego prezydent Węgier Katalin Novák oficjalnie ustąpiła ze swojego urzędu. W ostatnim orędziu przyznała, że popełniła błąd, udzielając ulaskawienia mężczyźnie odsiadującemu wyrok za tuszowanie afery pedofilskiej. „Jako Węgierka oczekuję, że prezydent Węgier nie popełni żadnych błędów. Jeśli to zrobił, oczekiwałabym, że rozliczy się z nich i weźmie za nie odpowiedzialność. Nawet rezygnując z funkcji prezydenta Węgier” – powiedziała Novák.

Ulaskawienie, które stało się powodem ustąpienia, było jednym z 22 aktów łaski, których udzieliła prezydent Novák w kwietniu 2023 r. z okazji wizyty Franciszka w Budapeszcie. Dzięki niej na wolność wypuszczony został wicedyrektor ośrodka dla nieletnich w Bicske, nakłaniający swoich podopiecznych do składania fałszywych zeznań, aby oczyścić z zarzutów pedofilskich szefa tej placówki. Został za to skazany na 3 lata i 4 miesiące więzienia, jednak po ulaskawieniu opuścił zakład karny 1,5 roku przed końcem kary.

Oprócz prezydent do dymisji podała się również inna popularna polityk – Judit Varga, która jako minister sprawiedliwości zatwierdziła kontrowersyjne ulaskawienie, kontrasygnując tę decyzję. Podczas najbliższych wyborów do europarlamentu, które odbędą się w czerwcu, Varga miała otwierać listę kandydatów rządzącego Fideszu.

Ustąpienie obu pań zażegnało kryzys wizerunkowy, który dotknął obóz Viktora Orbána w związku z kontrowersyjnymi aktami łaski. Opozycja zaczęła bowiem podważać wiarygodność władz, które trzy lata temu przyjęły pakiet ustaw antypedofilskich. Niezależnie jednak od tego wzięcie na siebie całej winy oraz rezygnacja z najwyższego urzędu w państwie to przejaw poczucia odpowiedzialności, które byłoby nie do pomyślenia w wielu innych krajach Europy.

Grzegorz Górny

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Przyzwyczajam się do starości...



**Jan
Pietrzak**

Nic mi nie będzie oszczędzone. Któreś dziecko buszujące po internecie zauważyło notkę: „Ulubiony faszysta Kaczyńskiego”, w której jest mowa o mnie. Dziecko się lekko wystraszyło, a ja się smętnie uśmiechnąłem. Już to prze-rabiałem. Po sierpniu 1980 r., kiedy pieśń „Żeby Polska była Pol-ską” stała się niekwestionowanym hymnem Solidarności, organy tzw. bratnich partii: „Prawda”, „Rudé právo”, „Neues Deutschland” mocno potępiły polski nacjonalizm, szowinizm i faszyzm, zawarty jakoby w tym utworze. Współczuję prezesowi Kaczyńskiemu, że został wpłątany w tę nikczemną narrację. Ja już jestem przyzwyczajony do nienawistnych bredni na swój temat. Traktując je jako przykrą cenę satyrycznej profesji, uodporniłem się.

Powtarzam sobie sentencję, która pojawiła nam się w „roz-mówkach liryczno-prozaicznych” prowadzonych z Jonaszem Koftą w radiowej Trójce... „Nikt nam łatwego życia nie obiecywał i danej obietnicy dotrzymuje!” Było to w połowie lat 60. ub.w., ub. tysiąclecia, ub. ustroju.

Powoli przyzwyczajam się do starości. Żona nie przyjmuje tego do wiadomości, ale faktycznie w kwietniu kończę 87 lat. Pora

się ustatkować. Planuję cykl koncertów pt. „Pożegnanie z młodością”. Poproszę o prowadzenie zdolnego młodzieńca Michała Rachonia. Nie wiem, czy znaj-dzie czas, bo strasznie zaharowany w Republice, która pędzi do przodu jak luxtorpeda. Ponieważ obecna neoTVP ma pretensje do tytułu „Jedziemy” podrzucam Michałowi tytuł „Pędzimy”. Brzmi wie-loznacznie i zachęcająco.

Wracając do opluwających mnie typków spod ciemnej gwiazdy, po poprzednim „13 grudnia” (1981 r.) wymyślali mi od komuchów. A ja opowiadałem na nielegalnych spotkaniach, jak to Jaruzel-ski, patrząc na swój portret, martwi się, co teraz będzie? Portret odpowiada: mnie zdejmą, a ciebie powieszą. Na 15 lat więzienia skazano człowieka, który krzychał, że Jaruzelski jest idiotą. 5 lat za obrazę, 10 lat za ujawnienie tajemnicy państwowej. Rozważali-śmy z publicznością, z kim najpierw walczyć, jeżeli równocześnie wkroczą Niemcy i Rosjanie? Najpierw z Niemcami, bo najpierw obowiązek, a potem przyjemność. Ech, wspomnienia... 



**Dominik
Zdort**

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Krew Putina

Startuję w wyborach jako pryn-cypialny przeciwnik polityki Putina – zapowiedział i stał się idolem Rosjan, którzy chcą zmian. Mó-wiono, że zakończy wojnę, że zdemo-kratyzuje ustrój, że odmieni Rosję. Jego notowania w sondażach błyskawicznie rosły.

Zachód się cieszył, nie zwracając uwagi na to, że popularność tego „liberalnego kandydata” kłóci się z tym, co wiemy o poglądach rosyjskiego społeczeństwa, o jego uwielbieniu dla imper-ializmu i zamordyzmu. Ale z czasem zaczęto się wsłuchiwać w słowa polityka.

Rzeczywiście, wzywał, żeby „kończyć tę przygodę” na Ukrainie – ale nie z tego powodu, że jest zwolennikiem jej suwerenno-ści, lecz dlatego, iż Moskwa nie ma wystarczającego potencjału militarnego, aby wojnę szybko wygrać. Podkreślał zresztą, że bę-dzie wierny konstytucji, która mówi, iż Krym należy do Moskwy.

Tak, twierdził, że Rosja powinna powrócić do Europy, ale dodawał, że nie ma mowy, aby jakiegokolwiek zachodnie trybunały sądziły rosyjskich obywateli.

Owszem, kandydował przeciw obecnemu prezydentowi, ale zastrzegł, że Putinowi nigdy nie może spaść włos z głowy, bo tak stanowią rosyjskie przepisy i tej zasady nie należy zmie-

niać. „Straszną jest ta czysto rosyjska tradycja: przychodzi nowy kierownik i zaczyna represjonować wszystkich, którzy rządzi-li wcześniej” – mówił.

Liberałowie aż fiukali z zachwytu, gdy stwierdził, że należy znieść przepisy ograniczające propagandę homoseksualną. Po-smutnieli, gdy zapowiedział, że nie ma mowy o małżeństwach gejów: „Państwo powinno całkowicie zapomnieć o ich istnieniu, a wtedy będzie im dobrze, o wiele lepiej”.

Zapowiadał amnestię dla Nawalnego, ale dodawał, że aby normalnie funkcjonować, „będzie musiał zostać prawnie zre-habilitowany” przez sąd.

Właściwie wszystkich tych cytatów można by nie przytaczać, bo o tym, kim jest Nadieżdin, mówi sama jego biografia. Zdążył wejść do polityki u schyłku ZSRR, a potem już zawsze trzymał się w jej głównym nurcie, pełniąc liczne funkcje państwowe. „Od lat 90. jestem na ty ze wszystkimi szefami rosyjskiej polityki wewnętrznej” – chwalił się. Z dumą opowiadał, że w 2010 r. na prośbę Kremla miał kandydować w wyborach lokalnych, aby postraszyć miejscowego kacyka.

To doskonale reprezentant rosyjskiej mentalności, a zarazem krew z krwi i kość z kości postsowieckiego systemu. Stąd jego popularność. Byłby godnym następcą Putina – gdyby obecny imperator nie był tak mocno przyklejony do swojego tronu. 

BRONISŁAW WILDSTEIN

Proskrypcyjna kultura

Listy proskrypcyjne w starożytnym Rzymie to oficjalnie ogłaszane przez zwycięzców w wojnie domowej spisy ich przeciwników pozbawionych praw obywatelskich oraz majątku. Ich zabójstwo było premiowane, a ci, którzy pomagali w sporządzaniu list, byli nagradzani, często majątkami ofiar swoich donosów.

W Polsce dziś wracamy do tamtych praktyk. Czasy łagodniejsze, więc nikogo jak dotąd, ku żalowi gorliwych, się nie zabija, a nawet nie pozbawia majątku, ale usuwanie z pracy i w ogóle ze sfery publicznej praktykowane jest w całej rozciągłości. Taka „Wyborcza” w dużej mierze przekształcona została w biuletyn proskrypcyjny, który pogania obecne władze w szczytnej kampanii depiszacji, zżyma się na ich gnuśność i wyszukuje ukrytych sympatyków minionego reżimu, których należy zneutralizować. W tym zbożnym dziele znajduje licznych sojuszników w rodzaju TVN, RMF FM, Onetu, „Newsweeka”, Radia ZET, „Polityki”, ale wydaje się, że żaden nie potrafi równać się z organem Michnika.

Proskrypcja była efektem wojny domowej i metodą dobijania przegranych przeciwników. To, że zaktualizowana została w III RP, mówi wszystko o traktowaniu polityki przez jej liderów. Sprawa wykracza poza polskie opłatki i demonstrowa, czym jest naprawdę demokracja liberalna. To rządy oligarchii, która w imię panującej ideologii kontroluje podstawowe instytucje społeczne. Ortodoksja określa, co jest, a co nie jest dopuszczalne i dąży do zapisania tego w normach prawnych, a ponieważ w pełni tego nie sposób osiągnąć metodą presji, eliminuje „niewłaściwe” idee oraz ich rzeczników z życia publicznego. Doprowadziło to do homogenizacji polityki zachodniej, zwłaszcza europejskiej, i ujednolicenia wszystkich partii głównego nurtu oraz redukcji polityki do administrowania. Obywatele przekształceni w konsumentów mają prawo wybierać między tymi samymi, acz nieco inaczej opakowanymi towarami politycznymi. Ci, którzy nie mieszczą się na półce, to populiści, których wybierać nie wolno.

Wylania się nowa arystokracja, która kultywuje swoistą, emancypacyjną kulturę, premiując jej liderów i piętnując nieposłusznych. Do ogółu, który nie dorósł do jej światłych idei, ma protekcyjno-pogardliwy stosunek.

Metoda proskrypcyjna demonstrowa to w całej okazałości. Państwo należy się nam! – deklaruje establishment III RP. Dlatego kwestionuje demokratycznie wybrane władze, a także zarządy mianowanych przez nie instytucji. W ub.r. dyrektor Instytutu Książki zgodnie z wszelkimi procedurami powołał nowego redaktora naczelnego miesięcznika „Dialog”. Nie poprosił o zgodę feministycznej jacejki, która prawem kaduka opanowała pismo, przekształciła je w swój biuletyn i doprowadziła do

marginalizacji. Oburzenie wobec „przejęcia” „Dialogu” przez PiS nie miało granic. Feministki, które przestały nim rządzić, wydały finansowany przez warszawski ratusz i sygnowany jako „Dialog Puźyny” opasły tom zatytułowany „Przejęte”.

Wyjątkowo jałowa, nużąca, ale i pouczająca to lektura. Nie ma w niej żadnych przykładów naruszenia prawa czy choćby jakiegokolwiek przepisu ze strony PiS. Nie ma żadnych argumentów merytorycznych, chyba że za takie uznamy odnotowane ze wstrętem przez autorów edukacyjne obowiązki, na które powołują się nowe dyrekcje. Skandalem jest wypełnianie przez rząd demokratycznego mandatu. Każdy, kogo mianuje prawica, jest uzurpatorem, zajmującym miejsce tym, do których kultura winna należeć.

Jako „przejęty” przedstawiony jest np. stworzony (!) przez prof. Ryszarda pod patronatem MKiDN Instytut Literatury. Jego twórcę ma pogrążyć to, że zajmował się poezją niewłaściwych („prawicowych”) twórców.

„Niesłabnącym dyrektorskim zainteresowaniem cieszy się projekt celebrowania wszelkimi możliwymi metodami poezji i osoby pewnego krakowskiego poety (prywatnie bliskiego przyjaciela Dyrektora), Jana Polkowskiego; ostatnimi laty znanego głównie z funkcji prezesa Fundacji Smoleńsk 2010, odpowiedzialnej za produkcję thrilleru »Smoleńsk«”.

Chodzi o jednego z najwybitniejszych polskich żyjących poetów, uznanego za takiego przez ogół polskich krytyków już w latach 80., który trafił do polskich lektur w latach 90. i jeszcze stosunkowo niedawno wychwalany był także na łamach „Tygodnika Powszechnego” czy „Wyborczej”.

Ideologiczno-polityczne deklaracje to dla establishmentu klubowe koszulki, które pozwalają porządkować świat i określać, co się komu należy. Nie znaczy to, że idee nie mają konsekwencji, ale dla tych, którzy nimi wymachują, to zwykle zestaw hasel i frazesów, które zastępują myślenie i doskonale służą uzasadnieniu ich panowania. Świat dzieli na swoich i wrogów, którzy mają być zniszczeni, po to, aby oni mogli cieszyć się swoją własnością, np. kulturą.

Oto liberalna arystokracja, która oburzona jest próbą wypychania się motłochu na salony. To, że rodowód swój i prawomocność w dużej mierze czerpie z PRL, zupełnie jej nie przeszkadza.



Walizka Marcina Skaby

instrumentalisty, kompozytora



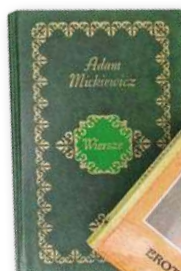
Wszystkie moje podróże mnie cieszą, nawet te małe. Najbardziej lubię rodzinne wyjazdy, gdy możemy łączyć to, co kochamy: muzykę, rodzinę i ludzi wokół nas. Muzyka nie jest celem samym w sobie, tylko osoby, z którymi możesz coś pięknego stworzyć. W Polsce lubię zarówno góry, jak i morze, a najpiękniejszą wsią jest dla mnie wieś kielecka, miejsce urodzenia mojej żony. Uwielbiamy tam wracać, bo kochamy ten klimat, życie blisko natury, piękne widoki, zdrowe jedzenie. Miejsca, które chcemy odwiedzić, to północna Norwegia i Islandia, nie tylko ze względu na muzykę, lecz także położenie geograficzne, które wymusza wolniejsze tempo życia i redukuje zbędne potrzeby. A poza tym... zorza polarna, lawa wulkaniczna – chcielibyśmy pokazać to dzieciom.

SKRZYPCE

Od dziewiątego roku prowadzą mnie przez życie. To one wyznaczyły ścieżkę mojej kariery i ludzi, których spotykam na swojej drodze. Bez wątplenia moja wspaniała rodzina to też efekt działania moich skrzypiec. Przypadków nie ma.

WIERSE MICKIEWICZA

Moja ostatnia inspiracja, która prowadzi mnie od pół roku, dzięki czemu rozwijam się, pisząc teksty. Planuję w najbliższym czasie opublikować 14 śpiewanych wierszy naszego narodowego wieszcza. Projekt nosi tytuł „Mickiewicz In Love”.





KALIMBA

Jest związana z radością dziecka, którą odczuwasz, kiedy po raz pierwszy masz z nią do czynienia. To instrument, który nie wymaga wielkich umiejętności i cieszy każdym dźwiękiem.



TERMOS Z ZIOŁAMI

Stały towarzysz każdego dnia. Picie ziół (mięta, rumianek) jest moim rytuałem, który przypomina o codziennym nawadnianiu i dbaniu o zdrowie swoje oraz innych. Termos wożę ze sobą na koncerty, a nawet na spotkania z przyjaciółmi. Zaraziłem tym zwyczajem kilka osób.



OPRAWKI OKULARÓW

Mam trzy oprawki, które dostosowuję do konkretnego ubioru. Wzmacniają mój artystyczny wizerunek i pewność siebie. Kupiłem je u pana Dariusza, świetnego optyka z podwarszawskiego Brwinowa.



DOMOWE JEDZENIE OD ŻONY

Moja żona jest mistrzynią kuchni. Gotuje prosto i smacznie z polskich produktów, które sprowadza ze świętokrzyskiej wsi. Często zabieram w podróż jej potrawy.



PENDRIVE Z PIOSENKAMI

To jest pomysł na prezent dla każdego, kogo chcę obdarować piosenkami, które tworzę niemal codziennie. Z obdarowaną osobą pozostaje cząstka mnie, a zarazem wdzięczność za jej obecność w moim życiu.



MASKOTKA CÓRKI

Jest związana z przytulaniem, którego nam w społeczeństwie cały czas brakuje. Chciałbym żebyśmy każdego dnia korzystali z tego daru, który nic nie kosztuje, a tak wiele znaczy.



ŚPIWÓR DO STUDIA NAGRAŃ

To fragment drugiego domu, gdy muzyka rzuci mnie gdzieś daleko i nagrania w studiu przeciągają się do nocy.



PRZYJACIELE

Dr Anita Nowicka jest jedną z tych osób poznanych na moim życiowo-muzycznym

szlaku, które mnie zainspirowały. Założyła chór śpiewających lekarzy Medici Cantares i to ona mnie namówiła na nagranie nowej wersji piosenki Andrzeja Rosiewicza „Czy czuje pani czacze”. W teledysku razem z nią wystąpiły lekarki seniorki!

STROJE SCENICZNE

Element metamorfozy, którą przeżyłem w ostatnim roku, za co jestem wdzięczny mojej menedżerce Sylwii Goleckiej. Mogłem się zobaczyć w nowej odsłonie i poczuć się pewniej w tym, co robię.



Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

OGNIEM NA WPROST

Pani Antoniny droga do wolności



Andrzej Rafał Potocki

80-letnia pani Antonina mieszkała w jednej z wiosek znajdującej się w obwodzie dnieckim, okupowanym przez Federację Moskiewską. Mimo problemów ze zdrowiem (nie może chodzić i porusza się na wózku) i swojego wieku, potrafiła odmówić przyjęcia rosyjskiego paszportu, przez co została pozbawiona i tak głodowej emerytury. Opiekowała się nią tylko córka, która postanowiła wywieźć matkę z terenów okupowanych. Jak poinformował ukraiński Rzecznik Praw Obywatelskich Dmytro Łubinec, droga kobiety do wolności prowadziła przez pięć krajów. Wcześniej córka pani Antoniny zwróciła się do jego biura i poprosiła o pomoc. Przygotowano całą operację ewakuacyjną. Pani Antonina opuściła dom rodzinny 24 stycznia. Staruszka została wywieziona przez wolontariuszy, którzy specjalnie dla niej kupili wózek i chodzik. „Droga, którą podróżowała kobieta, prowadziła przez czasowo okupowane terytoria w obwodzie dnieckim, a następnie przez Rosję, Estonię, Łotwę, Litwę i Polskę” – mówi Łubinec. Potem już tylko skok przez miedzę i zataczając solidne koło, 4 lutego kobieta spotkała się z córką we Lwowie. Historia zakończyła się w hollywoodzkim stylu (happy end), a przy okazji na stare lata pani Antonina zdążyła zwiedzić cztery kraje Europy Zachodniej.

Prezzydent Zelenski odwołał głównodowodzącego SZU gen. Walerija Żaluźnego i zastąpił go gen. Ołeksandrem Syrskim, który mimo pierwotnej odmowy ostatecznie się zgodził. Choć armia obarcza go winą za nadmierne szafowanie życiem podkomendnych i uważa za zimnego technokratę, to nie wszystko, co obciąża Syrskiego, jest

faktycznie jego winą, bo czasem miał po prostu dyspozycję odgórne i musiał je wykonać, jak choćby w Bachmucie, gdzie kazano mu trwać na pozycjach, choć wszyscy spece mówili, że nie da się ich utrzymać. Różnie też można mówić o wynikach jego dowodzenia. Jedni oskarżają go o masakrę pod Debalcewem w 2015 r., inni wskazują, że wyprowadził wtedy swoich ludzi z okrążenia. Nie ulega jednak wątpliwości, że to on dowodził pod Kijowem dwa lata temu, on przeprowadził dwie ofensywy pod Charkowem, uwalniając prawie całe terytorium obwodu od agresora i to on ogarnął pieprznik w Donbasie, jaki zostawił po sobie jego poprzednik. Po objęciu stanowiska Syrski zadeklarował kontynuację linii gen. Żaluźnego, czyli oszczędzanie ludzi i strategiczną obronę. Decyzja Żelenskigo wywołała oczywiście pewien ferment – w końcu Żaluźny jest symbolem zwycięstw Ukrainy w wojnie – ale nie na tyle poważny, by miało to zachwiać strukturami władzy na Ukrainie.

Decyzja prezydenta ma jednak szkodliwy wymiar z zupełnie innego powodu. Kacapskie media od razu podchwyciły, że gen. Syrski jest etnicznym Moskałem, a jego matka i brat mieszkają we Włodzimierzu koło Moskwy. W sieci pojawiły się zdjęcia obojga, jak uczestniczą w demonstracji poświęconej uczczeniu poległych w II wojnie światowej. Ale kremlowska propaganda na tym właśnie żeruje, dostarczając argumentów za tezę, że w istocie wojna na Ukrainie jest wojną domową pomiędzy Rosjanami. I w tym kontekście zastąpienie wywodzącego się ponoć z polskiej szlachty Żaluźnego Syrskim jest strzałem we własną stopę. To podanie przeciwnikowi propagandowej amunicji. Przypomina

to trochę wizerunkowe samobójstwo, czyli reportaż o ukraińskim dowódcy bradleya, który podjął skuteczną walkę z rosyjskim czołgiem. Chłopak został za to odznaczony, co podano do publicznej wiadomości, ujawniając jego dane personalne. Roskie poszperali i „odkryli”, że dowódcą ich trafionego czołgu był... ojciec dowódcy ukraińskiego bradleya. Co robi propaganda ukraińska? Reportaż o walce syna z ojcem! Głupiej, cholera, nie można.

Na koniec coś optymistycznego. Peter Zeihan to wybitny geostrateg i jeden z najważniejszych obecnie amerykańskich specjalistów ds. stosunków międzynarodowych. W ostatnim czasie miał on do podać kilka ciekawych prognoz dotyczących Polski. Zeihan jest znany z trafnych analiz dotyczących sytuacji światowej. Już ok. 2020 r. przewidział on agresję Rosji na Ukrainę, jest też wielce zaniepokojony obecną polityką Chin, które to jednak postrzega jako papierowego tygrysa. Jak wskazuje Zeihan, Polska dzięki swej historii wie, że Rosja rozumie jedynie język siły. Co więcej, nasze państwo ma doświadczenie w pacyfikowaniu agresywnych ambicji Kremla. Zeihan powołuje się przy tym na casus polskiego podboju Moskwy w XVII w. Strateg dla przyszłości naszego kraju kreśli więc wizję całkiem optymistyczną, jednak ów optymizm jest tonowany potencjalnym wybuchem konfliktu zbrojnego – zwycięskiego dla naszego kraju, ale jednak ostrego. Mimo to Zeihan wyraźnie wskazuje, iż złamanie potęgi Kremla jest w zasięgu Polski, zaś wizja „rajdu na Moskwę”, zdaniem stratega, nie jest wcale wyjęta z fantazji. Oby tylko obecny rząd, zapatrzony w słabo uzbrojoną Europę, nie schrzaniał tego wszystkiego.

Współpraca: „Skipper”

Inżynieria przymusowej migracji

W wydanej w 2015 r. książce „Podstawy ogólnej teorii wojny” gen. mjr Aleksander Włodzirow napisał: „Polityka wielokulturowości, wbrew oczekiwaniom urzędników państw Europy Zachodniej, zawiodła, gdyż okazało się, że imigranci i uchodźcy, mimo podjęcia prób asymilacji z rdzenną ludnością, tworzą nowe społeczności, które wykształcają własną, odmienną od europejskiej, kulturę [...] Skierowanie fali emigrantów do dowolnego kraju przez zastosowanie manipulacji powoduje całkowitą destabilizację, a nawet zniszczenie państwa i narodu. Dlatego inspirowanie i kontrolowanie przepływu wielkich rzesz ludzi jest rodzajem nowoczesnej wojny asymetrycznej i najpotężniejszą bronią strategiczną naszych czasów”.

14 lutego br. komisja w Parlamencie Europejskim przyjęła pakt migracyjny. Zgodnie z zapisami tego dokumentu rocznie do krajów UE ma być rozesłanych 4,5 mln migrantów, a ich nieprzyjęcie będzie oznaczać konieczność poniesienia kar finansowych. Pakt migracyjny poparły wszystkie partie obecnie rządzącej w Polsce koalicji. W myśl zapisów dokumentu państwa członkowskie mogą być zmuszane do przyjmowania wyznaczonej przez Komisję Europejską liczby migrantów. Zmieni się tryb przeprowadzania procedury azylowej. Ma on nie tylko przyspieszyć, lecz także umożliwić zalegalizowanie pobytu nielegalnym migrantom. Do Europy z pewnością nie przestaną przybywać nielegalni imigranci, ale Stary Kontynent formalnie pozbędzie się problemu, legalizując ich pobyt.

Wzrost nielegalnej migracji do Unii znalazł swoje odzwierciedlenie w rosnącej przestępczości, wzrastającej w zasadzie proporcjonalnie do liczby osiedlających się w Europie obcokrajowców, z których znaczna część nie asymiluje się, zasila środowiska przestępcze. Za przedostanie się z Afryki do Europy nielegalny migrant musi zapłacić od 2 do nawet 10 tys. dol., przybysze z Azji płacą 4–5 tys. dol., choć kwoty mogą sięgać nawet 15 tys. dol. Frontex podał, że w 2017 r. przestępcy transportujący migrantów do Włoch wygenerowali 135 mln euro dochodu. W 2022 r. nielegalna przeprawa przez Morze Śródziemne przyniosła 407 mln euro zysku. W pierwszej połowie 2023 r. gangi przemytnicze zarobiły na transporcie migrantów co najmniej 360 mln euro.

Według OECD przemyt ludzi jest jedną z najprężniej rozwijających się gałęzi zorganizowanej przestępczości. Zyskują na nim nie tylko sami przemytnicy, lecz także wszystkie podmioty zaangażowane w ten proceder. Bywa, że są to całe lokalne społeczności. Przemytnicy wykorzystują również „ofiarność” organizacji humanitarnych – ich statkami wielu migrantów ostatecznie dociera do wybrzeży państw UE. Frontex informuje, że działalność NGO pozwala przestępcom zaoszczędzić na paliwie, żywności i znacznie przyspiesza realizację przemytu. W 2022 r. Europol posiadał informacje o 290 organizacjach podających się za niosące pomoc migrantom, które były podejrzwane o współpracę z przemytnikami ludzi.



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

W „Odnowionym unijnym planie działania na rzecz zwalczania przemytu migrantów na lata 2021–2025” napisano m.in.: „Unia Europejska uważa, że w ramach zwalczania przemytu migrantów kwestią priorytetową jest współpraca z krajami partnerskimi w celu ograniczenia zachęt do odbywania tych niebezpiecznych podróży, zająć się różnorodnymi pierwotnymi przyczynami migracji nieuregulowanej, wspierania uporządkowanej migracji oraz legalnych i bezpiecznych szlaków do krajów Unii Europejskiej, lepszego zarządzania wspólnymi granicami, a także ułatwiania powrotu i reintegracji osobom znajdującym się w sytuacji nieuregulowanej na terytorium europejskim”.

Wydaje się, że przedstawione opinii publicznej główne założenia paktu migracyjnego stoją w sprzeczności z przytoczonym fragmentem opinii. Narzucana przez eurokratów przymusowa otwartość UE na przyjmowanie migrantów i jej katastrofalne skutki są w interesie takich państw, jak Rosja, przez którą organizowany jest szlak przerzutowy i której zależy na destabilizacji oraz osłabieniu Europy. Migracja to niemilitarny środek walki. Czy unijni decydenci zdają sobie z tego sprawę?

REKLAMA

Radio 106.2
Warszawa
dobrze słuchać

"Wywiad z człowiekiem"
Paweł Kęska
wtorek, godz. 22.00

6/0224/F

Bez liny

Z Marcinem Koszałką, reżyserem, współscenarzystą i autorem zdjęć filmu „Biała odwaga”, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Sądząc po dotychczasowych reakcjach, jeszcze przed kinową premierą 8 marca pański film to bardziej „Biała odwaga” czy brawura?

Marcin Koszałka: Może rzeczywiście brawura. Wiedziałem, że nie wszyscy zaakceptują podjęcie tego tematu.

Dlaczego więc zdecydował się pan przypomnieć Goralenvolk?

Przed wszystkim ten film nie jest oskarżeniem. Oskarżenie to zbyt prosta rzecz. Tu chodzi o wybór, często tragiczny. I o manipulację. Dramat górali polega na tym, że cały czas ktoś czegoś od nich chce. Wywiera presję, która w czasie wojny miała tragiczne skutki.

Co dało panu, urodzonemu w Krakowie, prawo do przyjrzenia się tym skutkom?

Andrzej Fidyk, który w szkole uczył mnie dokumentu, powtarzał, że filmy trzeba robić zawsze blisko siebie. Od liceum wspinałem się i Tatry to jest moja druga ojczyzna. Kiedy 20 lat temu dowiedziałem się o Goralenvolk, byłem, jako fan Podhala, górali i Tatr, bardzo poruszony czy wręcz zażenowany. Musiałem przepracować ten temat.

Z jakim efektem?

Nasz film to historia jednostki wciągniętej w tryby historii. Bohater, który przeżywa też uczuciowe zawirowania, staje przed ekstremalnie trudnymi wyborami. Pojawiają się pytania, czy decyzje, które podejmował, to zdrada, czy nie. Ktoś nagle mówi mu, że ma najlepszą krew, że jest Niemcem... Dramat rozgrywa się między jego decyzjami. Dla mnie kino polega na emocjach i tutaj, mam nadzieję, emocji oraz napięcia nie zabraknie.



Fot. Materiały prasowe

Brawurowo i często z zaskakujących ujęć pokazał pan Tatry.

Nie wyobrażam sobie tworzenia filmu tylko reżysersko. Jestem też autorem zdjęć. Planowanie filmu zaczynam od myślenia obrazami, dopiero później dochodzi dramaturgia.

Która ze scen okazała się najtrudniejsza, a jednocześnie przyniosła najwięcej reżysersko-operatorskiej satysfakcji?

Sekwencja popisowej wspinaczki Andrzeja na Filarze Kazalnicy, kiedy ostentacyjnie się rozwiązuje i idzie solo, bez liny.

Trochę jak pan?

Tak.

8 marca w Zakopanem zostanie otwarta filia Muzeum Tatrzańskiego – Muzeum Palace (Muzeum Walki i Męczeństwa Palace w Zakopanem), mieszcząca się w przedwojennym hotelu, podczas okupacji zamienionym na siedzibę Gestapo. Ekspozycja poświęcona czasom II wojny światowej ma zostać udostępniona zwiedzającym pod koniec marca.

NOWA TELEWIZJA

W POLSCE/PL



W PIĄTKI O 17:00

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

„HOŁD BERLIŃSKI” ZŁOŻONY PRZEZ PREMIERĘ TUSKA ZOSTAŁ PRZYJĘTY PRZEZ KANCLERZA SCHOLZA Z ULGĄ. RACHUNEK ZA WOJNĘ W KWOCIE PONAD 6 BILIONÓW ZŁOTYCH ZOSTAŁ „UNIEWAŻNIONY”, BO PRZECIEŻ PIENIĄDZE SZCZĘŚCIA NIE DAJĄ.



Wszystko jest w sieci?

Jak otworzyć samochód, w którym zatrzasnęły się kluczyki? Jak zrobić pyszny włoski makaron? Zbudować igloo bądź ziemiankę? Rozpalić ogień bez zapalek? Odpowiedzi na te i inne pytania można w kilka sekund wygooglować w internecie, więc gdy z dnia na dzień pandemia zamknęła nam szkoły, doznałem olśnienia. Eureka! Przecież WSZYSTKO JEST W SIECI!



Na YouTube znalazłem porady survivalowe, na robienie tortów, naukę strzelania z huku, budowę przydomowej wędzarni, naprawy samochodu. Natrafiłem też na ciekawe prezentacje pasjonatów historii, zrobione profesjonalnie i z poczuciem humoru. Odkryłem nawet „lekcje” z przedmiotów ścisłych, będące promocją płatnych korepetycji. Nigdzie jednak nie uświadczysz zgodnych z programem nauczania, kompleksowych wykładów z matematyki, fizyki czy przedmiotów humanistycznych: od podstawówki przez liceum po studia politechniczne/universyteckie. Zatem ochoczo zgłosiłem do ówczesnego MEN potrzebę stworzenia szkoły internetowej.

Postulowałem, by z udziałem najlepszych, charyzmatycznych nauczycieli i wykładowców zarejestrować w TVP kompletne, wzorcowe lekcje ze standardowych przedmiotów. Cały ten rzetelny, umieszczony w internecie za darmo materiał edukacyjny mógłby stać się kopernikańskim przewrotem w szkolnictwie. Powszechna i bezpłatna edukacja na najwyższym poziomie to oprócz misji rządu szansa dla biednych, ale zdolnych i pracowitych uczniów/studentów. To ukrócenie drenujących kieszenie rodziców korepetycji. To również wsparcie nauczania domowego i uniwersytetów trzeciego wieku, które kończyć by się mogły egzaminem eksternistycznym. Nierealne? Ale tak właśnie funkcjonuje Teatr Telewizji: nie każdy go ogląda, ale możliwość mają wszyscy chętni!

PS Wciąż pamiętamy te żalosne próby zdalnych covidowych lekcji. Dlaczego więc wracam do tego pomysłu? Bo dziś sztuczna inteligencja ogarnęłaby ten temat błyskawicznie. Tylko czy AI nie zawiesi się na „tęczowych piątkach”?

Lech Makowiecki

SIECI

ISSN 2544-2694
www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARŃKOWSKI
ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ,
TOMASZ OZDOWY, MAREK PYŻA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ,
MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, LESZEK DŁUGOSZ,
KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA,
GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI,
MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARŃKOWSKI,
KONRAD KOŁODZIEJSKI, Cezary KOWALSKI,
JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI,

RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT,
MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK,
ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI,
JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, ROBERT TEKIEL,
MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN,
MAŁGORZATA WOŁCZYK, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT,
ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA

REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL



DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA,
MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ.SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOŁIŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
WWW.SIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAŻ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ, JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNA.



FOT. NA OKŁADCE: E. NOROZI/AP/ISTOCK, S. WIELICHOWSKI/ISTOCK, PRESS
SERVICE PRESIDENT OF UKRAINE, F. LEGRAND – COMEO, A. MICHALCIS, L. RADIN, S. BLOMBOM
/SHUTTERSTOCK



Niespodziewana ofensywa PiS

Michał Karnowski rozmawia z **Dominikiem Tarczyńskim**, posłem do Parlamentu Europejskiego, szefem delegacji polskiej w grupie Europejskich Konserwatystów i Reformatorów

Prezes Prawa i Sprawiedliwości Jarosław Kaczyński podpisał pana nominację na przewodniczącego delegacji PiS w Parlamencie Europejskim w grupie EKR (European Conservatives and Reformists, ECR), a także ustanowił trzech wiceprzewodniczących: Ryszarda Czarneckiego, Karola Karskiego i Patryka Jakiego. Nowy etap? Ofensywa?

Dominik Tarczyński: Zdecydowanie tak. Wraz z delegacjami państw tworzących EKR rozpoczniemy wspólne działania, które zmienią układ sił w Europie: pokażemy, że nasza grupa to coś więcej niż tylko

frakcja w Parlamencie Europejskim na moment głosowań. Udowodnimy, że jesteśmy poważną siłą europejską, która razem prowadzi kampanię w Europie, wspiera się wzajemnie w sprawach krajowych. Będziemy też dążyć do powiększenia naszej grupy. I co najważniejsze, przygotowujemy się do walki o uzyskanie dużego wpływu na władzę w Unii Europejskiej po czerwcowych wyborach.

Potwierdza pan informację portalu wPolityce.pl, że Jacek Saryusz-Wolski miałby być kandydatem na szefa Komisji Europejskiej?

Mogę powiedzieć, że padła taka propozycja. Wszystkie nasze działania będą na to ukierunkowane. Każda frakcja w PE ma prawo wybrać swojego kandydata na szefa Komisji Europejskiej. Niektórzy uśmiechają się ironicznie, kiedy o tym mówimy, ale ten uśmiech może zmienić się w gorzki grymas, bo naprawdę wszystko jest możliwe. Analizy długo pokazywały, że grupa EKR może być trzecią siłą w PE, potem, że drugą. Gdyby dołączyła do nas grupa Tożsamość i Demokracja [Identity and Democracy, ID], to stalibyśmy się największą frakcją i bez nas żadna decyzja nie mogłaby być podjęta. Są na to duże szanse, taki jest plan.



Sily konserwatywne
na świecie muszą się
wzajemnie wspierać,
wojna cywilizacji
niestety będzie tylko
narastała. Zatem tak
– uważam, że w Stanach
Zjednoczonych
powinniśmy wesprzeć
Donalda Trumpa.
A w Europie bić się
o przejęcie władzy

Przeprowadził pan już jakieś rozmowy w tej sprawie?

Sporo, ruszyłem do działania tuż po decyzji prezesa PiS. Za mną rozmowy z Hiszpanami, Szwedami, Włochami. Jest ogromne zainteresowanie naszym pomysłem, aby wspólnie prowadzić działania w różnych miejscach w Europie – konferencje, spotkania, wiece. My będziemy tam obecni częściej, przedstawiciele sojuszników sił w Europie częściej będą bywali u nas.

Z tymi sojusznikami wiele was łączy, ale i sporo dzieli: choćby stosunek do Rosji Putina, wojny na Ukrainie, spraw socjalnych. Jak to przelamać? Jak pozostać wiernym swoim wartościom i przekonaniom, a jednocześnie nie być samotnym?

Tak jak to robią w Europie liberalowie, lewica, Zieloni, tzw. chrześcijańscy demokraci. Dzieli ich tak wiele, że teoretycznie nie powinni razem rządzić, nie mają szans na znalezienie porozumienia, a jednak im się to udaje. Potrafią iść na bardzo daleko posunięte kompromisy, czasami prawie to pęka, niektóre głosowania wygrywają jednym głosem. Ale wygrywają, przechodzą nawet nad głębokimi różnicami do porządku dziennego. Na podwórku krajowym dogadują się jakoś dla władzy Kosiński-Kamysz i Zandberg. Musimy się nauczyć tego samego.

Ich media głoszą, was pałują za każdą różnicę czy niemądrą wypowiedź Marie Le Pen.

Musimy to przetrzymać. Sytuacja jest bardzo poważna, zagrożone jest istnienie suwerennych państw narodowych, konkurencyjność europejskiej gospodarki i ważne dla nas wartości. Jeśli chcemy wreszcie zacząć być skutecznymi, musimy nauczyć się działać wspólnie na kluczowych odcinkach mimo oczywistych różnic. Najważniejsze zadanie na dziś dla wszystkich konserwatystów w Europie to wygrać wybory europejskie. Ale oczywiście są nieprzekraczalne granice.

Na przykład?

Prawda historyczna, kwestie granic, wzajemny szacunek. W innych obszarach trzeba kompromisu. Musimy rozumieć różne perspektywy. Inne problemy mają Hiszpanie, którzy stale podnoszą sprawę Katalonii, inne Włosi, mocno odczuwający kwestie migracyjne, a jeszcze inne Polska, położona między Niemcami a Rosją, z wojną na Ukrainie pod bokiem. Powtórzę: dziś rządzi koalicja od proputinowskiej skrajnej lewicy do skrajnych liberalów. Tak wygrywają głosowania. To nam pokazuje, jak daleko trzeba pójść w szukaniu kompromisów, jeśli wreszcie chcemy odzyskać skuteczność w polityce europejskiej. Dziś nie widzę punktów zapalnych, które mogłyby to uniemożliwić. Wszystko możemy uzgodnić, przejść, znaleźć rozwiązanie.

Patrząc z drugiej strony: dla obecnie rządzących Unią Europejską najważniejszym wspólnym mianownikiem jest dążenie do centralizacji, która nie ma końca. A dla was? Sprzeciw? Obrona kompetencji państw narodowych?

Bez wątpienia centralizacja jest problemem, z którego wynikają wszystkie inne. To jest podstawowy plan liberalów i lewicy. Wywodzą go z manifestu z Ventotene komunisty Altiero Spinellego z 1941 r., gdzie wprost postuluje się likwidację państw narodowych. Twórcy projektów nowych traktatów otwarcie się na niego powołują, jest on cytowany w raporcie KE na ten temat, właśnie od Spinellego wywodzą projekty przebudowy Unii. Nie zgadzamy się z tym.

Te projekty zakładają setki zmian w dziesiątkach obszarów tematycznych. Co jest ich istotą?

Długość listy proponowanych zmian jest faktycznie szokująca: 267 zmian w 65 obszarach. Nie dajmy się jednak zwieść – to forma negocjacji. Znamy tę metodę. Chodzi o to, by na końcu kilka fundamentalnych zmian przedstawić jako kompromis rzekomo akceptowalny dla wszystkich. W rzeczywistości zaś będzie to likwidacja suwerennych państw narodowych, w tym Polski. Zobaczmy, co tam się proponuje: nadzór nad granicami przez Brukselę, przejęcie przez nią władzy nad uczelniami, edukacją, lasami, przymusowe zaprowadzenie wszędzie waluty euro. W efekcie to tam będą decydowali o nas w sprawach zasadniczych, politycznych, jak i tego, co mamy jeść, czym jeździć, jak często latać samolotami. Jeśli oczywiście przy tych szaleństwach klimatycznych będzie kogoś na to stać przy nałożonych ekstrapodatkach. Jak to w komunizmie.

To porównanie nie jest za mocne?

A skąd znamy kartki, przydziały, talony, zezwolenia? Regulowanie wszystkiego co do przecinka i milimetra przez wielkie centrum, rzekomo najlepiej wiedzące wszystko, dbające o nasze szczęście? Dochodzimy do kwestii zasadniczych: co rozumiemy

pod pojęciem europejskości? Czy godzimy się na wyrzucenie z niej chrześcijańskiego dziedzictwa, fundamentu, na którym ten gmach zbudowano? Dziś w Brukseli szykują się do podjęcia decyzji, które, gdyby przeszły, zasadniczo zmieniłyby model i jakość życia każdego z nas. Nie każdy zdaje sobie z tego sprawę, tak jak nie wszyscy rolnicy rozumieli, co oznacza głosowany 15 stycznia 2020 r. Zielony Ład. My jako jedyni głosowaliśmy przeciw, ostrzegaliśmy, że szaleństwo komisarza Timmermansa zniszczy rolnictwo. Minęły cztery lata i mamy największy w historii ogólnoeuropejski protest rolników. Mieliśmy rację.

Wtedy mieliśmy być gotowi na 55-proc. redukcję CO₂ do 2030 r. Teraz mówi się o redukcji 90-proc. i obecna polska wiceminister klimatu to poparła. Jakie byłyby skutki?

Tamten pakiet uderzał przede wszystkim w przemysł, rolnictwo oberwało rykoszetem. Nowe, drażniące ograniczenia doprowadzą do upadku państw, kresu funkcjonowania społeczeństw, jakie znamy. Jeżeli w 90 proc. mamy ograniczyć emisję CO₂, to w tym samym wymiarze musimy zrezygnować z każdej aktywności: ogrzewania, światła, korzystania z samochodów, latania samolotami, jedzenia przetworzonych produktów itd. Proponuję pani minister z rządu Donalda Tuska, która to popiera, by zaczęła od siebie i ograniczyła wszelką swoją aktywność związaną z emisją CO₂ o 90 proc. Niech wytrzyma choć 14 dni, z towarzyszeniem mediów. Niech tak żyje choć dwa dni!

Wie pan doskonale, że to tak nie działa. Liderzy aktywizmu klimatycznego latają na konferencje klimatyczne prywatnymi samolotami i zjadają się stekami. To, co szykują, ma dotyczyć innych – podanych.

I dlatego zdaję sobie sprawę, że pani minister nie podejmie się tego wyzwania. Chciałbym jednak, by moja propozycja wybrzmiała. Taki eksperyment

wykazałby, że nie da się tak żyć, że to, co się narzuca Europejczykom, jest nieodpowiedzialnym szaleństwem. To plan na biedę, nędzne życie, zahamowanie rozwoju gospodarczego, koniec wolności.

Jest w tym wszystkim wielka zagadka, bo to przecież nie działa. Europie ucieka świat, Chiny i Stany Zjednoczone wygrywają gospodarczą, technologiczną konkurencję. Dwa najbiedniejsze stany

Proponuję pani minister z rządu Donalda Tuska, która popiera redukcję emisji CO₂ o 90 proc., by zaczęła od siebie i ograniczyła wszelką swoją aktywność o 90 proc. Niech wytrzyma choć 14 dni!

w USA byłyby w czołówce najbogatszych państw w UE – to porównanie wbija w fotel. A w Brukseli nadal dominuje samozadowolenie i dociskają pedał gazu szaleństwa jeszcze mocniej. Jakie siły o tym decydują?

Kiedy nie wiadomo, o co chodzi, chodzi o pieniądze. O władzę i kontrolę.

Jakie pieniądze? Europejczycy biednieją na tle mieszkańców innych kontynentów.

Celna uwaga, zarabiają tylko niektórzy, za to ogromne pieniądze. Nie myślą o przyszłości, nie kierują się interesem obywateli. Niestety dużą rolę odgrywają w tym też siły zewnętrzne, co potwierdza moja analiza afery Katar gate, gdzie za ogromne pieniądze kupowano wpływy w Parlamencie Europejskim. Tych wątków jest coraz więcej. Ostatnio ujawniono, że ośmiu rosyjskich lobbystów przypadało na jednego posła do Parlamentu Europejskiego.

Ośmiu na jednego?!

Tak, ośmiu na jednego. I zgadzam się, że są to dane przerażające. Tam głównie skierowany był lobbying rosyjski, tam poszły setki milionów dolarów. W wielu przypadkach słowo „lobbing” trzeba czytać jako „łapówki”. To sporo wyjaśnia w wielu sprawach, lepiej rozumiemy bezrozumne parcie w kierunku rozwiązań ewidentnie szkodliwych dla gospodarki i bezpieczeństwa UE. Zastanówmy się, dokąd doszliśmy: ci ludzie planują wykluczyć mięso przeżuwaczy, bo podobno emitują one za dużo CO₂! Zamiast tego mamy jeść mąkę z owadów.

Sami nie lubią steków?

Uwielbiają. Jest w PE „dzień stekowy” i wtedy kolejki są tak długie, że jak już się odejdzie od kasy, to stek jest zimny. I tak zjadają do ostatniego kęsa. Tak samo jest z samochodami – setki limuzyn obsługują posłów i komisarzy. Podziemny garaż, gdzie ta flota czeka na pasażerów, jest jedynym miejscem w euro-parlamencie, którego nie wolno filmować. Światła w budynku palą się całą dobę. Widzimy więc, ile tu hipokryzji, która ma przykrywać fakt, że jesteśmy uczestnikami wojny cywilizacji i wojny gospodarczej, podlanej dla niepoznaki i dla głupich sosem ideologicznym. Konsekwencje są już smutne, a jeśli tego nie zatrzymamy, będą tragiczne. Europa jest osłabiana, wkrótce stanie się bardzo łatwym celem, na dodatek świadomie rozbrajanym. W tym kontekście trzeba czytać te niebezpieczne harce obecnej władzy wokół programów budowy silnej polskiej armii.

Pakt migracyjny wchodzi w życie? Tusk obiecywał, że nie będzie żadnej relokacji.

Oklamał, oszukał Polaków. Za chwilę każdy zobaczy, jaka fala migrantów nas zaleje. Znowu mogę tylko powiedzieć: ostrzegaliśmy.

Zmiana władzy w Polsce mocno osłabiła EKR?

Dla wielu był to zawód, ale polski konserwyzm pozostaje dużą siłą,

pełną dynamizmu i wiary w przyszłość kontynentu, opartą na jego chrześcijańskim dziedzictwie, obronie granic, dumie z własnego dziedzictwa. Jestem przekonany, że wygramy wybory europejskie. Z naszych sondaży wynika, że dwoma mandatami wygrywamy z Platformą Obywatelską. Bez względu na to, ile mandatów do Parlamentu Europejskiego uzyska PiS, nasza delegacja pozostanie okrętem flagowym europejskich konserwatystów. I wspólnie odbijemy, odzyskamy Unię.

Jaki macie plan?

Sojusze, współpraca, aktywność i dynamizm. W Europie, ale i w Stanach Zjednoczonych, gdzie chcemy budować jeszcze głębsze relacje z Partią Republikańską. Trzeba nawiązywać kontakty z elitami, politykami dalszych szeregów, którzy za kilkanaście lat przejmą stery. Bierzymy tu przykład z Donalda Trumpa, który po porażce się nie poddał, ale natychmiast zaczął walkę o reelekcję.

Donald Tusk mocno uderzył ostatnio w Trumpa i republikanów. Dlaczego?

Z Donaldem Tuskiem jest jak z bohaterami memów, którzy chcą uderzyć w kogoś innego, a kończy się ciosem we własny nos. Po pierwsze, Tusk bardzo mocno zareagował na krytykę Niemiec. Słowa, które wypowiedział Donald Trump o NATO, nie są żadną nowością. Może forma była wiecejowa, ale on od dawna podkreślał, że wiele państw europejskich, w tym bogate Niemcy, nie spełniały swoich zobowiązań wobec Sojuszu, nie wydawały 2 proc. PKB na cele wojskowe. Proszę zauważyć, jaki skutek wywołały słowa Donalda Trumpa. Kilka dni po jego wypowiedzi szef NATO Jens Stoltenberg ogłosił, że Niemcy zwiększają swój budżet obronny do 2,1 proc. PKB. Jaki z tego wniosek? Trump osiągnął swój cel, zwiększył bezpieczeństwo państw europejskich i całego Sojuszu. W ub.r. Polska realnie wydała na obronność niemal 4 proc.! Słowa Trumpa znaczą tyle, że albo niektóre państwa

zaczną się zbroić, dotrzymywać umów, albo on także ich nie będzie dotrzymywał. Trudno się nie zgodzić z tą logiką. Jak można oczekiwać bezpieczeństwa bez własnego wysiłku, wyłącznie na koszt amerykańskiego podatnika, jednocześnie przez lata tucząc Putina umowami gazowymi?

W europarlamencie jest pełno hipokryzji. W „dzień stekowy” kolejki są tak długie, że jak już się odejdzie od kasy, to stek jest zimny. Tak samo jest z samochodami – setki limuzyn obsługują posłów i komisarzy

I po co Tusk włożył palce w tę bijałkę?

To oczywiste – w interesie Niemiec. Im nie wypadło się wypowiadać, odpowiadać na słowa Trumpa, bo przynależałyby, że o nie chodziło, wykorzystano więc Donalda Tuska. Uważam, że jeszcze nie raz zobaczymy go w roli rzecznika Berlina. Niestety, w ten sposób postawił wyżej krótkoterminowe interesy niemieckie niż polskie bezpieczeństwo.

Polska powinna kibicować Trumpowi?

Donald Trump jest bardzo propolskim politykiem, wielokrotnie dobrze o nas mówił, docenia naszą rolę, odwiedził nas i wygłosił historyczne przemówienie, wysłał do Polski amerykańskie wojsko w obliczu rosnącego zagrożenia ze strony Rosji, dał nam możliwość zakupu nowoczesnego sprzętu. To są fakty. Znana jest też miłość do Polski małżonki prezydenta Trumpa Melanii Trump.

Słyszałem, że zamierza pan wspomóc prezydenta Trumpa w kampanii, wspierając go wśród amerykańskiej Polonii. To prawda?

Naszym, konserwatystów i Polaków, obowiązkiem jest dbanie o to, by zawiązywać sojusze z tymi, którzy myślą podobnie, dbają o bezpieczeństwo, zgadzają się z naszą wizją świata, podzielają nasze wartości. Nierozsądnym byłoby nieangażowanie się w sprawę, która może przynieść Polsce dużo dobrego. Dlatego będę niedługo w USA, wezmę udział w spotkaniu wyborczym Trumpa i jeszcze jednym wydarzeniu, które niech pozostanie niespodzianką. Siły konserwatywne na świecie muszą się wzajemnie wspierać, wojna cywilizacji niestety będzie tylko narastała. Zatem tak – uważam, że w Stanach Zjednoczonych powinniśmy wesprzeć Donalda Trumpa. Niestety, amerykańcy demokraci pokazali w Warszawie nierozsądną stronę dyplomacji, zaangażowali się partyjnie w nasze polskie spory. Popsuło to relacje, przekroczyło dopuszczalne granice.

Mówi pan o ambasadorze Marku Brzezinskim, który latami otwarcie kibicował ówczesnej opozycji, a dzisiaj w milczeniu przygląda się bezprawiu Donalda Tuska?

To niespotykana sytuacja. Za prezydentury Donalda Trumpa tego nie było. Ambasador USA reprezentował wtedy interesy swojego państwa, a nie partyjne. Donald Trump to bezpieczeństwo i pokój dla świata. Za jego rządów nie rozpoczęła się żadna nowa wojna, a różne imperia zła, w tym te zagrażające Polsce, czuły jego siłę i determinację, wołały nie ryzykować konfliktu.

Nie jest to polityk prorosyjski, jak przekonują media lewicowe?

To są oczywiste brednie. Przypomnę, że za jego prezydentury Rosja trzymała się z daleka od Ukrainy. To polityk, któremu zależy na pokoju, ale umie bronić swoich sojuszników. Patrzmy na skutki, a nie na słowa.



Donald Tusk z Radosławem Sikorskim robią wiele, by wypchnąć USA z Europy i z Polski. W co grają? Przecież służy to przede wszystkim Putinowi

Wojny



STANISŁAW JANECKI

Poniemiecku byłoby to Hassliebe, czyli „nienawistna miłość” bądź „miłosna nienawiść”. Tak można by skrótowo określić nastawienie premiera Donalda Tuska do Stanów Zjednoczonych. I ten stan trwa od ok. 16 lat. Sam Tusk oczywiście temu zaprzecza (od lat), choć fakty mówią co innego.

Donald Tusk jako premier Polski w latach 2007–2014 i ponownie od 13 grudnia 2024 r., a także jako przewodniczący Rady Europejskiej, co innego deklaruje, a co innego robi. Przed grudniem 2019 r. (końcem kadencji w Brukseli) próbował pogrywać z USA, choć występował w zupełnie innej lidze. W efekcie te gierki kończyły się kłopotami zarówno dla Polski, jak i dla Unii Europejskiej. I tak się składało, że pogrywanie Tuska ze światowym mocarstwem było wyjątkowo zgrane z nastawieniem władz Niemiec do Stanów Zjednoczonych.

Na początku lutego 2024 r. premier Tusk odwiedził Paryż oraz Berlin i zaraz całą jego propaganda (polityczna i medialna) zaczęła snuć wizję o politycznym i militarnym sercu Europy, które może zastąpić Stany Zjednoczone jako stabilizatora i gwaranta bezpieczeństwa. Oczywiście nikt nie zwracał sobie głowy wyjaśnieniem, gdzie jest europejska armia i jakim potencjałem dysponuje. Nie pytano też o to, kto to wszystko sfinansuje, skoro Niemcy od dekad wydają na obronę sporo poniżej 2 proc. PKB, a teraz miałyby wydawać grubo powyżej. W każdym razie obecny polski premier miał się w kilka dni stać jednym z najważniejszych europejskich polityków, zaś trójca Scholz, Macron i Tusk razem mogłaby ponoć więcej niż prezydent USA. A docelowo amerykański prezydent, jak i samo to mocarstwo, nie byłoby potrzebne Europie i wielkiej trójcy.

Byłaby to najnowsza, tym razem skuteczna, akcja wypychania USA z Europy. Zgodna z tym, co Donald Tusk robi od 16 lat. Najpierw chciał popełnić polityczne i strategiczne samobójstwo w pojedynkę, teraz byłoby to samobójstwo zbiorowe. A Polska w każdej z tych

sytuacji znalazłaby się na straconej pozycji.

WOJNA Z REPUBLIKANAMI

8 lutego 2024 r. Donald Tusk pouczył republikańskich senatorów: „Drozy republikańscy senatorowie Ameryki. Ronald Reagan, który pomógł milionom z nas odzyskać wolność i niezależność, musi dziś przewracać się w grobie. Wstydźcie się”. Tusk zareagował w ten sposób na głosowanie w Senacie USA blokujące pomoc dla Ukrainy, Izraela i Tajwanu, gdyż administracja Joe Bidena nie zapewniła odpowiednich środków na ochronę południowej granicy USA przed milionami nielegalnych imigrantów. Donald Tusk wyrwał się przed szereg, a nie zrobił tego żaden szanujący się europejski przywódca. Nie zrobił, gdyż sprawa pomocy, przede wszystkim Ukrainie, wcale nie jest przegrana.

Do słów Tuska (pokazanych na wielkiej planszy) podczas debaty w Senacie odniósł się republikanin Lindsey

Graham. „Panie premierze Polski, nie interesuje mnie, co pan o mnie myśli. [...] Chcę pomóc Ukrainie, chcę, by NATO było silniejsze, ale mój kraj płonie. Mamy 7 mln ludzi, którzy przeszli przez niebezpieczną granicę. Jakby się pan czuł, gdyby 7 mln ludzi przybyło nielegalnie do Polski? Czy nadal stawiałby pan Ukrainę ponad Polskę?”. Zareagował też republikański senator Marco Rubio, w 2016 r. startujący w republikańskich prawyborach prezydenckich: „Drogi panie premierze, czy możemy zacząć wysyłać do pana co miesiąc 300 tys. imigrantów, którzy nielegalnie przedostają się do Ameryki? Naprawdę pomogłoby nam to uporać się z inwazją na nasz kraj i znacznie przyczyniłoby się do przyjęcia ustawy pomocowej”. A senator z Ohio

Tuskowi nie wystarczyło jednak irytowanie republikańskich senatorów, postanowił więc zaatakować jeszcze byłego prezydenta Donalda Trumpa, praktycznie pewnego kandydata tej partii w wyborach, z dużymi szansami na wygraną. Podczas jednego z wieców w prezydenckiej prekampanii Trump powiedział: „Mógłbym nawet zachęcać Rosję, aby zrobiła, co do cholery chce z sojusznikami z NATO, którzy nie realizują celów w zakresie wydatków na obronę na poziomie 2 proc. PKB. Jeśli to nie obudzi europejskich przywódców, nic ich nie obudzi”. Tusk napisał na portalu X (d. Twitter): „Prezydent Duda: »Prezydent Trump dotrzymuje danego słowa«. Prezydent Trump: »Będę zachęcał Rosję do atakowania państw NATO«. Może to jest właściwy temat na Radę Gabinetową, Panie Prezydencie?”. Tusk potraktował Trumpa jak wroga, a nawet współnika

stosownych kosztów. Trump naciskał na wyższe wydatki państw UE na obronę tym bardziej, że już w 2018 r. wygarnął kanclerz Angeli Merkel, iż będąc formalnie w sojuszu z USA w ramach NATO, Niemcy sfinansowały rosyjskie zbrojenia, płacąc ogromne sumy za ropę i gaz. A kiedy USA apelowały, żeby Niemcy tego nie robiły, były kompletnie ignorowane.

BULLSHIT KOMPLETNY

4 lipca 2008 r. premier Donald Tusk oznajmił, że oferta Amerykanów dotycząca instalacji tarczy antyrakietowej w Polsce nie satysfakcjonuje jego rządu. Prezydent Lech Kaczyński, który był wielkim zwolennikiem usytuowania u nas amerykańskiego systemu, dowiedział się o decyzji premiera zaledwie kilka godzin wcześniej. Wezwał do siebie szefa MSZ Radosława Sikorskiego, którego podejrzewał (podobnie jak jego szefa Tuska) o prowadzenie niebezpiecznej gry z Amerykanami, polegającej na tym, by ne-

Władcy z Ameryką

James D. Vance stwierdził: „Nowy przywódca Polski aresztuje politycznych przeciwników, a bezpieczeństwo swojego kraju zawdzięcza hojności takich jak ja. Mógłby więc przynajmniej rozważyć okazanie wdzięczności lub stonowanie swoich autorytarnych zapędów”. Vance napisał też list do sekretarza stanu Antony'ego Blinkena, gdzie m.in. padły takie stwierdzenia: „Zwolnienia personelu w Telewizji Polskiej, Polskim Radiu i Polskiej Agencji Prasowej, zapoczątkowane wkrótce po objęciu władzy przez premiera Donalda Tuska i jego politycznych sojuszników, stawiają pytania na temat przywiązania tego nowego rządu do wolności mediów i rządów prawa. [...] Wzywam pana, by zachęcił nowy rząd Polski do przemyślenia działań, które podważają wolności drogie zarówno polskiemu, jak i amerykańskiemu obywatelom”.

Putina, żenująco manipulując jego słowami. A przecież Trump jako prezydent USA już w 2018 r. otwarcie mówił, że nie może być tak, iż Europa korzysta z parasola militarnego USA, jadąc na gapę i nie chcąc ponosić kosztów. Słowa Trumpa to zresztą nic nowego, bowiem Europę, a głównie Niemcy, w podobnym tonie przestrzegał już w 1998 r. demokratyczny prezydent Bill Clinton, grożąc, że USA mogą zrewidować swoją politykę, jeśli Europa nie będzie płacić za swoje bezpieczeństwo. Tusk podważył sojusznicze zobowiązania byłego i może przyszłego prezydenta USA, choć on nigdy się im nie sprzeniewierzył, a tylko próbuje zmusić państwa UE do wzięcia współodpowiedzialności i ponoszenia

gocjacji w sprawie tarczy zakończyć z nową administracją, czyli Baracka Obamy. Gdy te intrygi zagroziły tarczy, 20 sierpnia 2008 r. umowa została podpisana. Jednak gierki Tuska i Sikorskiego nie ustawały, a poza tym administracja prezydenta Obamy zmieniła priorytety, więc 17 września 2009 r., w 70. rocznicę napaści Sowie- tów na Polskę, USA ogłosiły, że tarcza w formie opisanej w umowie nie powstanie. Miał ją zastąpić inny projekt – systemu obrony przed rakietami krótkiego i średniego zasięgu. 3 lipca 2010 r. podpisano protokół zmieniający umowę z 2008 r. Ostatecznie baza

w Redzikowie osiągnęła status operacyjny dopiero 15 grudnia 2023 r.

Witold Waszczykowski, który jako ówczesny wiceminister spraw zagranicznych negocjował sprawę tarczy, w rozmowie z dziennikiem „Polska” (w lutym 2010 r.) powiedział: „Po niepotrzebnym wycofaniu się z Iraku i innych operacji na Bliskim Wschodzie oraz zamknięciu współpracy w dziedzinie antyrakietowej mamy w tej chwili taką zapaść w relacjach polsko-amerykańskich, że gdybyśmy chcieli zorganizować teraz wizytę prezydenta Obamy w Polsce, to nasi przywódcy nie mieliby o czym rozmawiać. Nic nas praktycznie nie łączy”. Waszczykowski przypomniał też „dowcip” o dziadku prezydenta Obamy, który miał opowiadać Radosław Sikorski: „Barack Obama ma polskie korzenie, bo zjadł polskiego misjonarza”. Sikorski groził mu potem sądem, zapewniając, że niczego takiego nie powiedział.

W czerwcu 2014 r. brukselski portal EUobserver odnotował: Radosław Sikorski został przyłapany (chodziło o nagrania z dwóch warszawskich restauracji) na „mieszaniu z błotem stosunków między Warszawą a Waszyngtonem”. Odnoszono się do wypowiedzi ówczesnego szefa polskiej dyplomacji, że „polsko-amerykański sojusz jest nic niewarty. Jest wręcz szkodliwy, bo stwarza Polsce fałszywe poczucie bezpieczeństwa. [...] Bullshit kompletny. Skonfliktujemy się z Niemcami, z Rosją, i będziemy uważali, że wszystko jest super, bo zrobiliśmy łaskę Amerykanom. Frajerzy. Kompletni frajerzy”.

Sam Donald Tusk był ostrożniejszy, bo ubiegał się wówczas o stanowisko przewodniczącego Rady Europejskiej. Już jako przewodniczący 15 lipca 2018 r. napisał na Twitterze: „UE i USA to najlepsi przyjaciele, a ktokolwiek mówi, że jesteśmy wrogami, rozpowszechnia fake newsy”. Była to reakcja na słowa ówczesnego prezydenta USA Donalda Trumpa: „Myślę, że Unia Europejska to wróg, co oni nam robią w kwestii handlu?”. Trump skarżył się, że UE „okropnie traktuje i systematycznie wykorzystuje USA”. Ale „to się zmienia, a jeśli nie, to zapłacą oni za to olbrzymią cenę”.

Jednak przez następny rok Tusk zaostrzał kurs wobec USA, aż stał się on ot-

warcie antyamerykański, m.in. poprzez stawianie pytań, czy Stany Zjednoczone są w ogóle Europie potrzebne, czy ich obecność nie jest szkodliwa. Wszystko to zaczęło się układać w spójną koncepcję wypchania USA z Europy, obecną także w polityce rządu Angeli Merkel. Tusk i niemieccy politycy zaczęli wtedy mówić o zorganizowaniu europejskiego systemu bezpieczeństwa w oparciu o armię Starego Kontynentu. To był wymarzony scenariusz dla Władimira Putina.

Tusk potraktował
Trumpa jak wroga,
a nawet współnika Putina,
żenująco manipulując
jego słowami. A tego
Ameryka nie zapomina

ELEMENT ROSYJSKIEJ DEZINFORMACJI

„Thank you, USA” („Dziękujemy, USA”) – tymi słowami Radosław Sikorski skomentował na Twitterze (we wrześniu 2022 r.) zniszczenie gazociągów Nord Stream. Dmitrij Połjański, pierwszy zastępca stałego przedstawiciela Rosji przy ONZ, napisał wtedy: „Dziękujemy Radosławie Sikorski za wyjaśnienie, kto stoi za tym terrorystycznym atakiem na infrastrukturę cywilną”. „Pomysł, że Stany Zjednoczone miały jakikolwiek związek z prawdopodobnym sabotażem tych rurociągów jest niedorzeczny” – oświadczył rzecznik Departamentu Stanu Ned Price. Dodał, że sugestie, jakoby USA odpowiadały za uszkodzenie gazociągów Nord Stream, są „rosyjską dezinformacją”.

Amerykanie, niezależnie od tego czy rządzą republikanie, czy demokraci, nigdy nie zapomnieli Tuskowi i Sikorskiemu ich zaczepki, impertynencji oraz traktowania USA jak wroga, a nie sojusznika. Gdy Tusk zorientował się, że Waszyngton źle ocenia to, iż robił karierę na podłączeniu się do „centrali” w Berlinie, a przez powiązania Berlina z Moskwą,

doprowadził do resetu z Putinem, chciał zmienić front. Ale Amerykanie dali mu do zrozumienia, że kompletnie niesą tym zainteresowani. Dla Waszyngtonu nie ma znaczenia, kto akurat zasiada w Białym Domu. Ważne jest obrażanie prezydenta USA, podważanie roli tego państwa jako supermocarstwa. W nadymaniu się i nigraniu z USA Tusk w pewnym momencie przestał znać jakąkolwiek miarę, co spowodowało, że faktycznie zaczął być dla Waszyngtonu *persona non grata*.

Z punktu widzenia relacji USA–UE nie miało to specjalnego znaczenia, bo Tuskowi kończyła się kadencja i zawsze można się było kontaktować z przewodniczącym Komisji Europejskiej (wtedy Jeanem-Claudem Junckerem). Z punktu widzenia relacji USA–Polska Tusk stał się wtedy dla Waszyngtonu nikim. I to się nie zmieniło, gdy znowu został premierem.

Kiedy 25–26 marca 2022 r. prezydent Joe Biden przebywał w Polsce, Donald Tusk robił wszystko, by zostać przez niego przyjęty. Uruchomił swoje kontakty, łącznie z wykorzystaniem TVN (należącego do amerykańskiego Discovery), wstał się za nim ambasador USA w Warszawie Mark Brzezinski, ale Biały Dom i Departament Stanu nie były zainteresowane nawet blahym wyróżnieniem byłego przewodniczącego Rady Europejskiej.

Nie jest przypadkiem, że na początku lutego 2024 r. także dla Radosława Sikorskiego, już jako szefa MSZ, nie znalazł czasu sekretarz stanu Antony Blinken. Tuskowi nie pomogła wojna Rosji przeciw Ukrainie, gdyż jego „centrala” w Berlinie kompletnie zawiodła, gdy chodzi o najważniejsze sprawy polityki międzynarodowej. A Tusk był i jest twarzą tej przegranej berlińskiej centrali.

W czasie wojny na Ukrainie i w przededniu prawdopodobnie dużych geopolitycznych wstrząsów oraz zmian polski premier (a także szef MSZ), skreślony w Waszyngtonie, nie ma właściwie żadnych szans na odgrywanie istotnej roli w międzynarodowej polityce. Faktycznie Tusk stał się znowu największą nadzieją Władimira Putina – jako ten, kto niszczy NATO, realizując idiotyczne pomysły eurokratów (i własne) o strategicznej samodzielności UE, wypchnięciu USA z Europy, zastąpieniu US Army atrapą europejskiej armii. 



Właściciel marki LOTTO

**NAJWIĘKSZY MECENAS SPORTU
I KULTURY W POLSCE**



MILIARDÓW ZŁOTYCH

**PRZEKAZANYCH NA POLSKI
SPORT I KULTURĘ OD 1994 ROKU**

#WygrywamyRazem



Jak oni odpartyjniąją

Ruszyła „żelazna miotła”, którą w spółkach skarbu państwa zapowiadał Donald Tusk. Lecz zamiata inaczej, niż obiecywał lider PO. Nowa władza wręcz rzuciła się na państwowe przedsiębiorstwa. I pokazuje, że dopiero obecnie nabierze znaczenia zasada TKM – teraz, k..., my!



MAREK PYZA

Na liście 100 konkretów Platformy przed wyborami pod numerem 68 znalazł się i taki: „W spółkach z udziałem Skarbu Państwa zwolnimy wszystkich członków rad nadzorczych i zarządów. Przeprowadzimy nowy nabór w transparentnych konkursach, w których decydować będą kompetencje, a nie znajomości rodzinne i partyjne”.

Nie minęło jeszcze 100 dni rządów koalicji 13 grudnia, nie spełniła ona nawet 10 ze swoich 100 konkretów (czyt. postulatów/obietnic), ale zdążyła za to przygotować dwie setki nazwisk ludzi, którym będzie się żyło lepiej, bo są albo działaczami partii tworzących rząd, albo są z nimi bliżej lub dalej powiązani.

Żadnych konkursów oczywiście nie było. Być może częściowo zostaną takie ogłoszone na posady w zarządach spółek, ale nie ma co się nimi za bardzo przejmować. Składy rad nadzorczych gwarantują, że wygrają ci kandydaci, którzy mają wygrać.

Być może tym razem zbliżyła się do prawdy gazeta Michnika, która w połowie stycznia napisała, że Donald Tuski będzie osobiście wybierał szefów spółek, a pozostawi im jedynie możliwość mianowania swoich zastępców. Nieco później portal money.pl podawał, że premier ma akceptować tylko przewodniczących rad nadzorczych spółek strategicznie ważnych dla gospodarki i państwa. Mowa o 22 z 135 firm nadzorowanych przez resort aktywów państwowych.

WRACA STARA GWARDIA

Wszystkie nominacje ciężko ogarnąć. Rada ds. spółek z udziałem Skarbu Państwa pracuje aż furczy. W styczniu 99 osób dostało od niej zielone światło do zasiadania w radach nadzorczych. Tylko do 13 lutego zaopiniowała pozytywnie kolejnych 100 kandydatur.

Na czele tego gremium stoi Grzegorz Karpiński, zaufany człowiek Donalda Tuska. Zbieżność nazwisk z byłym ministrem skarbu w rządzie Tuska, a później sekretarzem miasta st. Warszawy i prezesem Miejskiego Przedsiębiorstwa Oczyszczania, aresztowanym w aferze korupcyjnej i po kilku miesiącach zwolnionym, by zasiąść w europarlamencie, jest przypadkowa. Choć obaj panowie

byli już w rządzie Donalda Tuska. Grzegorz jako wiceminister sportu, a w rządzie Ewy Kopacz – wiceminister spraw wewnętrznych.

Z powodu ogromu materii spośród tych dwóch setek nazwisk wyłowimy te najbardziej jaskrawo pokazujące, że zapowiedzi odpolitycznienia państwowych spółek były czyściutkim kłamstwem, niczym woda zwana Czyżówianką.

Polska Wytwórnia Papierów Wartościowych. To tu już 2 stycznia nastąpiła pierwsza głośna nominacja – Magdaleny Roguskiej, wiceprzewodniczącej Rady Warszawy, skarbnik stołecznej Platformy i szefowej gabinetu politycznego obecnego szefa MSWiA Marcina Kierwińskiego.

Na żniwa w najważniejszych spółkach nadszedł w czas lutym. W miniony czwartek kandydaci ministra aktywów państwowych Borysa Budki zostali powołani w skład rady nadzorczej PZU. Chodzi m.in. o Wojciecha Olejniczaka (b. szefa SLD i ministra rolnictwa w rządzie Leszka Millera, dziś członka rady fundacji Aleksandra Kwaśniewskiego Amicus Europae) i Michała Jonczyńskiego, wiceprezesa ZUS w czasie pierwszych rządów Tuska, byłego dyrektora szpitala w Rypinie, objętego aktem oskarżenia za liczne nieprawidłowości w tej placówce (m.in. wyłudzenia dotacji, niedopełnienia obowiązków i przekroczenia uprawnień). Na marginesie dodajmy, że w tej samej sprawie oskarżonym jest również Daniel Gorgosz, nielegalnie powołany przez Bartłomieja Sienkiewicza likwidator TVP.

Tego samego dnia doszło do zmian w radzie Poczty Polskiej. Jej członkiem (od razu delegowanym do kierowania spółką) został Sebastian Mikosz, b. prezes PLL LOT, które chciał prywatyzować. Obok niego w RN znaleźli się Paweł Wojciechowski (minister finansów w czasie ostatnich trzech tygodni rządu Kazimierza Marcinkiewicza, później u Tuska wiceszef MSZ i ambasador przy OECD, a ostatnio ekspert gospodarczy Polski 2050) jako przewodniczący czy Magdalena Gaj (w rządach PO-PSL wiceminister administracji i cyfryzacji oraz prezes Urzędu Komunikacji Elektronicznej).

Dzień wcześniej wybrano radę PGE. Trafił doń Andrzej Rzońca (główny ekonomista Platformy Obywatelskiej),

Sławomir Patyra (doradca senatora Tomasza Grodzkiego i niedawny kandydat KO oraz PSL na Rzecznika Praw Obywatelskich), Eryk Kosiński (w latach 2008–2009 prezes Agencji Mienia Wojskowego, a później zastępca platformerskiego prezydenta Bydgoszczy), Elżbieta Niebisz (w czasie rządów SLD-PSL dyrektor w ministerstwie skarbu) czy związany z Polską 2050 Andrzej Sadkowski.

W radzie Azotów znalazło się miejsce dla Mirosława Sobczyka ze starej gwardii SLD, wydawcy książki Leszka Millera, znajomego Sławomira Nitrasa Artura Rzempały.

Nowa miotła wykonała już swoją robotę również w Polskiej Grupie Zbrojeniowej. Tam do rady trafił m.in. gen. Artur Kolesowski (bezsukcesyjnie kandydował z list Platformy w 2018 r. w wyborach samorządowych i w 2019 r. – parlamentarnych, w grudniu został dyrektorem Centrum Operacyjnego MON), Jakub Goździkowski (doradca Cezarego Grabarczyka jako ministra infrastruktury i pracownik biura poselskiego Andrzeja Biernata, późniejszego ministra sportu, skazanego za fałszowanie oświadczeń majątkowych) czy Tomasz Kolodziej (człowiek Marka Sawickiego z PSL, przed ponad dekadą prezes Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa).

Do rady nadzorczej KGHM trafił Marian Noga, przed 20 laty senator SLD, ale, co gorsza, również funkcjonariusz komunistycznego kontrwywiadu w PRL (w pełni uzależnionego od Moskwy), który robił doktorat na Leningradzkim Uniwersytecie Państwowym. Często jest przedstawiany jako „znany ekonomista”, a nawet „wybitny”. Autorem tych słów warto polecić wywiad z Nogą w „Wyborczej” z czerwca 2016 r. Mówił wówczas, że rząd nie będzie miał pieniędzy na program 500+ w kolejnych latach, że nie ma sukcesów w walce z szarą strefą VAT czy że nie stać nas na obniżenie wieku emerytalnego. Jeszcze lepsze były jego prognozy z 3 stycznia br. w RMF, gdzie zapowiadał, że w 2024 r. przybędzie nam w kieszeniach. Tu też się pomyli.

Osobny wątek stanowią nielegalne rady nadzorcze, zarządy i likwidatorzy mediów publicznych, o czym sporo już napisano. Najlepszym dowodem upartyjniienia spółek są powołania

w Polskim Radiu, gdzie na prezesa minister kultury Bartłomiej Sienkiewicz powołał byłego szefa własnego gabinetu politycznego Pawła Majchra, czy TVP, dokąd na fotel prezesa wbrew przepisom trafił Tomasz Sygut, niedawny członek podległej Rafałowi Trzaskowskiemu miejskiej spółki Zarząd Transportu Miejskiego.

NOWE KOTY W KUWETACH

Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej to instytucja niedoceniana w powszechnej świadomości, a przecież decyduje o wydawaniu grubych miliardów na różne programy. To stąd popłynie gigantyczna kasa do odpowiednich organizacji pozarządowych czy firm. Tu szefem rady nadzorczej został Paweł Pudłowski, w kadencji 2015–2019 szef klubu Nowoczesna, później w Koalicji Obywatelskiej. Jego zastępczynią jest działaczka Polski 2050 i radna Konina Emilia Wasielewska. W 10-osobowej radzie pojawił się również Krzysztof Palka z dolnośląskich struktur partii Hołowni oraz Ewa Patalas (w ruchu Hołowni od początku, czyli od 2020 r.). Wymienieni dołączyli w radzie m.in. do Olgierda Geblewicza – platformerskiego barona w Zachodniopomorskiem, marszałka tego województwa (w radzie NFOŚiGW zasiada od kilku lat jako przedstawiciel strony samorządowej Komisji Wspólnej Rządu i Samorządu Terytorialnego).

9 lutego Szymon Hołownia napisał w mediach społecznościowych: „Zakaz powoływania pracowników partii do zarządów i rad spółek. Zakaz powoływania parlamentarzystów i samorządowców do zarządów i rad spółek. Zakaz finansowania partii przez członków zarządów i rad spółek. Zmiany zaczynamy od siebie. Żadna osoba zatrudniona czy należąca do Polski 2050 nie otrzyma nominacji do rad nadzorczych. Jeśli dziś takie osoby tam są, podadzą się do dymisji”.

Była to reakcja na powołanie do rady nadzorczej ORLENU Tomasza Sójki,

działacza Polski 2050 i organizatora struktur formacji w Wielkopolsce. ORLEN kluje w oczy, więc Hołownia odniósł się do tej sprawy przed kamerami. Ogłosił, że rozmawiał z Sójką i ten podał się do dymisji. Tak też się stało. Jednak o innych nominatach ze swojej partii pan marszałek nie wspominał. A trochę ich jest.

Mapa politycznego skoku na publiczne spółki i instytucje nie tylko pokazuje, że zapowiedzi odpolitycznienia państwowych przedsiębiorstw, wygłaszane przez Tuska, Hołownię, Kosiniaka-Kamysza i Czarzastego, były kampanijnym picem. Dowodzi też, że mimo gigantycznych różnic programowych, osobistej niechęci i nieufności wśród liderów tworzących koalicję, układ ukonstytuowany w rocznicę wprowadzenia stanu wojennego szybko się nie rozpadnie

Poza wspomnianymi członkami rady NFOŚiGW mowa o wiceprezesie tego Funduszu Robercie Gajdzie (szef zarządu Polski 2050 w okręgu Gniezno, Konin, Września i in.). Prywatnie jest on dobrym znajomym pań z rady – Patalas i Wasielewskiej, które wybierały zarząd. A ze wszystkimi zna się (z częścią współtworzyła listę wyborczą) nadzorująca Fundusz minister klimatu Paulina Hennig-Kloska. Gdy okazało się, że do rady trafili tylko ludzie od Hołowni, pani minister musiała zrobić ukłon w stronę PSL i dorzuciła do tego towarzysztę Dorotę Zakrzewską, protegowaną Piotra Zgorzelskiego. Do zarządu NFOŚiGW PSL wsadził zaś Józefa Matysiaka, starostę rawskiego, a Lewica – do rady nadzorczej

– Marka Papugę (startował do Sejmu z list SLD).

Ze stajni Hołowni mamy jeszcze członka rady nadzorczej Enei Michała Gniatkowskiego (kandydował z list Polski 2050 do Sejmu), który zamiast zastępować się do polecenia Szymona Hołowni i złożyć dymisję z rady nadzorczej, wołał zaprzestać działalności partyjnej. W tej samej strukturze znalazł dodatkowe zatrudnienie Piotr Szymanek (na co dzień pracuje w mazowieckim Urzędzie Marszałkowskim u Adama Struzika oraz zasiada w radzie nadzorczej Szpitala Wojewódzkiego w Siedlcach).

Kolejne nazwiska to Miłosława Zagłoba w radzie nadzorczej Krajowej Grupy Spożywczej (z partyjnego Instytutu Strategii 2050), Emil Rojek w Krajowym Zasobie Nieruchomości (gdynski polityk Polski 2050, jednocześnie świeżo upieczony wicewojewoda pomorski) czy Andrzej Sadkowski, wsadzony do rady nadzorczej PGE. To członek-założyciel Polski 2050, na którego koncie na platformie X (d. Twitter) ostatni wpis zawiera partyjną grafikę z 9 października z hasłem: „Thuste koty, pakujcie kuwety!”.

Chyba chodziło o to, że nowe kocury nie mogły się doczekać dopadnięcia kuwet.

Partia Hołowni wije się jak piskorz, udając, że nie uczestniczy w skoku na publiczne pieniądze. A przecież oni już dawno to przećwiczili, w skrajnej formie. Michał Gramatyka, poseł tego ugrupowania, gdy był jeszcze w klubie Platformy, trafił do zarządu Tauronu, gdzie przepracował... 68 dni, za które zarobił 212 tys. zł, a dodatkowo 450 tys. zł w ramach odprawy. Co ciekawe, początkowo zaprzeczał, by wziął ten bonus.

OBSADZĄ WSZYSTKO

Nie wiemy jeszcze, w jakich radach nadzorczych znajdą się dziesiątki kolejnych nazwisk, ale spokojnej przyszłości na państwowym wickie mogą się spodziewać m.in. takie postacie, jak Beata Bieniek-Wiera (pełnomocnik

Rafała Baniaka, b. wiceministra gospodarki oraz skarbu w rządach Tuska i Kopacz, aresztowanego i oskarżonego wspólnie z Włodzimierzem Karpińskim – w przypadku Baniaka chodzi o zarzuty zbrodni VAT-owskiej i prania pieniędzy – bohatera skandalu obyczajowego w restauracjach Sowa i Przyjaciele i Amber Room), Rafał Wiechecki (w dawnych czasach LPR-owski minister gospodarki morskiej, dziś obrońca senatora Stanisława Gawłowskiego, oskarżonego o siedem przestępstw w tzw. aferze melioracyjnej), Rafała Zahorskiego (pełnomocnik marszałka Sejmiku ds. gospodarki morskiej), Pawła Bartoszewskiego (działacz PO, kolejny protegowany Geblewicza), Karoliny Ryder (pracownica biura posła PSL Jarosława Rzępy) czy Mariusza Mandata (działacz PSL).

Ze szczecińskiego układu pochodzi Patryk Zbroja (w 2015 r. startował do Senatu z list Nowoczesnej, patron korporacyjny Roberta Murawskiego, nielegalnego likwidatora Radia Szczecin),

który pełni funkcję członka rady nadzorczej Zarządu Morskich Portów Szczecin i Świnoujście, a także Norbert Obrycki (b. senator i samorządowiec Platformy).

We wspomnianej radzie Krajowej Grupy Spożywczej będą też mieli synekurę Piotr Rodkiewicz (prawnik, który wspierał Hannę Gronkiewicz-Waltz w jej zeznaniach przed komisją repywatyzacyjną) czy Wojciech Pomajda (b. poseł SLD).

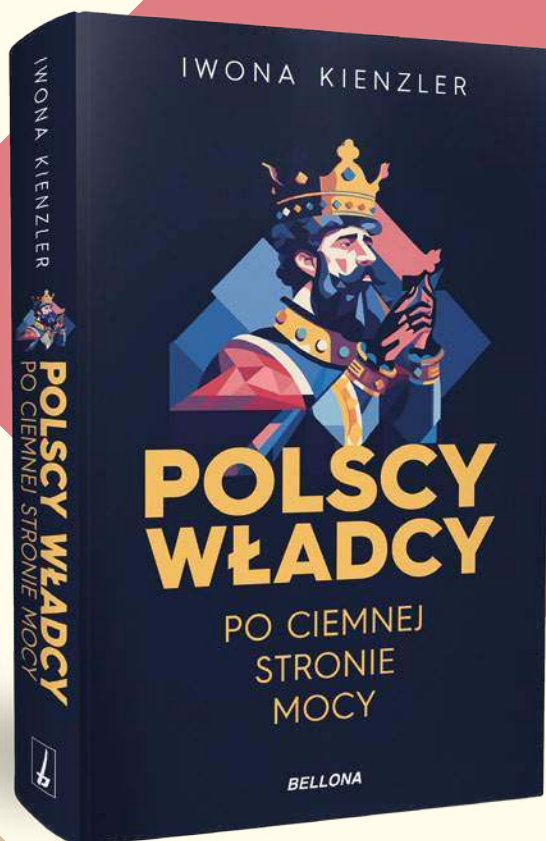
A przecież spółki to nie wszystko. PSL rozsiada się np. w Polskim Związku Łowieckim. Jego prezesem został właśnie Eugeniusz Grzeszczak, w czasie pierwszych rządów Tuska sekretarz stanu w KPRM, a w PSL od początku istnienia, gdy przemianowało się z ZSL (w którym pan Grzeszczak też działał, zasiadając nawet przez niemal całe lata 80. w Wojewódzkiej Radzie Narodowej w Koninie). A ekipa Hołowni wstawia do zarządu Fundacji Rozwoju Systemu Edukacji Sławomira Drelichy, który kandydował z list Polski 2050 i był hojnym donatorem ugrupowania (wplacił na kampanię ponad 20 tys. zł).

Jesteśmy na początkowym etapie przejmowania Polski przez koalicję 13 grudnia. Widzimy tylko wycinek jej apetytów i procedury pchania się do konfitur postaci często skompromitowanych. Ale już ten niepełny obraz budzi trwogę.

Mapa politycznego skoku na publiczne spółki i instytucje nie tylko pokazuje, że zapowiedzi odpolitycznienia państwowych przedsiębiorstw, wygłaszane przez Tuska, Hołownię, Kosiniaka-Kamysza i Czarastego, były kampanijnym picem. Dowodzi też, że mimo gigantycznych różnic programowych (ktoś jeszcze przykłada do nich wagę?), osobistej niechęci i nieufności wśród liderów tworzących koalicję układ ukonstytuowany w rocznicę wprowadzenia stanu wojennego szybko się nie rozpadnie.

Jednoczyć go będzie długo doskwierający głód pasienia się na majątku wspólnym. Pytanie, czy wyborcy tych partii zaakceptują fakt, że zostali tak perfidnie oszukani.

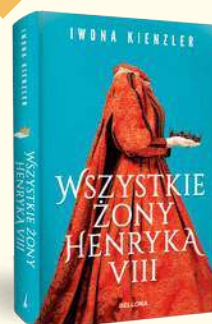
REKLAMA



Historia
Polski, jakiej
nie uczą
w szkołach

Poznaj
mroczną
stronę mocy
władzy!

POLECAMY
TAKŻE



Hamulcowy Tusk

Odsunięcie PiS od władzy wcale nie oznacza zwycięstwa Tuska. Jego reżim musi bowiem okiełznać rozbudzone w ciągu ostatnich ośmiu lat aspiracje Polaków. Tymczasem debata wokół CPK pokazuje, że nie będzie to takie proste



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Dziś stało się w pełni jasne, że strategia „j...bać PiS”, z którą koalicja Tuska szła do wyborów, służyła dwóm celom. Pierwszy polegał na zohydzeniu PiS w oczach Polaków i odebraniu tej partii części wyborców. Drugi, który dopiero teraz ujawnia się w całej okazałości, dotyczył nie tyle samej partii, ile jej dorobku. Wulgarny atak na PiS miał negatywnie nastawić Polaków do projektów rozwojowych poprzedniego rządu i sprawić, że bez protestów przyjmą oni rezygnację z wielkich inwestycji. Wszystko, co „pisowskie”, miało być z definicji złe, podejrzane, godne pogardy i odrzucone. Jednak o ile pierwszy cel, jakim było odebranie PiS większości parlamentarnej udało się Tusкови osiągnąć, o tyle drugi, czyli cofnięcie Polski w rozwoju, okazał się znacznie trudniejszy do zrealizowania.

Okazuje się, że wielu ludzi, wśród nich nawet ci, którzy chcieli „j...bać PiS”, wcale nie zamierza „j...bać Polski” i nie uważa w związku z tym, że państwo zbudowane w ciągu ostatnich ośmiu lat należy teraz mściwie zrównać z ziemią. Przeciwnie, chcą oni dalszego rozwoju kraju, a ich błąd intelektualny podczas wyborów polegał na tym, że przekazali to zadanie w ręce koalicji Tuska.

Paradoksalnie więc ci sami wyborcy, którzy pomogli Tusкови przejąć władzę, utrudniają mu teraz jej sprawowanie, bo domagają się od nowego reżimu



kontynuacji polityki gospodarczej poprzedniego rządu. Właściwie to nawet nie domagają się, ale, jak zauważył na portalu wPolityce.pl Michał Karnowski, pokornie proszą Tuska, aby nie hamował rozwoju Polski. Oni ciągle mu ufają, sądzą, że być może błądzi. Trudno sobie bowiem wyobrazić, aby premier mógł działać wbrew interesom kraju. Jednak dziwna to sytuacja, gdy obywatele ślą listy błagalne do szefa rządu, aby ten zlitował się nad własnym państwem.

O CO MU CHODZI?

Tusk dobrze wie, jak ważną rolę w polityce odgrywają zbiorowe emocje. Podczas swoich poprzednich rządów szczyt

jego popularności przypadł na przełom 2011 i 2012 r., gdy w Polsce trwały przygotowania do organizacji mistrzostw Europy w piłce nożnej. Teraz mógłby znowu nabić sobie słupki na fali społecznego entuzjazmu, nawet łatwiej niż kiedyś, bo wystarczyłoby skorzystać z projektów poprzedniej ekipy – ruszyć z budową CPK oraz innych wielkich inwestycji, takich jak elektrownie atomowe, sieć kolei lub nowe porty morskie, i roztoczyć przed Polakami perspektywę przyszłej prosperity. On jednak twardo trzyma się przyjętej linii, że wszystko, co wyszło spod ręki PiS, jest skażone i nie do przyjęcia.

W poprzednim numerze naszego tygodnika pisałem, że być może to kwestia psychiki Tuska, który do tego stopnia jest

ogarnięty pragnieniem zemsty na PiS, że w kompletnej fiksacji odrzuca wszystko, co ma związek z poprzednikami. Ale nawet jeśli tak jest, to beneficjentami tej fiksacji są przede wszystkim Niemcy, którzy dzięki temu pozbywają się potencjalnego konkurenta w regionie. I że być może właśnie w tym pragnieniu Niemiec do hamowania polskiego rozwoju tkwi klucz do zrozumienia pustki programowej Tuska oraz minimalizmu inwestycyjnego obecnej ekipy.



Jeśli tak jest, to Tusk ma dwa problemy. Pierwszy polega na tym, że większość Polaków nie rozumie jego kunktatorskiej polityki. Drugi jest taki, że nie potrafi on przekonująco wyjaśnić jej przyczyn. A to budzi różne domysły, zwykle bardzo niekorzystne dla Tuska. Coraz więcej osób zadaje sobie bowiem pytanie, dlaczego szef rządu blokuje ważne inwestycje dla swojego kraju.

Niewykluczone, że odpowiedź na to pytanie mogłaby być dla Tuska politycznym samobójstwem. Bo trudno byłoby np. przyznać, że tych inwestycji nie będzie „na złość PiS” albo że te uniki decyzyjne wynikają z jakichś uwikłań. Gdyby tak było, oznaczałoby to, że pre-

mier ma zupełnie inne priorytety niż większość jego współobywateli.

Koszt polityczny takiej szczerości byłby bardzo wysoki, dlatego Tusk ślizga się, lawiruje i próbuje odwrócić uwagę społeczeństwa, nakręcając spiralę wojny z PiS. I chociaż najbardziej zagorzali fanatycy obecnej władzy ekscytują się polowaniem na pisowców, to coraz większa część opinii publicznej spogląda na ten spektakl z rosnącym zniechęceniem i obawą o przyszłość państwa.

COŚ WIĘCEJ NIŻ LOTNISKO

O dużym rozdźwięku pomiędzy oczekiwaniami i aspiracjami społeczeństwa a polityką prowadzoną przez Tuska świadczy debata o budowie CPK, która przykuwa znacznie więcej uwagi niż niekończąca się batalia z PiS. Słowo „debata” jest tu użyte mocno na wyrost, bo aktywni są jedynie zwolennicy nowego lotniska. W internecie trwa akcja „Tak dla CPK”, w ramach której internauci, eksperci oraz politycy wspierają tę inwestycję. Jej przeciwnicy, nie mając żadnych argumentów, unikają otwartego starcia w obawie przed publiczną kompromitacją oraz zarzutami za-przaństwa. Bo tak naprawdę przedmiotem tej debaty jest nie tylko lotnisko, lecz także przyszłość kraju. W rzeczywistości dyskutujemy bowiem o tym, czy Polska ma pozostać na ścieżce dynamicznego rozwoju, czy cofnąć się do czasów, gdy ludzie musieli szukać pracy na polach szparagów w Niemczech. To zrozumiałe, że nikt, kto w Polsce poczuł się częścią mitycznego Zachodu, nie chce być z powrotem wyrzucony za jego próg.

Paradoksalnie za ten wzrost aspiracji Polaków odpowiada nie tylko PiS, które położyło zręby pod sukces gospodarczy kraju, lecz także Platforma, roztaczająca świetlane wizje zasobnego życia we wspólnej Europie. Unia miała być zbawieniem dla Polski, dlatego więc teraz, po ponownym objęciu władzy przez Tuska, mamy zrezygnować z własnych aspiracji? Dlaczego zamiast rozwijać mamy się kurczyć? Czemu zamiast dumy mamy odczuwać wstyd? Te pytania oraz związane z nimi obawy stały się motorem sporu o CPK i kluczem do zrozumienia dużego poparcia dla jego budowy.

To właśnie dlatego Tuskowi nie udało się wmówić Polakom, że CPK, podobnie jak inne wielkie inwestycje, jest jedynie przejawem pisowskiej gigantomanii i zwykłym przewalaniem pieniędzy. W tej kwestii Tusk zupełnie stracił kontrolę nad przekazem. Było to możliwe również dzięki temu, że debata o CPK wykroczyła poza partyjne spory w Polsce. Po stronie lotniska opowiedziały się w niej m.in. środowiska odległe politycznie od PiS, takie jak Partia Razem oraz liczni eksperci, w tym były dyrektor operacyjny LOT Maciej Wilk, który wyrósł w ostatnich tygodniach na głównego orędownika budowy CPK, czy dawny prezes LOT (jeszcze z nadania Tuska) Sebastian Mikosz.

Temat lotniska, który już wcześniej rozpałał duże emocje w mediach społecznościowych, nabrał jeszcze większego zasięgu, gdy zajął się nim internetowy Kanał Zero. W obronie CPK stanął b. szef Sztabu Generalnego gen. Rajmund Andrzejczak, wskazując na kluczowe znaczenie inwestycji dla bezpieczeństwa Polski (chodzi o szybki przerzut wojsk NATO na wypadek wojny). Kilka dni później odbyła się dyskusja, w której po raz pierwszy publicznie zderzyli się zwolennicy i przeciwnicy budowy. Argumentów na rzecz CPK nie będziemy tutaj przytaczać, bo z pewnością są doskonale znane czytelnikom. Zresztą, jak już była o tym mowa, w przypadku CPK nie idzie wyłącznie o lotnisko, ale o szerszy pomysł na przyszłość Polski.

DETERMINACJA TUSKA

W tym kontekście znacznie ważniejsze jest stanowisko obecnej koalicji rządowej, bo to ona, bez względu na siłę i jakość argumentów zwolenników CPK, podejmuje decyzje w sprawie przyszłości lotniska. Niestety wszystko wskazuje na to, że Tusk i jego ekipa nie zamierzają ustępować. Co więcej, tłumaczą oni swój sprzeciw w sposób urągający ludzkiej inteligencji. Przykładowo Dariusz Joński uważa, że mamy już wystarczającą liczbę lotnisk, a Joanna Mucha obawia się, że CPK może zagrozić klimatowi. Tę dwójkę „ekspertów” przebiła jednak posłanka KO Małgorzata Niemczyk, która najbardziej

niepokoi się tym, czy w Polsce wystarczy cementu na budowę lotniska.

Sporządzenie dyskusji do takiego poziomu oznacza: po pierwsze, że ludzie Tuska nie mają żadnych merytorycznych argumentów przeciwko CPK, i po drugie, że w ogóle nie zamierzają dyskutować na ten temat, a swoich adwersarzy, ludzi doskonale przygotowanych do debaty, zwyczajnie lekceważą. Nie wróży to dobrze budowie CPK, która za tej kadencji Sejmu prawdopodobnie nie ruszy z miejsca.

Może o tym świadczyć także powołanie Macieja Laska na pełnomocnika rządu ds. CPK. Lasek, który jest sumiennym wykonawcą poleceń Tuska i podobnie jak premier zdradza obsesyjną niechęć do wszystkiego, co ma jakikolwiek związek z PiS, zapowiedział przeprowadzenie audytu w sprawie lotniska. Jego wyniki miałyby przesądzić o budowie CPK. Trudno jednak nie odczytywać tego jako gry na zwłokę, w nadziei, że gdy już ucichnie wrzawa, temat uda się zamknąć.

13 lutego po wyjściu z Rady Gabinetowej Tusk stwierdził, że „wszystkie dotychczasowe ekspertyzy stawiają pod znakiem zapytania całą inwestycję”. Nikt jednak nie znalazł rzekomych ekspertyz, na które powoływał się premier. Interpelację w tej sprawie zgłosiła posłanka Partii Razem Paulina Matysiak, zarzucając rządowi „zabawę w metody podjazdowe i grę na opóźnianie projektu”.

Determinacja Tuska w walce z CPK jest zadziwiająca i daje wiele do myślenia, bo nasuwa podejrzenia, że dla jego ekipy są ważniejsze rzeczy niż rozwój Polski i pomyślność jej obywateli. Jeżeli nie uda mu się odsunąć tych podejrzeń, będą one z czasem narastać, co może doprowadzić do załamania poparcia, jakim mimo wszystko ciągle cieszy się jego koalicja.

Sygnałem ostrzegawczym może być tutaj odnotowany w ostatnim sondażu Pollster dla „Super Expressu” niewielki spadek popularności Trzeciej Drogi (z 17 proc. do 14,8 proc.). Niektórzy tłumaczą to wstrząsem z powodu śmierci Szymona Hołowni wobec budowy CPK, co stoi w sprzeczności z nastrojami wśród jego wyborców, z których aż 85 proc. popiera powstanie nowego lotniska.



ZAŚCIANIEK U WŁADZY

Spór o CPK pokazuje, że samo zagranienie władzy i brutalna rozprawa z poprzednikami nie gwarantują pełnej kontroli nad krajem. Nowej ekipie rozpaczliwie brakuje pozytywnego przesłania, które mogłoby być odpowiedzią na oczekiwania Polaków. A te się mocno zwiększyły po ośmiu latach rządów PiS.

Przedmiotem debaty jest nie tylko lotnisko. Dyskutujemy o tym, czy Polska ma pozostać na ścieżce dynamicznego rozwoju, czy cofnąć się do epoki zbierania szparagów w Niemczech

Zmiany kulturowe, które towarzyszyły wzrostowi ogólnej zamożności w Polsce, stały się, zdaniem niektórych, jedną z przyczyn utraty władzy przez PiS. Paradoks tej sytuacji polega jednak na tym, że dokładnie te same zmiany mogą w przyszłości zagrozić formacji Tuska. Bo coraz więcej Polaków, zwłaszcza tych młodszych, nie pamięta już innej rzeczywistości niż obecna. W pełni czują się częścią Zachodu, są pozbawieni kompleksów i stali się narodem nastawionym na konsumpcję oraz wygodę życia. Jeżeli

więc Tusk proponuje im teraz rezygnację z tych wygod, spadek poziomu życia oraz postawę uległości wobec innych, to oni tego nie kupią.

Nie będzie ich też tak łatwo ogłupić, co również pokazuje spór wokół CPK. Warto zauważyć, że duża część młodych w ogóle nie korzysta z tradycyjnych mediów, takich jak prasa czy telewizja. Zamiast tego sięgają do mediów społecznościowych, których nie da się już tak łatwo kontrolować i gdzie pojawia się coraz więcej alternatywnych kanałów informacji. Nieprzypadkowo debata o CPK rozgrywała się niemal wyłącznie w internecie, a filipiki prorządowych mediów przeciwko CPK przeszły niemal niezauważone.

Tusk, mimo licznych występów na TikToku, jest politykiem z poprzedniej epoki, zafiksowanym wyłącznie na swojej osobistej wojnie z PiS. Jego obsesje mogą być atrakcyjne dla fanatycznego elektoratu, ale nie zbudują mu dużego, stabilnego poparcia. Sama walka z PiS to dziś zbyt mało, aby rządzić.

Spór o CPK pokazał też, że przeciwnicy lotniska, w znakomitej większości wyborcy PO i Lewicy, zaczynają dziś odgrywać w Polsce rolę, którą dotąd uwielbiano przypisywać prawicy. Stają się symbolem zaścianka, braku wiedzy i kompleksów wobec zagranicy. A także politycznego warcholstwa, które nie pozwala ustąpić nawet wtedy, gdy wali się cały kraj.

Jeżeli Tusk uprze się, aby zahamować rozwój Polski, to zapewne go zahamuje. Ale po pewnym czasie polityczny koszt tej operacji okaże się dla niego bardzo wysoki.

**Z *Magdaleną Szefernaker*,
autorką książek „Mama na
obcasach”, „Samorząd na
obcasach”, dziennikarką
i rzecznikiem prasowym,
rozmawia Dorota Łosiewicz**

Inspirują panią kobiety na obcasach. Były „Mamy na obcasach”, a teraz jest „Samorząd na obcasach”. Co łączy te książki?

Magdalena Szefernaker: To kobiety, które odnoszą sukcesy zawodowe i realizują się w tych dziedzinach życia, w których są aktywne. W pierwszej książce były to osoby ze świata mediów, sportu, biznesu, polityki, aktorki, znane z pierwszych stron gazet. Była też misjonarka Helena Pyz, do której killkaset dzieci dziennie woła „mami” w języku hindi. I choć nie jest ich biologiczną mamą, to realizuje macierzyństwo duchowe. Kobiety z pierwszej książki „Mamy na obcasach” umieją pięknie łączyć macierzyństwo z wymagającą pracą, w której odnoszą sukcesy oraz realizują swoje plany i ambicje. Moje rozmówczynie z drugiej książki to kobiety działające w samorządzie. A to jest przecież nasze najbliższe otoczenie, gdyż każdy z nas funkcjonuje na co dzień w jakimś mieście, gminie, którą ktoś zarządza. Moje bohaterki zarządzają właśnie tymi lokalnymi wspólnotami. Każda z nich musiała pokonać pewną drogę, by dotrzeć do miejsca, w którym się obecnie znajduje, a często nie było to proste. Najpierw musiały pokonać kontrkandydatów, w większości mężczyzn, a potem ciężką pracę przekonać mieszkańców, że potrafią dobrze zarządzać, że wybór był słuszny.

Ale chyba nie są to książki wyłącznie dla kobiet sukcesu?

Wręcz przeciwnie. Moje bohaterki mają inspirować, pokazywać, że można, mają dodawać odwagi. Często kobiety nie wierzą w swoje możliwości, mają różnego rodzaju blokady przed sięgnięciem po coś więcej. A moje rozmówczynie pokazują, że jeśli ktoś jest zdeterminowany, ma plan, marzenie i jest konsekwentny, to osiągnie swój cel. Choć oczywiście sukces oznacza przede wszystkim ciężką pracę.

Fot. Andrzej Skwarczyński



Kobiety, odwagi!

Kobiety często nie wierzą w swoje możliwości, mają różnego rodzaju blokady przed sięgnięciem po coś więcej. A moje rozmówczynie pokazują, że jeśli ktoś jest zdeterminowany, ma plan, marzenie i jest konsekwentny, to osiągnie swój cel. Choć oczywiście sukces oznacza przede wszystkim ciężką pracę

Od kobiet wymaga się więcej niż od mężczyzn?

Na pewno my same wymagamy od siebie bardzo dużo i stawiamy sobie poprzeczkę bardzo wysoko. Chcemy być we wszystkim perfekcyjne: w pracy, w domu, w życiu prywatnym. Chcemy, żeby wszystko było idealnie zorganizowane i często nie umiemy przy tym odpuścić, podzielić się obowiązkami. A może czasem trzeba pozwolić sobie na brak perfekcji, żeby to zbytnie dążenie do ideału nie odbiło się na zdrowiu i relacjach z najbliższymi. Czasem też inne osoby wymagają tego od kobiet, np. takie sytuacje można też zobaczyć w miejscu pracy – wówczas kobiety muszą się bardziej wykazać od mężczyzn będących na tych samych stanowiskach. Podobnie sytuacja wygląda z bohaterkami „Samorządu na obcasach”, które musiały udowodnić, że potrafią zarządzać wielomilionowymi inwestycjami, skutecznie zwiększać budżety, realizować duże projekty, budować drogi, stacje, kanały przeciwelewowe, hale sportowo-widowiskowe, żłobki, przedszkola. Te działania tradycyjnie przypisujemy mężczyznom, a jak widać, kobiety świetnie sobie z nimi radzą. Moje rozmówczynie pokazują, że nie gra tutaj roli płeć, tylko kwalifikacje, kompetencje i skuteczność w działaniu.

Co kobiety i mężczyźni różni w pracy?

Kobiety są na pewno bardziej empatyczne i mają bardziej holistyczne podejście do wielu tematów. Spojrzenie na gminę, samorząd jest też właśnie takie. Można to porównać do rodziny, którą kobiety widzą w całej złożoności. Pięknie mówi o tym Małgorzata Mańka-Szulik, która jest prezydentem Zabrza już czwartą kadencję. Porównuje ona samorząd do większej rodziny. W podobnym tonie wypowiada się prezydentka Słupska Krystyna Danilecka-Wojewódzka, która opowiada o złożoności obszarów w mieście, którymi trzeba się zająć – właśnie jak w rodzinie. Np. na budowę chodników patrzy się z tej perspektywy, żeby bezpiecznie mogła przejechać po nich mama z wózkiem czy przejść osoba

starsza. A jednocześnie trzeba pilnować budowy stadionu Górnika Zabrze i innych wielomilionowych inwestycji. I tu dochodzimy do kolejnej kobiecej cechy – odwagi. Gdy kobiety zdecydowały się już wyjść z bezpiecznej przystani, cechuje je odwaga.

Czy w Polsce kobietom ciężiej osiągnąć sukces niż mężczyznom?

Z moich obserwacji wynika, że wciąż borykamy się ze stereotypowym podejściem, iż kobiety muszą się bardziej wykazać, włożyć więcej wysiłku

Jedna z bohaterek mojej książki opowiadała o tym, że kiedy startowała na wójta, to niektórzy nie kryli zdziwienia, że jako kobieta chce objąć to stanowisko, bo to jest przecież funkcja dla mężczyzn. Inna usłyszała: „Co to ma być za wójt, ma dopiero 33 lata i pewnie jeszcze nie pije wódki”

w udowodnienie, że potrafią zarządzać. Na szczęście to podejście zaczyna już odchodzić do lamusa. Mniej zwraca się uwagę na płeć, a bardziej na kompetencje, pracę i umiejętności. Choć jedna z moich bohaterek opowiadała o tym, że kiedy startowała na wójta, niektórzy nie kryli zdziwienia, że jako kobieta chce objąć to stanowisko, bo to jest przecież funkcja dla mężczyzn.

O takim podejściu do młodych kobiet mówiła m.in. Karolina Zowczak, która od 2014 r. jest wójtem gminy Osieck.

Karolina Zowczak teraz już jest burmistrzem miasta i gminy Osieck, gdyż w styczniu br. Osieck po 150. latach ponownie uzyskał prawa miejskie. Ona na starcie pracy w samorządzie słyszała

uwagi typu: „Co to ma być za wójt, ma dopiero 33 lata i pewnie jeszcze nie pije wódki”. Dziś jej praca, zaangażowanie i sukcesy pokazują, że wygląd wójta ani jego wiek nie przesądza o jego skuteczności. Liczą się wyniki. Jej poprzednikiem był mężczyzna, który rządził kilka kadencji i zmarł po ciężkiej chorobie. W tych dramatycznych okolicznościach to jej powierzono funkcję wójta, ale później stanęła do wyborczej walki i wygrała w drugiej turze. Walka była bardzo trudna, wygrała bowiem 33 głosami. Obecnie rządzi już drugą kadencję. Pokazała, że młoda kobieta może być kompetentna, wykształcona i skutecznie pozyskiwać środki dla samorządu.

Katarzyna Kromp, która stoi na czele gminy Tuplice, również została wójtem, mając 33 lata.

Kandydując na stanowisko wójta gminy Tulice, spotkała się z całą masą fejków. Wcześniej pracowała w Warszawie w korporacji. Po kilku latach postanowiła wrócić w swoje rodzinne strony i wystartować na wójta gminy Tuplice, którą od kilku kadencji rządził nieprzerwanie „żelazny wójt”. Tu również walka była ostra do samego końca. Musiała stawić czoło wielu plotkom na swój temat i pomówieniom. Zarzucano jej m.in., że wróciła, bo w Warszawie jej się nie powiodło, że jest w ciąży i potrzebuje pomocy rodziców czy że chce więcej zarabiać. Żadna z tych pogłosek nie była prawdziwa, a Katarzyna Kromp pokazała, że kobieta jeżdżąca sportowym samochodem i chodząca w skórze może być kompetentnym wójtem. Często porównywano ją do Lucy z „Rancza”, która wywróciła do góry nogami życie w Wilkowyjach.

Przenieśmy się do Starej Dąbrowy.

Wójtem jest tam Sylwia Kalmus-Samsel, młoda, wykształcona kobieta, blondynka. Jej przykład pokazuje, że są jeszcze takie miejsca w Polsce, gdzie dość mocno zakorzenione jest stereotypowe myślenie. Gdy w czasie kampanii odwiedzała mieszkańców gminy, słyszała retoryczne pytania: „Ale jak to? Baba na wójta? Wójtem

powinien być facet”. Na szczęście moje bohaterki udowadniają, że te stereotypy można pokonać, że będąc kobietą, można pracować dla dobra lokalnej społeczności, inspirować innych i odnosić sukcesy. Dlatego mam apel: kobiety, nie bójmy się stawiać czoła przeciwnościom i walczyć ze stereotypami!

Jedną z bohaterek pani książki jest wójt gminy Sękowa Małgorzata Małuch, która nieprzerwanie rządzi gminą od 2006 r. 18 lat! W czym tkwi jej sukces?

Sama zapytałam, jak to możliwe, że tak filigranowa kobieta zarządza wielkimi jak dęby facetami, będąc prezesem Forum Wójtów, Burmistrzów i Prezydentów Małopolski oraz wiceprezesem Stowarzyszenia Gmin i Powiatów Małopolski. A ona stwierdziła, że ci mężczyźni sami ją wybrali i jej zaufali. Do tego pani wójt jest mamą trzech córek, o swoim mężu mówi, że jest typowym „samcem alfa”, więc w domu ona już stara się nie rządzić i wtedy odpoczywa od zarządzania [śmiech]. Jej kluczem do sukcesu jest zaufanie mieszkańców, wsłuchiwanie się w ich potrzeby, dobra komunikacja i skuteczna realizacja działań na rzecz gminy.

Sama jest pani mamą na obcasach. Co panią łączy z bohaterkami książki?

One mnie inspirują. Zawsze fascynowały mnie nietuzinkowe kobiety, które osiągały sukcesy, realizując swoje pasje i marzenia. To są przeważnie silne kobiety, wierne swojemu systemowi wartości, niekoniecznie ulegające trendom współczesnego świata. Prezydent Zabrza chętnie mówi o tym, że dla niej największą wartością jest rodzina, która trzyma ją w ryzach, nadaje rytm, dopinguje i inspirowanie do pracy. Jej życiową dewizą są słowa św. Jana Pawła II, że musimy od siebie wymagać, nawet gdyby inni od nas nie wymagali. Prezydent Słupska Krystyna Danilecka-Wojewódzka często przypomina słowa, które wpoila jej mama: „Masz być bohaterką swojego życia”. Spytałam ją, czy tak właśnie się czuje. Aby poznać odpowiedź, zachęcam do przeczytania książki. Natomiast Marta Majewska,



Fot. Andrzej Skowronczyk

burmistrz Hrubieszowa, zostawiła kancelarię adwokacką i wymarzony zawód adwokata, by realizować się na rzecz miasta, z którego pochodzi. Dzięki wprowadzeniu autorskiego projektu „Hrubieszów. Jestem stąd” zachęca rodowitych mieszkańców, zwłaszcza młodych, by nie wstydzić się swojego pochodzenia i wracali do Hrubieszowa.

Z kolei pani wójt Starej Dąbrowy jest mamą niepełnosprawnego syna. To niesamowita historia walki kobiety o swoje dziecko, któremu lekarze nie dawali szans na przeżycie. Marcel miał nie słyszeć i nie mówić. Ale dzięki jej walce i determinacji on żyje, mówi, a lekarze przyznają, że nie wierzyli, iż to będzie możliwe. Walka o dziecko nauczyła ją również walki w życiu zawodowym i tego, że zawsze, nawet w najgorszej sytuacji, można znaleźć wyjście.

Sama uczę się od moich bohaterek, że nawet jak sytuacja wygląda beznadziejnie, to trzeba walczyć do końca. Dlatego zachęcam wszystkie kobiety, które czują, że mają pod górkę, do lektury książki, bo dzięki niej zobaczą, że inne kobiety też nie miały łatwo, często nikt w nie nie wierzył, a jednak dały radę pokonać przeciwności.

Wspierający mężczyźna u boku, nawet jeśli nie angażuje się w życie publiczne, to jednak ułatwia życie codzienne?

Na pewno takie wsparcie bardzo się przydaje. Ten wniosek pojawia się naturalnie przy większości rozmów. Renata Surma, która jest burmistrzem Bystrzycy Kłodzkiej od 18 lat, ale równocześnie mamą trojga dzieci, podkre-

śla, że od początku we wszystkim miała silne wsparcie męża. Również Ilona Skipor, burmistrz Brzezin, zaznacza, że mąż wspiera ją we wszystkich decyzjach, a rodzina stanowi dla niej bezpieczną przystań. Z kolei Sylwia Kalmus-Samsel wzruszająco mówi o mężu i jego dojrzałości, zwłaszcza w momencie, gdy przyszło mu zaopiekować się niepełnosprawnym synem i ich rodziną.

Temat książki jest o tyle na czasie, że trwa już kampania samorządowa.

Faktycznie, jesteśmy w trakcie kampanii samorządowej. Mam zatem nadzieję, że dla wielu osób „Samorząd na obcasach” może być pewnego rodzaju przewodnikiem o tym, jak funkcjonuje samorząd od kuchni. Jednak kluczowy jest tutaj temat zaangażowania kobiet w życie społeczne, publiczne i samorządowe. Dlatego mam nadzieję, że dla wielu kobiet moja książka może stać się inspiracją i zachętą do tego, by odważyły się przełamać swoje wewnętrzne ograniczenia i spróbowały zaangażować się na rzecz swoich małych ojczyzn.



Nowi dowódcy na nową fazę wojny

Co oznaczają głębokie zmiany kadrowe w ukraińskiej armii? Do jakiej wojny przygotowuje się Kijów? Pod jaki scenariusz wydarzeń układa polityczne klocki prezydent Zelenski? Czy przyszłość Ukrainy rozstrzygnie się na linii frontu, czy może jednak w politycznych gabinetach?

8 lutego prezydent Ukrainy podjął decyzję, o której w Kijowie mówili się już co najmniej od kilkunastu dni. Specjalnym ukazem zwolnił z funkcji gen. Żaluźnego, naczelnego dowódcę ukraińskich sił zbrojnych, i mianował na jego miejsce gen. Aleksandra Syrskiego, dotychczasowego dowódcę wojsk lądowych. O tym, że tego rodzaju rozkada personalna jest najbardziej prawdopodobna, było wiadomo od dawna, choćby z tego powodu, że od wielu miesięcy Syrski uchodzi za oficera znacznie bliższego Zelenskiemu niż Żaluźny. Paradoks polega na tym, że nowy naczelny dowódca armii ukraińskiej jest rodowitym Rosjaninem, który przed laty wybrał służbę dla Ukrainy. Komentatorzy nazywają go „matematykiem wojny” zarówno ze względu na pedantyczne zamiłowanie do porządku, jak i zdolności planowania operacji wojennych.

Po rosyjskiej agresji Syrski dowodził obroną Kijowa i tylko dlatego, że na własną odpowiedzialność kilka dni przed atakiem rozśrodkował znajdujące się pod jego komendą siły. Rosjanom nie udało się plan blitzkriegu. Później dowodził operacją odepchnięcia rosyjskiej artylerii od Charkowa, ale przede wszystkim brawurowym atakiem na Kupiańsk i Łyman, który jesienią 2022 r. doprowadził do odbicia przez siły ukraińskie znacznych terenów okupowanych przez Rosjan. Z mniej znanych kart Syrskiego warto przypomnieć, że w 2015 r. dowodził on zgrupowaniem Bars, którego zadaniem była osłona operacji wyprowadzenia ukraińskich sił ze słynnego kotła pod Debaltsewem, za co po raz pierwszy został odznaczony i awansowany na stopień generalski.

Jego współpracownicy, rozmawiający jesienią ub.r. z korespondentami brytyjskiego dziennika „The Guardian”, mówili, że „jest żołnierzem do szpiku kości”, wstaje codziennie o godz. 5.20, śpi nie więcej niż 4,5 godziny na dobę, a w czasie najgorętszych dni obrony Kijowa w ogóle nie spał przez trzy dni.

Syrski, który po Rewolucji Godności odpowiadał w ukraińskich siłach zbrojnych za programy współpracy z NATO, w tym



MAREK BUDZISZ

wspólnych szkoleń, uchodzi za „fanatyka” planowania i szkolenia. Zarówno obronę Kijowa, jak i późniejsze przełamanie rosyjskich linii pod Bałaklają miał przygotować osobiście, biorąc przede wszystkim pod uwagę warunki terenowe, w których będą walczyć ukraińscy żołnierze. Nie boi się przy tym zmagać z przeciwnikiem posiadającym przewagę liczebną.

„Nigdy nie walczyłem z mniejszą liczbą wrogów – powiedział w jednym z wywiadów – przeciwnicy zawsze mieli nad nami przewagę liczebną”.

Ale Syrski uznawany jest też na Ukrainie za dowódcę, który nie liczy się ze stratami po własnej stronie. Wypełniał polecenia Zelenskiego, który w ub.r. domagał się obrony Bachmutu za wszelką cenę, czemu ponoć miał być przeciwny Żaluźny. Czy jego sposób prowadzenia walki będzie teraz wyglądał podobnie, nie wiadomo, ale w wywiadzie dla niemieckiej stacji ZDF, który ukazał się już po jego nominacji na naczelnego dowódcę, powiedział, że „wojna wchodzi w nową fazę”, a siły ukraińskie przechodzą do obrony po to, aby w maksymalnym stopniu wyczerpać atakujących. Obecnie, jak zauważył, każdego dnia rosyjskie straty są siedmio-, a nawet ośmiokrotnie większe od ukraińskich i będą rosły, jeśli rosyjskie dowództwo nie zmieni swej taktyki polegającej na ciągłych atakach umocnionych i rozbudowanych ukraińskich pozycjach. Jak zauważył, również „każdego dnia rola dronów na froncie rośnie”.

Jedną z pierwszych decyzji nowego dowódcy naczelnego było wysłanie świeżych sił do Awdiijiwki, miasta bronionego już od ponad roku, znajdującego się na przedmieściach Doniecka. Trwają tam ciężkie walki uliczne i jak uważa wielu komentatorów, prędzej czy później zostanie ono zdobyte przez Moskali. Wysłanie tam posiłków utwierdza tych, którzy są zdania, że Syrski będzie realizował formułę obrony przypominającą to, co obserwowaliśmy w Bachmucie. Uporczywe trzymanie pozycji, nawet kosztem rosnących strat, po to, aby Rosjanie nie byli w stanie przechwycić inicjatywy operacyjnej i przejść do realizacji operacji zaczepnych na szerszą skalę.

Prezydent Zelenski w swych ostatnich wystąpieniach także podkreśla znaczenie takich „punktów oporu”, deklarując, że Ukraińcy będą walczyć o każde miasto, wieś czy osadę.

Obecnie pod Awdijiwką, jak powiedział mediom Dmitrij Lichowoj, rzecznik prasowy sił obrony, na kierunku taurydzkim Rosjanie skoncentrowali 50-tys. korpus uderzeniowy i ataki mają charakter falowy, są prowadzone właściwie bez przerwy. Strona ukraińska nie ma zamiaru ustępować i przygotowuje „awaryjne kanały zaopatrzenia” na wypadek bardzo prawdopodobnego scenariusza, w którym Rosjanie będą w stanie przeciąć ostatnią kontrolowaną przez broniących się arterię komunikacyjną. Jak się wydaje, w najbliższych miesiącach takich punktów oporu w rodzaju Awdijiwki będzie więcej. Eksperci wskazują, że następnym może stać się Kupiańsk na kierunku charkowskim, a także Łyman.

Prezydent Zelenski w jednym ze swych niedawnych wystąpień mówił, że gen. Syrski i minister obrony Umerow wizytowali w ostatnich dniach wszystkie „gorące punkty” frontu, przygotowując ukraińską obronę. Linie oporu mają zostać wsparte dostawami dronów, systemów walki radioelektronicznej, wzmocnione mają być też punkty dowodzenia.

Założony był ponoć przeciwnikiem tego rodzaju podejścia, miał uważać, że straty ponoszone przez broniących się nie są warte osiągniętych efektów. Twierdził, że lepiej jest przygotować armię do nowej fazy wojny, kładąc nacisk na nowe środki walki, przede wszystkim drony, jak pisał w artykule opublikowanym na stronach CNN.

NOWA FALA

Zmiana na stanowisku dowódcy naczelnego to niejedyny ruch kadrowy w ukraińskiej armii, które nastąpiły w ostatnich dniach. Szefem sztabu generalnego został Anatolij Bargilewicz (54 lata) w przeszłości dowodzący ukraińskimi wojskami obrony terytorialnej, a ostatnio kierujący pracami sztabu zgrupowania Chortycja. Dowódcą sił lądowych został Ołeksandr Pawliuk (53 lata), który był dowódcą ukraińskiego kontyngentu w Kosowie, a podczas wojny z 2014 i 2015 r. jego oddziały brały udział w tzw. przełomie izwaryńskim, czyli wycofaniu sił ukraińskich z częściowego rosyjskiego kotła przy granicy obydwu państw. Wojskami powietrzno-desantowymi będzie dowodził Ihor Skubiuk (48 lat), który po agresji Rosjan organizował rozsypującą się obronę Mikołajewa, a jesienią 2022 r. dowodził związkami taktycznymi, które przełamały rosyjskie linie pod Charkowem. Nominacje odebrali też Jurij Sudol (53 lata), który budował ukraińską piechotę morską, doprowadzając ją do standardów NATO, a także Wadim Suchariwski „Borsuk” (39 lat), legenda ukraińskiej armii. To on jako pierwszy w 2014 r., będąc szeregowcem, otworzył ogień do „bojowników” Girkina nacierających pod Donieckiem, a w 2022 r. był dowódcą 22. Brygady, która wyrwała się z okrążenia pod Oleszkami.

INNA WOJNA

To, na co zwracają uwagę ukraińscy komentatorzy, jest związane nie tylko z młodym wiekiem i olbrzymim doświadczeniem bojowym nowych dowódców. W większości przewinęli



Gen. Aleksandr Syrski, nowy naczelny dowódca ukraińskich sił zbrojnych

się oni przez jednostki operacji specjalnych i mają doświadczenie w radzeniu sobie w trudnych, nieraz beznadziejnych sytuacjach. Wystawiali się z okrażenia, walczyli z przeważającymi siłami przeciwnika, musieli z niczego odbudowywać linie obrony. To też może stanowić wskazówkę, na jakiego rodzaju wojnę przygotowuje się Kijów. Walkę z liczniejszym i lepiej uzbrojonym przeciwnikiem, kiedy trzeba się będzie bronić, być może nawet wycofując się, by zająć nowe pozycje, stale stawiając opór i dążąc do tego, aby rosyjskie straty były wielokrotnie większe od ukraińskich. Amerykańscy eksperci piszą o tym, że ukraińska armia będzie realizowała koncepcję aktywnej obrony, która zakłada ogólne przejście do defensywy, ale z jednoczesnym przygotowaniem bolesnych dla przeciwnika wypadów na jego tyły. W tego rodzaju walce będą przydatne umiejętności nabyte przez nowych dowódców w wojskach operacji specjalnych.

POLITYCZNE MANEWRY ZEŁENSKIEGO

Wydaje się, że Zełenski, odwołując Żaluźnego, realizuje też szerszy plan polityczny. Świadczy o tym choćby jego słowa, iż rozszady na stanowiskach dowódców sił zbrojnych to dopiero początek zmian, kolejne nastąpią w rządzie i administracji, bo kraj musi się przygotować do nowego etapu wojny. W gruncie rzeczy w tym przypadku może chodzić o polityczną przyszłość prezydenta i jego obozu. Aby myśleć o reelekcji, Zełenski musi zniszczyć mit popularniejszego od niego Żaluźnego, który, jak powiedział w rozmowie z portalem NV Jurij Butusow, dziennikarz specjalizujący się w sprawach wojskowych, w przeszłości doradca ministra obrony, jest uważany na Ukrainie za obrońcę narodu, człowieka, który jako jedyny przygotowywał kraj do rosyjskiego ataku. Wtedy, kiedy Zełenski i jego polityczne otoczenie do ostatniego dnia mówili, że wojny nie będzie.

Żaluźny już od jesieni domagał się mobilizacji, bo niektóre jednostki od dwóch lat są na froncie i nie zostały do tej pory zluzowane, czemu przeciwstawiał się prezydent, mówiący publicznie, że „nie widzi powodów” tak drastycznego kroku. W tym przypadku również dominowały czynniki natury politycznej, bo na początku lutego Rada Najwyższa uchwaliła złagodzoną wersję nowej ustawy mobilizacyjnej. Chodziło zapewne o to, komu będzie można przypisać „ojcostwo” niepopularnych decyzji.

Niezależnie bowiem od wyników badań opinii publicznej, które niezmiennie wskazują, że większość Ukraińców oczekuje walki do końca, do wyzwolenia terenów okupowanych, o rzeczywistym nastawieniu do perspektywy mobilizacji świad-

czą pośrednio inne dane. I tak na początku lutego ukraiński Bank Centralny poinformował w specjalnym komunikacie, że w styczniu obywatele wycofali z lokat rekordową ilość środków zdeponowanych w systemie bankowym. Osoby fizyczne wycofały 27 mld hrywien, a firmy kolejne 22 mld, co jest rekordowym miesięcznym spadkiem od początku wojny. Dlaczego akurat w styczniu zaobserwowano takie zjawisko? Otóż w propozycjach nowelizacji ustawy mobilizacyjnej, którą rząd Szmychala przesłał do Rady Najwyższej pod koniec roku, znalazły się zapisy, że w przypadku tych, którzy unikają rejestracji czy nie stawiają się na komisjach lekarskich, jednym ze środków represyjnych może być zamrożenie indywidualnych rachunków bankowych. Jeśli w oczach opinii publicznej Żaluźny, który opowiadał się za mobilizacją 450–500 tys. żołnierzy, będzie utożsamiany z tym niepopularnym krokiem, a Zełenski uzyska reputację tego, kto szukał lepszych rozwiązań, to być może, a na to zdaje się liczyć obóz polityczny obecnego prezydenta, popularność odwołanego generała spadnie.

Politycy Sługi Narodu, tacy jak choćby Marianna Bezugła, była już wiceprzewodniczącą komisji obrony w Radzie Najwyższej, od jesieni domagała się odwołania Żaluźnego, zarzucając mu, że nie ma planu na nową fazę wojny. Za swe radykalne i niezgodnione z administracją Zełenskiego wypowiedzi została wykluczona z partii, lecz nie zmienia to faktu, że teraz, wraz z nowym dowództwem, w Kijowie zaczął się kształtować nowy plan wojny. Można by go określić mianem „wytrzymać”, oddając możliwie mało terytorium, tak długo, aż sojusznicy z Zachodu zmienią swoją politykę wsparcia wojskowego dla Ukrainy albo zarysują się nowe rozwiązania.

A chodzi zapewne o perspektywę negocjacji z Moskwą, o których coraz więcej piszą amerykańskie media. W świetle rewelacji portalu Bloomberg Putin miał nieoficjalnie proponować Jake'owi Sullivanowi, doradcy prezydenta USA

ds. bezpieczeństwa narodowego, rozpoczęcie rozmów pokojowych. Rosja miałaby ponoć zrezygnować z żądania zmian politycznych w Kijowie, a także blokowania drogi Ukrainy do NATO, za cenę pozostawienia jej terenów okupowanych. Niedawno minister Ławrow, występując w Dumie, potwierdził, że Kreml jest gotów do „dyplomatyczno-politycznego” dialogu, aby zakończyć wojnę. Wydaje się, że perspektywa negocjacji jest dziś bliższa niż jeszcze kilka miesięcy temu.

Jeśli Ukraińcom przyjdzie się pogodzić z tym, że Rosjanie będą okupować część terenów ich państwa, to z punktu widzenia Zełenskiego i jego obozu politycznego lepiej, aby na stanowisku naczelnego dowódcy sił zbrojnych stał zaufany i niespecjalnie popularny oficer. Przy tym Rosjanin, który nawet jeśliby przejawiał tego rodzaju ambicje, to i tak nie będzie w stanie zagrozić politycznej pozycji obecnego prezydenta.

O tym, w co wierzy
Władimir Putin,
jak postrzega swoją
inwazję na Ukrainę
i ilu ludzi jest w stanie
poświęcić, by wygrać
wojnę i rzucić kolejne
wyzwanie Zachodowi,
mówi **prof. Henryk
Głębocki**, historyk
Europy Środkowej
i Wschodniej XIX–
XX w. z Uniwersytetu
Jagiellońskiego,
w rozmowie z Jakubem
Augustynem
Maciejewskim



Wojna za naszą wschodnią granicą trwa już dwa lata. Z pańskich wykładów sprzed 17 lat pamiętam, że „będzie wojna”, że rosyjski imperializm wraca. Przewidział pan wtedy inwazję na Gruzję, ale czy prognozując atak Rosji na Ukrainę, spodziewał się pan takiej wojny?

Henryk Głębocki: Na posiedzeniu rady mojego wydziału na UJ tuż przed rozpoczęciem konfliktu prof. Andrzej Nowak podzielił się uwagą, że musimy brać pod uwagę perspektywę otwartej wojny, choć też nie widział jej jako pełnoskalowej. I pamiętam te spojrzenia: patrzono na niego jak na „jurodiwego”, zafiksowanego na obiekcie swoich badań, czyli rosyjskim imperializmie. Z mojej strony branie pod uwagę scenariusza wojny nie wynikało ze zdolności profetycznej, ale próby analizowania rzeczywistości wyrastającej z przeszłości, co prowadziło do podobnych obaw, które, niestety dla nas wszystkich, potwierdziły się. Przy-

Wojna za wszelką cenę

znaję, że aż do nocnego przemówienia Putina z 23 na 24 lutego 2022 r. to, co działo się wokół Ukrainy wcześniej, przez kilka miesięcy, postrzegałem raczej jako charakterystyczny dla niego gangsterski sposób negocjowania. Chodziło o żądania wyrażone w grudniu w dwóch oficjalnych dokumentach skierowanych do NATO i Amerykanów, których przyjęcie oznaczało demilitaryzację Europy Środkowo-Wschodniej i powrót Rosji do kontroli nad obszarem

dawnego imperium wewnętrznego (republiki sowieckie) i zewnętrznego (tzw. KDL). Trudno było mi uwierzyć, że były podpułkownik KGB znów nie blefuje, że wojna będzie miała aż taką skalę. W pierwszej fazie przypominała operacje obalania rządów przez byłe imperia w krajach afrykańskich, w dawnych koloniach. Dotąd prezydent Rosji wolał metody, których uczono go w służbach specjalnych: wojny hybrydowej, dezinformacji, skrytobójstw, operacji

specjalnych, mianem wojny... Nawet tę otwartą agresję nazwano „operacją specjalną”. W pierwszej fazie wojny Rosjanie zachowywali się tak jak podczas ekspedycji Prigożina do państewka w Afryce, ale Ukraina nie jest takim państwem. Putin znowu zaskoczył. Obserwuję go od czasu II wojny czeczeńskiej, gdy byłem analitykiem od przestrzeni postsowieckiej w PISM. Stawiano sobie tam pytanie: „Who is Mr. Putin?”. Jedyną prawidłowość, jaką można stwierdzić, jest to, że wybiera on scenariusz najmniej spodziewany przez przeciwnika.

Może to wpływ szkoły KGB?

Jednego możemy być pewni: jeszcze nieraz nas zaskoczy, a przynajmniej spróbuje. Rosjanie mają długie, dłuższe nawet niż Niemcy, doświadczenie z ćwiczeniem tzw. ataku pionowego, polegającego na przerzucaniu dużych formacji spadochronowych za linie wroga, w połączeniu z tzw. taktyką buldożera: zmasowanego ataku czołgów oraz artylerii i przełamywaniem frontu obrony na szerokim odcinku. Takie formy sowieckiego blitzkriegu ćwiczył już marszałek Michaił Tuchaczewski, zresztą wspólnie z Reichswerą, na poligonach w Rosji. Oba agresywne, rewizjonistyczne mocarstwa w tajemnicy przygotowywały się wówczas do zniszczenia ładu powersalskiego i do „rewanżu historii”. Jego współczesne wydanie, znów ćwiczone przez rosyjskich żołnierzy na zbudowanych przez Niemców specjalnych poligonach do 2014 r., na razie się nie sprawdziło.

Wśród najbardziej szokujących brutalnością działań na Ukrainie są metody, które znamy z dwóch wojen czeczeńskich z lat 90. XX w. i późniejszych w Syrii. Przecież na ukraińskich stepach walczą nieraz ci sami oficerowie, którzy na Kaukazie byli lejtnantami, w Syrii i Gruzji pułkownikami, a dziś są generałami. Mistrzowie obecnego pokolenia byli formowani przez doświadczenie Afganistanu. Dla mojej generacji wojny czeczeńskie były ważnym przeżyciem. Paru moich znajomych jeździło tam z pomocą humanitarną i cudem uszło z życiem. Przez Polskę przeszło co naj-

mniej 120 tys. uchodźców. Kto chciał, ten już wtedy wiedział, jak wyglądają rosyjskie „operacje specjalne” – od Azji Środkowej przez Kaukaz po Naddniestrze, Krym i Donbas.

Mamy tylko w języku polskim kilkadziesiąt książek o Putinie, jego wojnach, zbrodniach i istocie jego sytemu. Ci, którzy po 24 lutego 2022 r. wyrażali zaskoczenie, odreagowali je hasłami „walki z rasyzmem”, bojkotem dzieł Czechowa czy Dostojewskiego. Chcieli być może odreagować niedawne, z epoki „resetu”, zachwyty na rosyjską kulturą i fetowanie nad Wisłą z udziałem polityków i czołowych mediów, putinowskich „czynowników nauki”, kultury i Cerkwi.

Putin ustami swoich doradców mówił od początku wojny, że jej celem jest powrót do geopolitycznej granicy III rozbioru Rzeczypospolitej, z tą korektą, że Galicja Wschodnia też się Rosji należy

Sztucznie wytworzona wtedy, po Smoleńsku, euforia, polska wersja „Tolstojewskiego”, pomijająca własne narodowe doświadczenia, była suflowana przez media, polityków oraz zagranicę. Uzasadniała akceptację wizji „Europy od Władywostoku do Lizbony” i Rosji demokratyzowanej przez korporację czekistów. Wtedy najcięższym grzechem było jeszcze nie mówienie czy czytanie po rosyjsku, ale przeciwnie – „rusofobia”, o którą mógł być oskarżony i wykluczony z debaty każdy, kto przypominał oczywiste fakty i dokonania wymieniającego się tandemu Miedwiediew–Putin. Dziś mamy podobne „stadne” zachowania, intelektualną bezradność i naiwność à rebours dużej części polskich elit. Najpierw strach, teraz zaś głośno wyrażane nadzieje, że „przecież z Rosją nie mamy szans” i dlatego powinniśmy iść po opiekę do

Berlina. Niektórym z nich trudno odmówić dobrej woli, którą okazali, angażując się w pomoc dla rzeki uchodźców. To było ważne doświadczenie – to spotkanie na dworcach i stadionach, gdzie udzielano pomocy, pokazujące szanse spotkania się nas, tak podzielonych Polaków, w przestrzeni, w której nie było miejsca na wzajemne pretensje i ideologiczne podziały. Dobra wola jednak nie wystarczy, by ocalić Polskę, Ukrainę i całe Międzymorze oraz by przetrwać w tej części świata, który na naszych oczach powraca do opisywanych przez historyków mechanizmów ścierania się żarłocznych mocarstw i imperiów.

Jeśli wojna pełnoskalowa przyszlaby do Polski czy krajów bałtyckich, nie wyglądałaby inaczej.

Rzeczywiście, ujawniona jakiś czas temu na podstawie oficjalnych dokumentów koncepcja „obrony na Wiśle” z okresu polityki tzw. resetu zamieniłaby wschodnie tereny Polski w jakiś nowy wariant Donbasu. Tymczasem obecny kształt debaty publicznej przekierowuje naszą uwagę na tematy zastępcze. Niestrudzonym dostarczycielem takich emocji jest aparat tworzący medialną otulinę nowego sytemu władzy, a nawet nowi ministrowie. Ci wyraźnie zostali dobrani ze względu na swoje ideologiczne zafiksowanie, z rozmysłem, zapewne w celu dostarczania emocji, którymi żywią się media podtrzymujące niebezpieczną dla nas wszystkich temperaturę „wojny polsko-polskiej”. W tym spektaklu bierze udział nawet druga osoba w państwie.

Kwestionowanie sensu istnienia CPK, zakupów zbrojeniowych i wielu zaplanowanych inwestycji w infrastrukturę jest alarmującym absurdem. Tak jak skandaliczne, a zarazem symboliczne decyzje likwidujące możliwość suwerennego wyrażania polskiej pamięci historycznej, doświadczeń ludobójczej polityki obu totalitaryzmów własnym głosem, na podstawie naukowych ustaleń. Wyrazem tej niebezpiecznej tendencji jest np. zapowiedź rozwiązania zasłużonego w badaniach nad Niemcami Instytutu Zachodniego i zlikwidowanie zespołu ustalającego

straty wojenne, którym kierował mój kolega z UJ, wybitny znawca historii gospodarczej prof. Konrad Wnęk, czy zapowiedź likwidacji IPN. Władze zagrzewa do tego „Gazeta Wyborcza”, której w tej kwestii zawsze „nie było wszystko jedno”. Towarzyszy temu rosnące zaniepokojenie wytworzonym chaosem. Słyszę wokół siebie na poważnie stawiane pytania: gdzie są schrony na wypadek wojny, gdzie są systemy i procedury dotyczące obrony cywilnej? Gdzie przeszkolenie choćby części młodych ludzi, w tym umiejętności władania bronią czy pierwszej pomocy? To wszystko jest bardziej palącym problemem, niż się wielu wydaje.

Wielu sceptyków nazwie to „straszeniem wojną”.

Szukajmy nadziei. Wbrew fatalnej polityce Zelenskigo Ukraina nie dała się Rosji złamać. Mam studentów na Ukrainie, którzy nie mogą dojechać na zajęcia, bo są w wieku poborowym, ale oni, już po zaliczeniu egzaminu w formie zdalnej, deklarują, że nadal są gotowi bić się o swoją niepodległość. Fakt, że ta wola oporu zaistniała, jest w dziejach Ukrainy przełomem dla jej tożsamości i dalszego istnienia, jak i to, że ona wciąż trwa, pomimo kompromitacji ogromnej części elit politycznych. Natomiast tzw. zwykli Ukraińcy, gdy się z nimi rozmawia, nie zostawiają suchej nitki na swych władzach. Ponadto w obliczu tej inwazji NATO także się nie rozpadło, co było i pozostaje jednym z zasadniczych

celów Kremla. Rozbicie albo upokorzenie, sparaliżowanie i unieszkodliwienie Sojuszu jest dla Moskwy być może ważniejsze od losu samej Ukrainy. I nie jest to scenariusz niemożliwy do realizacji.

Swoje zamiary wobec Ukrainy, której państwowość chciałby zlikwidować, i Ukraińców, którym odmawia prawa do istnienia jako odrębnego narodu, Putin otwarcie potwierdził w wywiadzie z Tuckerem Carlsonem. Amerykański dziennikarz zupełnie się skompromitował, nie chcąc i nie umiając zareagować na beczelne kłamstwa swego rozmówcy. W zamian ten absolwent historii i niedoszły oficer CIA jedynie wydawał z siebie jakieś jęki zachwyty czy bezradności. Sprowadził się do roli podstawki pod mikrofon dla wykładu prezydenta Rosji. Ten zaś po raz kolejny pozazdrościł uczniom muzy Klio i postanowił nie tylko tworzyć historię, lecz także ją interpretować. Zgodnie z koncepcją swego duchowego mistrza Józefa Wissarionowicza – polityki rzutowanej wstecz.

Ale co dalej z Rosją i Ukrainą?

W przypadku Rosji mamy do czynienia ze sposobem myślenia właściwie nierozumianym na Zachodzie. Możemy być pewni sytuacji, w której elity i większość społeczeństwa rosyjskiego jest przekonana, że bez Ukrainy i bez zrealizowania planu przedstawionego przywódcom Zachodu w dokumentach z grudnia 2021 r., czyli wycofania NATO z Europy Środkowo-Wschodniej, nie mogą dalej

funkcjonować. Zatem ta wojna nadal będzie się toczyć za wszelką (także rosyjską) cenę. Tym bardziej że Rosja nie tylko poradziła sobie z odłączeniem jej od światowego systemu finansowego i ekonomicznego. I nie tylko dlatego, że jest podwykonawcą wielkiej, globalnej strategii chińskiego „przyczajonego tygrysa, ukrytego smoka”. Mówi się teraz o powołaniu w Rosji 10 mln ludzi do wojska – poprzez wydłużenie wieku do ponad 65 lat. Jako żywe zasoby ludzkie zostają jeszcze kobiety, dzieci i masowo importowani tani robotnicy z krajów Azji Środkowej. Jednocześnie trwa upływ krwi mniejszej Ukrainy, traci ona całe pokolenie, zamieniając się w kraj upadły, dla której zaczyna brakować amunicji w magazynach Europy. W tym czasie Rosja, która przestawiła produkcję na tryb wojenny – trzymianowy, wytwarza swój sprzęt w całym ogromnym, postsowieckim kompleksie zbrojeniowym.

Co do stosowanych metod, przypomnijmy, że młody Putin od 1979 r., gdy rozpoczął naukę w Akademii im. Feliksa Dzierżyńskiego w Moskwie, mógł tam spotykać nie tylko swoich polskich kolegów, „ludzi honoru” delegowanych przez gen. Kiszczaka, lecz także wspólnie z nimi poznać jeszcze zasłużonych weteranów służących pod znakiem „tarczy i miecza”. Zarówno na „cichym froncie” wywiadu, jak i w samym Sojuszu, jeszcze w czasach wielkiego terroru, operacji narodowych NKWD, tj. czystek etnicznych i deportacji całych

NOWA TELEWIZJA W POLSCE.PL



SALON

DZIENNIKARSKI

W SOBOTY O 9:15

NA POZYCJI  196	NA POZYCJI  192	NA POZYCJI  32	NA POZYCJI  825	NA POZYCJI  339	NA POZYCJI  121
---	---	--	---	--	---

narodów w latach 30.–50. XX w. Praktycznych metod, które obserwujemy na Ukrainie, a które przeniesiono z Kaukazu, Putin nie musiał się uczyć tylko od bohaterów swego ulubionego filmu „Siedemnaście mgnień wiosny”.

Czy Rosja teraz szuka czegoś jeszcze?

Wśród decydentów, a ci mają dostęp do informacji niejawnych, pojawiają się już pierwsze zapowiedzi konieczności przygotowania się na konflikt wielkoskalowy. Ta kwestia szczególnie otwarcie jest stawiana w Finlandii i Szwecji. Najgorsze scenariusze przewidują atak Rosji na kolejne państwo zachodnie w ciągu dwóch lat. Obecny rok jest wyjątkowo trudny, także ze względu na zmianę władzy w Polsce, powrót ludzi odpowiedzialnych za decyzje najbardziej skandaliczne, sprzeczne z racją stanu. Naprawdę długo można by mówić o demontowaniu instrumentów państwa niezbędnych do stawiania oporu w wypadku wojny, także hybrydowej, której elementy będą się nasilać. Perspektywa zmiany władzy w USA i polaryzacja wśród Amerykanów, niewidziana bodaj od czasów wojny secesyjnej, są z satysfakcją odnotowywane w Moskwie. Carlson pomógł upowszechnić putinowską, imperialną wizję historii Europy Wschodniej, która uzasadnia obecną agresję i prawa Rosji do panowania nie tylko nad Ukrainą, lecz także Polską i innymi „bezpiecznymi państwami”. Do tego w swoim naiwnym konserwatyźmie umocnił autokreację Putina jako „katechona”, który może być wiarygodnym partnerem sił pragnących zatrzymać kryzys świata zachodniego. Na dodatek ten kandydat na „zbawcę” składa racjonalną, zdawałoby się z perspektyw geopolityki obcej naszemu regionowi, ofertę. Mówi do Amerykanów, że przecież „możemy się dogadać”, wszak „macie tyle problemów”, ekonomicznych, społecznych, tę fatalną granicę meksykańską, przez którą przedzierają się nieszczęśnicy z Ameryki Łacińskiej, z Afryki oraz Bliskiego Wschodu. Może więc, sugeruje Putin, warto się ułożyć? Tak jak w Teheranie, Jalcie, Poczdamie, Mińsku. Ta oferta była już wielokrotnie

powtarzana otwarcie. Dość przypomnieć słynny tekst, napisany w rocznicę zakończenia II wojny światowej dla konserwatywnych realistów z „National Interest” z czerwca 2020 r. Putin czytał i cytuje tezy Karamzina, Uwarowa, Sołowjowa, Iljina i innych kreatorów imperialnej tradycji. W przeciwieństwie do przedstawicieli obecnej władzy w Polsce, która za bardzo nie wygląda na czytelników romantycznej klasyki, wykładów paryskich Mickiewicza czy pism politycznych Krasińskiego. Aby zrozumieć sposób myślenia obecnego władcy Rosji, poleciłbym wszystkim

Nasze przetrwanie w tej części świata zależy od naszych wyborów. Ma też ogromny wpływ na kształt całego regionu i los innych narodów. Wbrew poglądom niektórych polityków nie jesteśmy nieważni

tekst prof. Nowaka o Putinie jako historyku z książki pt. „Powrót Imperium Zła”. To jest bodaj najlepsza analiza na ten temat w literaturze światowej. Nowak analizuje ciągłość myślenia geopolitycznego, która po pełnoskalowej inwazji jest jeszcze bardziej widoczna. Putin ustami swoich doradców, np. Władimira Miedzińskiego, a dalej dziennikarzy, od początku wojny mówił, że jej celem jest powrót do geopolitycznej granicy III rozbioru Rzeczypospolitej, z tą korektą, że Galicja Wschodnia też się Rosji należy.

A co to oznacza dla Polski? Dziś i tak nasze granice są poza rosyjskim rozbiorem z 1795 r.

Zarówno wtedy, jak i dzisiaj chodziło o kontrolę nad Międzymorzem, co oznacza, że wolna i niepodległa Polska nie może dłużej istnieć. To nie musi być jednak okupacja, bo jak pokazał PRL,

siedzenie w Polsce na bagnietach jest dość kosztowne. Wtedy także realizowano okupację „przez przedstawiciela” – partię komunistyczną i jej służby specjalne, podległe KC PZPR i Moskwie. Teraz wystarczy pewnie ponowne, jak po 2010 r., „zwijanie” państwa polskiego.

Gdzie znalazłaby się Polska po takim „układzie”?

Oznaczałoby to powrót większości Międzymorza do roli strefy buforowej. Kontrahentem takiego porozumienia musiałoby być „moralne mocarstwo”, czyli demokratyczne Niemcy, które realizują współcześnie swe interesy metodami ekonomicznymi, ideologicznymi, politycznymi, na szczęście nie militarnymi. Bardziej niż na odbudowę armii są one gotowe na nową odsłonę dialogu z Rosją. Nie wiemy, jaki stosunek do takiej koncepcji będzie miała nowa władza w Waszyngtonie. Nie możemy biernie czekać na decydowanie o naszym losie przez wielkie mocarstwa, jak dzieje się od trzech wieków, ale stawiać na intensywny rozwój ekonomiczny i rozbudowę armii, czyli dokładnie to, co w ciągu ostatnich ośmiu lat, mimo pewnych potknięć, było robione.

Czy na Kremlu jest jakaś gorąca dyskusja na taki temat? Taka jak w XIX w., co opisał pan w książce „Fatalna sprawa”?

Polskość była dla Rosji problemem nawet gdy nie mieliśmy państwa, bo siła polskiej kultury oddziaływała na narody Europy Wschodniej. Ale gdyby Polskę i jej aspiracje „zwinąć” do tego stopnia, by tego oddziaływania nie było? Gdyby porozumieć się z Niemcami, spacyfikować Warszawę, zmarginalizować ją? Myślę, że ciągłość myślenia rosyjskich, państwowych elit, żywiących się starymi imperialnymi mitami, mocno wpisanymi w przekaz kulturowy, a nawet filozofię polityczną na temat Polski, istnieje. Warto pamiętać, że nasze przetrwanie w tej części świata zależy od naszych wyborów. Ma też ogromny wpływ na kształt całego regionu i los innych narodów. Wbrew poglądom niektórych polityków nie jesteśmy nieważni.



Inwazja traktorzystów

Strach eurokratów przed paneuropejskim najazdem traktorów oraz jego skutkami dla tegorocznych wyborów europejskich zniweczył w sumie najbardziej rozsądną część koncepcji Zielonego Ładu. Tę służącą ochronie zdrowia Europejczyków

Pod koniec ub. tygodnia w okolicach miasteczka Passo Corese włoskie związki rolnicze zorganizowały bazę, do której zjechało blisko 2 tys. ogromnych traktorów. Sami organizatorzy mówili dziennikarzom, że to „przygotowania do drugiego marszu na Rzym”, nawiązując wprost do słynnego marszu Czarnych Koszul Mussoliniego z 1922 r. Skądinąd podług starożytnej legendy samo Passo Corese miało być tym miejscem, z którego król Tattius Sabinus



JAN ROKITA

ruszył na Rzym w odwecie za dokonane podstępnie przez rzymskich młodzieńców „porwanie Sabineek”.

Z kolei niektóre gazety w Europie Zachodniej ekscytowały się tym, że włoscy traktorzyści w drodze na Rzym przekroczyli Rubikon, co mogło sugerować, iż to jakaś powtórka z obalenia Republiki przez Cezara. W każdym razie wokół planów wjazdu traktorów do Rzymu zapanała atmosfera taka, jakby szło o jakąś autentyczną inwazję na miasto. Na razie jednak do niej nie doszło, bo traktorzyści w ostatniej chwili odwołali wyznaczoną już na piątek 9 lutego godz. 0.

TZW. WRÓG KLIMATU

W ostatnim czasie strach przed traktorami ogarnął spore polacie Europy. Poza Italią manifestacje traktorów z różnym nasileniem przetaczają się przez Francję, Belgię, Niemcy, Polskę, Rumunię, Litwę, Grecję, a nawet nieunikną Anglię. Główna przyczyna wydaje się być wspólna dla całej tej paneuropejskiej fali niezadowolenia wsi: są nią spadające od 2022 r. ceny większości produktów rolnych, co w efekcie skutkuje spadkiem zamożności wsi i opłacalności rolnictwa. W skali Unii wyjątkami są tylko Grecja i Cypr, gdzie dramatyczny skok cen oliwy w 2023 r. zrównoważył skutki negatywnego trendu.

Ten trend, naturalny w warunkach rynkowego kapitalizmu, którym rządzą cykle zmiennych koniunktur, tym razem zbiegł się jednak z wszechogarniającym Europę zalewem ideologii klimatycznej, wedle której chłop jest anachronicznym wrogiem klimatu. O ile bowiem cały właściwy przemysł, w tym nawet tradycyjną energetykę, udało się już wtłoczyć w nowe ramy wymogów polityki klimatycznej, o tyle w rolnictwie jej efekty są dotąd zgoła żadne. Tymczasem zwłaszcza uprzemysłowione rolnictwo stanowi prawdziwe wyzwanie, i to nie tylko dla zielonych fanatyków ideologii klimatycznej, lecz także dla elementarnych wymogów ochrony środowiska, a zwłaszcza ludzkiego zdrowia.

Traktorowe najazdy na miasta, blokady autostrad, napady na ciężarówki i niszczenie transportowanej przez nie żywności to kumulacja narastającej już wcześniej na europejskiej wsi fali buntu. I choć jej ekonomiczne oraz ideologiczne podłoże jest wspólne w całej Europie, to żądania chłopskie w poszczególnych krajach są zróżnicowane w zależności od lokalnych warunków.

W Niemczech zapalnikiem okazały się podwyżki cen paliwa rolniczego, wymuszone zieloną transformacją energetyczną, w której Berlin przez wiele lat chciał odgrywać rolę europejskiego championa. We Francji wściekłość chłopów wzbudziła polityka ograniczania chemizacji rolnictwa, która zbiegła się

z kryzysem przegrywającego z zagraniczną konkurencją francuskiego winiarstwa. W Polsce i Rumunii poszło przede wszystkim o otwarcie na Unię ukraińskiego rynku rolnego, za sprawą którego rodzimym produktom rolnym, zwłaszcza zbożu i owocom, zagroził spadek cen i trudności ze zbytem.

Wycofywanie glifosatu oraz pestycydów z rolnictwa i przemysłu spożywczego miało poprawić jakość naszego jedzenia oraz wpłynąć na zmniejszenie zagrażającego poziomowi zachorowań na raka i chorobę Parkinsona. Pod presją traktorów te projekty musiały upaść

„SŁYCHAĆ WYCIE? ZNAKOMICIE!”

Polityczny czas tych wszystkich protestów został wybrany dość przemyślnie. Za niewiele ponad kwartał w całej Unii odbędą się wybory europejskie, których polityczna stawka jest tym razem wyższa niż w przeszłości. Dominująca w Europie centrowa chadecja, skupiona w Partii Ludowej (EPL), stoi w obliczu poważnego zagrożenia ze strony rosnącej w siłę „nowej prawicy”, dla której charakterystyczne są trzy wyznaczniki ideowe: sprzeciw wobec imigracji, sprzeciw wobec otwartego handlu i sprzeciw wobec polityki klimatycznej.

Drugi i trzeci spośród tych sprzeciwów są zaś kluczowe dla interesów rolniczych. Gros europejskich producentów rolnych chciałoby, aby granice państw stanowiły zarazem mocne barykady dla handlu rolnego, uwalniając farmerów od konieczności konkurowania z zagranicą. Dlatego polscy chłopi napadają na ukraińskie ciężarówki, siłą wysypując z nich zboże na drogi, a fran-

cuscy chłopi zapowiadają taką samą akcję wobec ciężarówek z hiszpańskimi pomidorami. Wolny handel, czyli idea, która niegdyś stworzyła Unię Europejską, dzisiaj traktowany jest przez wies jako przejaw wrogiej ideologii.

Podobnie rzecz się ma z zieloną ideologią. Faktem jest, że odkąd w Unii rozpoczęło się panowanie niemieckiej chadeckiej von der Leyen oraz holenderskiego socjalisty Timmermansa fanatyzm i polityczna arogancja wzięły w tej mierze górę nad polityczną roztropnością. Szefowa Komisji Europejskiej dość beznamiętnie uczyniła wszelkie możliwe restrykcje klimatyczne sztandarem całej swojej kadencji. A reszty dokonał zajadły fanatyk Timmermans, który aż do ub.r. (kiedy w końcu odszedł z Komisji Europejskiej) stosował w praktyce unijnej polityki klimatycznej znaną w Polsce maksymę wszelkiej maści fanatyków: „Słuchać wycie? Znakomicie!”.

Im silniejsze pojawiały się zatem odgłosy niezadowolenia z powodu złych skutków polityki klimatycznej, tym mocniej w Brukseli dociskano klimatyczny gaz, ignorując liczne nawoływania do ostrożności i społecznej debaty. A wszystko to odbywało się pod hasłem walki z „populistyczną prawicą”, z której żądaniami nie wolno dyskutować, ale trzeba je siłą zwalczać i dezawuować jako jakieś mityczne zagrożenie dla całego kontynentu.

I dopiero gdy zaczęły się zbliżać wybory 2024 r., a wraz z nimi możliwość utraty władzy nad Unią przez dotychczasowy establishment, nagle pojawiły się oznaki politycznej paniki. Szef EPL Manfred Weber nagle zaczął alarmować, iż zieloną transformację trzeba powstrzymać co najmniej tam, gdzie uderza w interesy rolnictwa, zrzucając przy tym winę za dotychczasową politykę na (jak mówił) „prowokacyjny styl Timmermansa”. Dość nieoczekiwanie chadecka międzynarodówka stała się główną siłą hamującą wszelkie zmiany krytykowane przez europejskie lobby rolnicze.

Na początek w październiku 2023 r. pod nóż poszły przygotowywane od wielu lat regulacje w dziedzinie

toksycznych chemikaliów, a stosowny projekt prawa europejskiego nagle wypadł z planu prac Komisji, gdzie jeszcze niedawno traktowany był jako priorytet. Miesiąc później Unia wydała dziesięcioletnie pozwolenie na stosowanie w rolnictwie i przemyśle spożywczym glifosatu, czyli jednego z najbardziej toksycznych pestycydów. 6 lutego 2024 r. von der Leyen została przymuszona przez własną partię do wycofania z dalszej legislacji jednego z kluczowych aktów Zielonego Ładu (za którym jeszcze niedawno gardłowała na śmierć i życie), czyli prawa o zmniejszeniu poziomu pestycydów w żywności o połowę do 2030 r.

Jednak głęboko myliłby się ktoś, kto by pomyślał, że Komisja Europejska zreflektowała się, gdy idzie o nonsensy głoszonej przez siebie radykalnej ideologii klimatycznej. Nadal zamierza likwidować w całej Europie samochody spalinowe, nadal planuje walkę z gazem (a już nie tylko z węglem czy ropą) jako źródłem energii dla przemysłu i gospodarstw domowych. Co więcej, ostatnio zaczęła nawet głosić jeszcze większe przyspieszenie i radykalizację restrykcji, aż do bajkowego poziomu 90 proc. redukcji emisji do 2040 r. Nawet umiarkowani eksperci od ekologii (np. z amerykańskiego Wilson Center) określają ironicznie te nowe plany unijne mianem „fantastyki” albo „przesuwania leżaków na tonącym Titaniku”.

Polityczny absurd postępowania Komisji widać może najlepiej, jeśli zważyć, że w uprawianiu tej ideologicznej fantastyki liderom Unii nie przeszkadza jednocześnie całkowita kapitulacja na froncie ekologii rolnictwa. I to mimo iż każdy wie, że żadne wyśrubowane cele klimatyczne nie mogą zostać osiągnięte bez ekologicznej transformacji rolnictwa.

WŁADZA WAŻNIEJSZA NIŻ ZDROWIE

I tak strach obecnej elity władzy przed paneuropejskim najazdem traktorów oraz jego skutkami dla wyborów europejskich zniweczył w sumie najbardziej rozsądną część koncepcji Zielonego Ładu. Rzecz bowiem w tym, że nowe regulacje stosowania toksycznych

chemikaliów (nie tylko zresztą w rolnictwie) miały służyć nie tylko klimatycznej ideologii, lecz także ochronie zdrowia Europejczyków. Zaś stopniowe wycofywanie glifosatu oraz pestycydów z rolnictwa i przemysłu spożywczego miało poprawić jakość naszego jedzenia oraz wpłynąć na zmniejszenie zagrażającego poziomu zachorowań na raka i chorobę Parkinsona.

Pod presją traktorów to właśnie te, najważniejsze i najbardziej wartościowe projekty, musiały teraz upaść. Eurokra-

O ile cały właściwie przemysł, w tym nawet tradycyjną energetykę, udało się już wtłoczyć w nowe ramy wymogów polityki klimatycznej, to w rolnictwie jej efekty są dotąd zgoła żadne

tom łatwiej machnąć ręką na to, co jedzą albo na co chorują Europejczycy, niż zreflektować się nad rządzącym dziś Unią ideologicznym fanatyzmem, który ma być orężem politycznej rozprawy z nową prawicą, aspirującą do przejęcia władzy w Europie.

A wszystko to dodatkowo nabiera ponurego wymiaru, jeśli porównać narzucaną teraz przez EPL politykę z tym, co dokładnie w tym samym czasie dzieje się w Stanach Zjednoczonych.

W styczniu 2024 r. ława przysięgłych w Pensylwanii jednomyślnie nałożyła na niemiecki koncern Bayer, produkujący pestycydy na bazie glifosatu, odszkodowania w wysokości 2,25 mld dol. dla trzech osób, które za sprawą tego związku chemicznego zachorowały na raka. Kilka tygodni wcześniej sąd stanu Missouri nałożył na Bayera kary i odszkodowania na kwotę 3,46 mld dol. z tego samego tytułu. Amerykańskie sądy jawnie dążą do wymuszenia bankructwa niemieckiego koncernu, upatrując w tym sposobu na eliminację

z amerykańskiego rolnictwa tego najbardziej toksycznego pestycydu.

Zarówno Międzynarodowy Instytut Badań nad Rakiem (IARC), jak i najbardziej prestiżowy medyczny magazyn „The Lancet” nie mają wątpliwości, że preparaty na bazie glifosatu (np. masowo w Polsce stosowany Roundup) odpowiadają za szczególnie wysoki poziom zachorowań na raka i chorobę Parkinsona, z którymi mamy do czynienia szczególnie w Europie. Przy 6 proc. ludności Stary Kontynent odnotowuje ostatnio 23 proc. globalnych zachorowań na raka. Ale tylko Ameryka, słynąca przecież dotąd z uprzedmiotowienia rolnictwa i złej żywności, ma odwagę wycofywania się ze swych dotychczasowych błędów.

Prawdę mówiąc, trudno o bardziej spektakularne świadectwo upadku etyki politycznej w unijnej Europie. W negocjacjach z włoskimi traktorzystami premier Meloni przechwala się, iż odegrała kluczową rolę w wymuszeniu zgody na dalsze trucie Europejczyków toksycznymi pestycydami. Prezydent Macron powołuje nowego premiera Francji i ze strachu przed traktorzystami nakazuje mu wstrzymać wszelkie rządowe prace nad eliminacją szkodliwej chemii z rolnictwa i żywności oraz postawić weto wobec gotowej umowy o wolnym handlu z krajami Ameryki Łacińskiej, gdyż z Brazylii i Argentyny moglibyśmy otrzymać lepszą i mniej zatrutą wołowinę na steki, a tego oczywiście nie chcą francuscy hodowcy. Premier Tusk, który jeszcze kilka tygodni temu z pogardą wypowiadał się o polityce rządu Morawieckiego, niepotrafiącego wynegocjować kompromisu między interesami Ukrainy i polskich producentów, teraz bezradnie patrzy, jak rozzuchwaleni traktorzyści napadają na ciężarówki i niszczą transportowane przez nie ukraińskie zboże.

Ekstremizm ideologii klimatycznej, która w skali Europy najmocniej uderzyła w interesy farmerów i wymusiła spadek opłacalności ich produkcji, jest nienaruszalny jako ideologiczna świętość współczesnej elity. Ale panika wobec najazdu traktorów sprawia, że za utrzymanie władzy ta sama elita łatwo zapłaci naszym zdrowiem.

Wojsko w oparach absurdu

Brytyjski minister obrony uważa, że lewicowa indoktrynacja osłabia zdolność bojową wojska. Tymczasem kultura woke przenikła głęboko do struktur armii w Europie

Nazelenie Sekretariatu Generalnego Rady Unii Europejskiej powstał raport analizujący zalety i wady bar-dziej ekologicznych sił zbrojnych. Według raportu armie mogą być odpowiedzialne za 5,5 proc. globalnej emisji CO₂. Jego autorzy powołują się na wypowiedź sekretarza generalnego NATO Jensa Stoltenberga, który w czerwcu 2023 r. stwierdził, że „nie możemy wybierać pomiędzy zielonymi lub silnymi siłami zbrojnymi, potrzebujemy silnych i jednocześnie zielonych”. Rzeczywiście, w koncepcji strategicznej NATO 2022 Sojusz zapewnia „wkład w walkę ze zmianami klimatycznymi poprzez redukcję emisji gazów cieplarnianych, poprawę efektywności energetycznej, inwestowanie w czyste źródła energii”. Sami autorzy raportu przyznają, że obecnie europejskie siły zbrojne mają pilniejsze potrzeby, jak choćby wyposażenie, efektywność i szybkość reagowania. Ale przecież nikt nikomu nie zabrania „patrzeć w przyszłość”. Zieloną przyszłość.



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Poprawność polityczna dawno objęła siły zbrojne. W USA oraz Europie. Z oplakanymi skutkami, w każdym razie jeśli chodzi o Stary Kontynent. Gdy rozpoczęła się agresja Rosji na Ukrainę, politycy lewicy w Niemczech dalej majaczyli o „unikaniu konfliktów poprzez rozbrojenie”. Ważniejsza, przekonywali, jest walka ze zmianami klimatu i dalsze finansowanie państwa opiekuńczego niż wysyłanie uzbrojenia Ukrainie. Wcześniej przez dekady panowało przekonanie, że Europie wojna już nie grozi. Redukowano wydatki na zbrojenia, likwidowano pobór. I stawiano na „różnorodność” (diversity). Więcej kobiet, mniejszości seksualnych w armiach. Szkolenia z tolerancji dla odmienności (seksualnej i płciowej) zamiast ćwiczeń na poligonach.

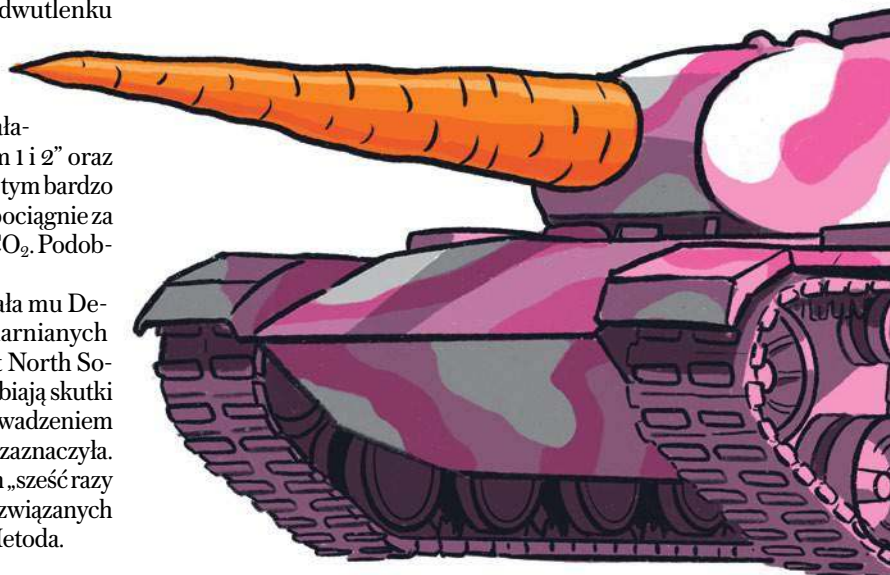
CIĘŻARNE ŻOŁNIERKI I KIJE OD SZCZOTKI

Bundeswehra była już w oplakanym stanie, zanim Ursula von der Leyen została ministrem obrony w 2013 r., ale obecna przewodnicząca Komisji Europejskiej doprowadziła ją, jak twierdzi niemiecki tygodnik „Focus”, na skraj zapaści. Kazała stworzyć m.in. specjalny mundur dla ciężarnych żołnerek. W tym celu zorganizowała nawet pokaz mody. W sumie, jak podało wówczas ministerstwo, przetestowano 500 kompletów umundurowania

TOLERANCJA DLA ODMIENNOŚCI

Raport Sekretariatu Generalnego Rady UE wpisuje się zresztą w szerszy trend przeliczania wszystkiego na emisję CO₂. W czerwcu ub.r. na forum ONZ holenderski ekspert Lennard de Klerk przedstawił dokładne wyliczenie emisji dwutlenku węgla, wynikających z pierwszego roku wojny na Ukrainie: 155 mln t. Tyle samo, ile rocznie emituje Holandia. Kalkulacje de Klerka objęły nie tylko pole bitwy, lecz także pożary lasu wywołane działaniami wojennymi, „ataki na gazociągi Nord Stream 1 i 2” oraz „przemieszczanie się uchodźców”. De Klerk był przy tym bardzo zmartwiony faktem, że rosyjska agresja na Ukrainę pociągnie za sobą „dozbrajanie się Europy”, czyli kolejne emisje CO₂. Podobnie jak odbudowa Ukrainy.

Podczas panelu klimatycznego w Bonn wtórowała mu Deborah Burton, ekspertka ds. emisji gazów cieplarnianych w brytyjskiej organizacji non-profit Tipping Point North South, która stwierdziła, że „emisje z konfliktów pogłębiają skutki klimatyczne”. „Wiele źródeł emisji związanych z prowadzeniem wojny naraża cele klimatyczne na znaczne ryzyko” – zaznaczyła. Według niej bogate kraje wydawały w ostatnich latach „sześć razy więcej na wojsko niż publiczne finansowanie działań związanych ze zmianą klimatu”. Ekologiczne szaleństwo? Nie. Metoda.



w różnych rozmiarach i składzie – od odzieży polowej po rajstopy służbowe. Według ministerstwa koszt całego przedsięwzięcia wyniósł ok. 650 tys. euro. Kolejnym zadaniem, za którego realizację von der Leyen wzięła się z równie dużym zapalem, było przekonanie żołnierzy do „różnorodności” i wzmocnienie ich „kompetencji międzykulturowych”. Bundeswehra zaczęła rekrutować coraz więcej kobiet, przedstawiciele społeczności LGBT+ oraz osoby niepełnosprawne i te „z tłem migracyjnym”. Szefowa MON zainicjowała specjalne seminaria w oddziałach na temat „zarządzania tożsamością i orientacją seksualną”. Tymczasem stan uzbrojenia niemieckiej armii stawał się coraz gorszy.

We wrześniu 2014 r. jednostka Bundeswehry przybyła na międzynarodowe ćwiczenia NATO Noble Ledger w Norwegii. Biorące udział w ćwiczeniach pojazdy opancerzone Boxer zamiast w karabiny maszynowe były uzbrojone w pomalowane na czarno kije od mioteł. Powód? Braki w magazynach Bundeswehry. Gdy w 2015 r. wybuchł kryzys migracyjny, von der Leyen kazała żołnierzom wyprowadzić się z koszar, by zrobić miejsce dla uchodźców.

KOLOROWO I NIEZDROWO

Dziś Bundeswehra chwali się na swoich stronach internetowych, że zamieniła się z „domeny czysto męskiej” w „kolorowe stado”. Jak czytamy: „Ok. 16 proc. żołnierzy ma korzenie migracyjne. 12 proc. personelu to kobiety. Członkowie społeczności LGBTQ zorganizowali się już we własne stowarzyszenie – Queerbw”. Niemieckim MON w ostatnich latach także szefowały kobiety: po von der Leyen Annegret Kramp-Karrenbauer i Christine Lambrecht, która od spotkań ze swoim brytyjskim odpowiednikiem wołała wizyty u fryzjera i manikiurzystki. Właściwie wyszło jej tylko jedno – zdjęcie w czołgu. Tak to bywa, gdy parytet jest ważniejszy od kompetencji.

Stan uzbrojenia Bundeswehry wciąż pozostawia wiele do życzenia. W 2022 r. na ćwiczeniach zepsuły się wszystkie pojazdy bojowe piechoty Puma, które były wyznaczone do zespołu sił szybkiego reagowania NATO. W jednym doszło nawet do pożaru. A te 100 mld euro, które kanclerz Olaf Scholz obiecał na

doposażenie Bundeswehry po ogłoszeniu przez niego Zeitenwende, według najnowszych obliczeń nie wystarczy. „Potrzeba co najmniej trzy razy tyle” – pisze dziennik „Die Welt”. Brakuje też rekrutów. Niedawno by zaradzić problemowi, szef MON Boris Pistorius zaproponował przywrócenie poboru do wojska na wzór Szwecji. Pojawił się też pomysł otwarcia niemieckich sił zbrojnych na żołnierzy bez niemieckiego paszportu. To w sumie dziwne, bo na swoich stronach internetowych Bundeswehra zapewnia, że „różnorodność” zapewni niekończący się strumień chętnych do służby wojskowej.

Podobny problem ma Wielka Brytania. Według National Audit Office (NAO) tamtejszym siłom zbrojnym może w najbliższej dekadzie zabraknąć 17 mld funtów (prawie 86 mld zł) na sprzęt. A rekrutacja do wojska nie jest adekwatna do potrzeb. Dwa tygodnie temu komisja Izby Gmin opublikowała raport zatytułowany „Gotowy na wojnę?”. Wynika z niego, że odpowiedź na to pytanie brzmi: nie. Braki personelu dręczą m.in. brytyjską marynarkę, która z tego powodu rozważa wycofanie z użytku niektórych okrętów. Jak natomiast twierdzi minister obrony Grant Shapps, w brytyjskich siłach zbrojnych jest równie kolorowo jak w Bundeswehrze.

INKLUZYWNOŚĆ DO GRANIC ROZSĄDKU

W ub. tygodniu rozpoczął się zarządzony przez Shappsa dogłębny przegląd polityki „różnorodności i inkluzywności”, która, jak przekonuje minister, „osłabia zdolność bojową wojska”. Bezpośrednim impulsem do zarządzania przeglądu był ujawniony przez „The Sunday Telegraph” dokument, zgodnie z którym brytyjska armia, aby zrealizować założony poziom liczebności personelu wywodzącego się z mniejszości etnicznych, rekrutuje żołnierzy za granicą i aby ułatwić im nominacje oficerskie, jest gotowa obniżyć wymogi konieczne do uzyskania przez nich certyfikatu bezpieczeństwa. Ponadto w ub.r. marszałek lotnictwa sir Richard Knighton musiał przeproszać za politykę różnorodności RAF, która „otwarcie dyskryminowała białych mężczyzn”.

„Z biegiem czasu kultura woke przeniknęła do życia publicznego i zatruwa zdroworozsądkowy dyskurs. Jestem w stanie rzucić wyzwanie tej filozofii i zrobię to. Istnieją poważne kwestie, nad którymi musimy pracować i obiecuję, że zajmę się nimi podczas mojej kadencji” – zapowiedział minister Shapps. Według niego należy się pozbyć takich rzeczy, jak neutralnych płciowo toalet, które są „niepopularne”. Zlikwidowany ma także zostać kurs dla rekrutów z pozbywania się „nieświadomych uprzedzeń”. Według „The Daily Telegraph” resort obrony prowadzi ponadto 93 wirtualne platformy dla personelu, gdzie może on omawiać takie kwestie, jak rasa, płeć czy zdrowie psychiczne. Zamiast, jak twierdzi Schapps, „zajmować się czymś sensownym”. Ponadto w ciągu ostatnich czterech lat liczba osób zatrudnionych w siłach zbrojnych, które zajmują się wyłącznie sprawami różnorodności i inkluzywności, zwiększyła się z ok. 20 do ok. 50, a wydatki na ich wynagrodzenia wzrosły z 900 tys. do 1,98 mln funtów rocznie. To także ma się zmienić i trudno tu nie kibicować ministrowi Schappsowi. Szczególnie w kontekście europejskich marzeń o autonomii strategicznej i trwającej wojny na Ukrainie.



Prezydent Biden i stany umysłowe Ameryki

Historia choroby Joe Bidena jest tak naprawdę historią wielkiego oszustwa, którego dopuścili się politycy Partii Demokratycznej i tamtejsze liberalne media



DARIUSZ MATUSZAK

Gdyby w maju 1920 r. współpracownicy prezydenta Francji Paula Deschanela mogli przewidzieć, że w czasie podróży pociągiem Orient Express przytrafi mu się przygoda, jak z późniejszych komedii Louisa de Funesa, to nawet na moment nie pozostawiliby go bez opieki. Ba, gdyby w 1919 r. Blok Republikański miał odwagę stanąć w prawdzie, to nie posłaliby go do wyborów przeciwko Georges'owi Clemenceau i Deschanel nie zostałby prezydentem. Podobnie 100 lat później.

Gdyby amerykańscy demokraci uważali, że nie wolno oszukiwać wyborców i ukrywać prawdy o kłopotach zdrowotnych Joe Bidena, to nie wystawiliby go przeciwko Donaldowi Trumpowi i nie musieliby teraz drżeć, co też wydarzy się za miesiąc, dwa czy kto będzie ich kandydatem w listopadowych wyborach. Ale władza jest najważniejsza, a że z badań wyszło im, że tylko Biden może pokonać Trumpa, to go forsują.

PROKURATOR SPECJALNY UJAWNIA

Do przygód prezydenta Francji wrócimy, na razie pozostaniemy w świecie umysłowych zaćmień i mgieł 81-letniego prezydenta USA, który jak mówią Amerykanie, najchętniej rozmawia ze zmarłymi. Dla wszystkich jest jasne, że Joe Biden, w uproszczeniu mówiąc, pogrąża się demencją, nie wie, co się z nim dzieje, może zablądzić we własnej łazience, a żonę pomylić ze zmarłą królową Elżbietą II. I nawet są na to kwity.

Historia choroby Joe Bidena jest tak naprawdę historią wielkiego oszustwa, którego dopuścili się politycy Partii Demokratycznej i tamtejsze liberalne media. To nie jego wina, że nie wie dokładnie, co się z nim dzieje. To starszy pan, któremu polityczne zaplecze, znając stan jego zdrowia, powierzyło wraz z kodami do broni atomowej moc najpotężniejszego człowieka na planecie. To historia kłamstw mediów, które chorego człowieka kreowały na dziarskiego staruszka, któremu młodzi mogą zazdrościć energii i błyskotliwości. Specjaliści od propagandy wymyślili nawet ten jego trucht, którym to niby żwawo się porusza. Wiedzieli, co się może zdarzyć i kłamali. Skąd to wiadomo?

Pięć miesięcy przed wyborami prezydenckimi w 2020 r. w odpowiedzi na raport Warsaw Enterprise Institute „Polityka zagraniczna przyszłej administracji prezydenta Josepha Bidena – możliwe scenariusze” pisałem tak: „Ja nie muszę być dyplomatą. Biden jest sklerotykiem, i to nie w przenośni, tylko w klinicznym znaczeniu tego słowa. Pogrąża się w demencji, nie wie, gdzie jest, nie odróżnia żony od siostry, wszystko mu się myli. Instalacja przepala mu się coraz bardziej, rury zatykają, płyty skleją, a zwoje i trąbka Eustachiusza prostują. I nic już tego nie zmienia. Nie będzie więc żadnej jego – Bidena administracji, tylko ludzi z otoczenia. Posadzą go w fotelu bujanym w Gabinetcie Owalnym, na wosnę wyniosą do Ogrodu Różanego, jesienią przykryją pledzikim, depną na biegun i tak się będzie w tym fotelu kołysał. Nie piszę tego po to, by ze starca szydzić, ale by pokazać do jakiego stopnia zdegenerowane są waszyngtońskie elity, by kogoś w takim stanie fizycznym i umysłowym forsować na stanowisko władcy ogromnej części świata”. Ale co tam ja, taki daleki, nieistotny obserwator.

Jeszcze niedawno można było próbować zwodzić wyborców i publiczność na świecie. Udawać, że opowieści ubiegającego się o reelekcję prezydenta USA, jak to niedawno rozmawiał o zajęciach na Kapitolu w 2021 r. ze zmarłym w 1996 r. François Mitterrandem albo z nieżyjącym od siedmiu lat kanclerzem Helmutem Kohlem i dziesiątki podobnych zdarzeń, to drobne pomyłki, które rywale wyolbrzymiają. Jednak prawdy o stanie zdrowia Bidena dłużej nie da się zakłamywać, bo cios w plecy zadało mu jego własne otoczenie – z głupoty i nadgorliwości, a może specjalnie, by go usunąć z wyścigu prezydenckiego na rzecz innego demokraty.

Rzecz wydarzyła się z pozoru mimochodem, przy okazji śledztwa w sprawie nielegalnego przechowywania przez prywatnego obywatela Bidena tajnych dokumentów, które otrzymał jako wiceprezydent USA. Znalaziono je nawet walające

się w rozwalonych pudłach w garażu jego domu w Delaware. Prokurator federalny Robert Hur dostał zadanie specjalne. Miał tak kombinować, by za to samo przestępstwo, czyli nielegalnego przechowywania dokumentów, można było postawić przed sądem Donalda Trumpa, ale Joe Bidena już nie. Federalny prokurator specjalny więc tak zabełtał, że sam Bodnar byłby z niego dumny. Z opublikowanego 9 lutego br. blisko 400-stronicowego raportu wynika, że Biden może i popełnił przestępstwo, ale z powodów zdrowotnych nie nadaje się do tego, by stanąć przed ławą przysięgłych. „W trakcie rozmów z naszym biurem [prokuratora specjalnego] wyszło na jaw, że nie pamięta nawet, kiedy był wiceprezydentem, kiedy zaczęła się, a kiedy skończyła jego kadencja... Nie pamiętał nawet, kiedy zmarł jego syn Beau” – podano w raporcie. Biden wielokrotnie mówił, iż zginął w Iraku, podczas gdy w rzeczywistości zmarł na nowotwór. Krótko mówiąc, prezydent jest w takim stanie, że nie może stanąć przed sądem, bo nawet nie wie, co robi, więc nie może ponosić odpowiedzialności za swe czyny.

Oj tam, oj tam – amerykański prezydent nie musi wiedzieć, co robi i gdzie akurat jest. Tak mówi wielu demokratów, którzy starają się podtrzymać fikcję, iż z Bidenem jest wszystko w porządku. Krew jednak wyczuli wiceprezydent Kamala Harris. Jak zwykle wyrwna, gdy chodzi o zaszczyty, w rozmowie z „Wall Street Journal” na pokładzie Air Force 2 oznajmiła, że jest gotowa i jakby co to podejmie wyzwanie i zajmie miejsce Bidena. Niby ma rację. W amerykańskim porządku ustrojowym wiceprezydent to taki zapasowy prezydent. Zazwyczaj nie ma nic do roboty, tylko czeka. Nelson Rockefeller, wiceprezydent u Geralda Forda, opowiadał, że zajmował się głównie jeżdżeniem na pogrzeby. Problem w tym, że Harris nikt nie chce. Jest nie lubiana i nikt jej nie ceni.

Demokraci są ofiarami kolejnego swego oszustwa. Gdyby wiceprezydentem był ktoś kompetentny i popularny, pewnie już by elegancko przeprowadzono podmiannę lokatora w Białym Domu. Wszyscy wiedzą, że Biden zrobił Harris wiceprezydentem tylko ze względu na parytety politpoprawności. Demokraci nie wiedzą więc, co robić i nadal próbują prowadzić swą grę, np. pojawiają się neurologi, którzy zaświadczały, że nie szkodzi, iż Biden ma kłopoty z pamięcią. A poza tym Trump też jest stary.

Tymczasem Kongresmen Ronny Jackson, który był lekarzem trzech prezydentów, uważa, że nadszedł czas, by przywołać 25. poprawkę do konstytucji, która opisuje m.in. złożenie z urzędu prezydenta niezdolnego do pełnienia swej funkcji. „Nie wiem, czy Biden cierpi na demencję wielozawalową, chorobę Parkinsona czy Alzheimera, na czym polega problem. Wiem tylko, że ma poważne zaburzenia funkcji poznawczych związane z wiekiem i nie ma znaczenia, jaka jest rzeczywista diagnoza” – oświadczył niedawno Jackson.

TAJEMNICE ZDROWIA PRZYWÓDCÓW

Oszukiwanie opinii publicznej na temat stanu zdrowia przywódców zdarzało się już wcześniej i nieraz było przynajmniej

zrozumiałe. W 1921 r. Franklin Delano Roosevelt zapadł na chorobę Heinego-Medina i został sparaliżowany od pasa w dół. Prezydenturę zdobył i sprawował z wózka inwalidzkiego, a Amerykanie doceniali jego upór, odporność, choć był fatalnym prezydentem. Klasa polityczna i media zawarły niepisaną umowę, by chorobę i kalectwo traktować z dyskrecją, nie czynić z nich oręża. Wcześniej też skrywano to, iż w czasie swej drugiej kadencji Woodrow Wilson doznał dwóch wylewów i przez wiele miesięcy był sparaliżowany.

Wielka zmowa przez kilkanaście lat chroniła prezydenta Francji François Mitterranda, u którego w 1981 r., kilka miesięcy po objęciu urzędu, zdiagnozowano raka prostaty. Rokowania były złe – od trzech miesięcy do trzech lat życia. Mitterrand walczył z chorobą i był prezydentem jeszcze przez 14 lat. Zmarł siedem miesięcy po upływie drugiej kadencji. Wszystko wydało się dopiero po jego śmierci, kiedy lekarz prezydenta Claude Gubler w książce „Le grand secret” opisał jego sekret. We Francji rozgorzała wtedy dyskusja na temat tajemnicy lekarskiej i prawa do prywatności głowy państwa, ale nie było wątpliwości, że Mitterrand kłamał na temat swego zdrowia. A to przestało być prywatną sprawą po tym, jak w trakcie drugiej kadencji w 1974 r. na białaczkę zmarł prezydent Georges Pompidou. Swą chorobę ukrywał przez pięć lat.

Niczego jednak nie dało się ukryć w sowieckiej epoce starców. Zaczęło się od Leonida Breżniewa, który zaczął się psuć już w 1968 r., w czasie rozmów z przywódcami przywoływanej pod but Czechosłowacji. Język zdrętwiał, zapadł w stupor, ledwie go przywrócono do świata przytomnych. Potem były udary, zawał, nowotwór, a od 1976 r. wszystko zaczęło się sypać i pierwszy sekretarz KC KPZR zanurzył się też w odmętach demencji. „Związek Radziecki przeprowadził demonstrację siły. Breżniew zrobił 10 kroków bez niczyjej pomocy”. „Od czego zaczyna się dzień na Kremlu? Od reanimacji Breżniewa” – tak wówczas szydzono. Są spekulacje, że ostatecznie w listopadzie 1982 r. wykończył go jego następca, szef KGB Jurij Andropow. Ten zasiadł na kremleńskim stolcu obciążony wieloma chorobami i utrzymał się na nim niewiele ponad rok. Zmarł w lutym 1984 r. Na jego następcę Biuro Polityczne KC KPZR wybrało wówczas Konstantina Czernienkę, bo, jak żartowano, miał w tym domu starców najlepsze EKG. Pokaz żywotności dał już na pogrzebie Andropowa, kiedy to ledwie wszedł na trybunę i wybełkotał mowę pożegnalną. Po tym wyczynie na kilka miesięcy został zesłany do sanatorium, a kiedy wrócił, mógł poruszać się tylko na wózku inwalidzkim. Czernienko pokremłował sobie rok i zmarł w marcu 1985 r. W tych czasach z tego leż

padolu zeszło też kilku innych starców z Biura Politycznego, w tym zbrodniarz Michaił Susłow, który, choć starszy, szykował się na następcę Breżniewa, ale nie doczekał.

Stan zdrowia przywódców to jednak sprawa wręcz śmiertelnie poważna. Oto w 1962 r. świat pogrążył się w kryzysie kubańskim, który groził wybuchem wojny jądrowej. Po jednej stronie cierpiący na depresję, stany lękowe, nieraz zalewający się łzami (są relacje) prezydent USA John Kennedy, a po drugiej chory na cyklofrenię – dwubiegunowość – sowiecki przywódca Nikita Chruszczow. Ten w czasie jednego z ataków pobudzenia rzucił rozkaz, by „wpuścić wujkowi Samowi jeża w gacie”, czyli poczęstować Waszyngton bombą.

ZNIKNIĘCIE W ORIENT EXPRESSIE

Powróćmy do prezydenta Francji Paula Deschanela, końca jego urzędowania i końca podróży Orient Expressem. 23 maja 1920 r. przed północą dróżnik André Radeau zauważył idącego wzdłuż torów ubranego w haftowaną pi-

dżamę, ale bosego, podrapanego i zakrwawionego mężczyznę, który oświadczył, że jest prezydentem Francji. „Bardzo mi miło, Napoleon Bonaparte” – przedstawił się dróżnik, po czym zaprowadził pana w pidżamce do swego domu, by stamtąd powieziono go do szpitala. Tam rano zobaczył go lekarz, który zakrzyknął: „To jego ekscelencja, najprawdźwieszszy prezydent Deschanel”. Wieść dotarła do służb prezydenckich, więc te mogły zakończyć poszukiwania pryncypała, który zniknął z pociągu. Co się wydarzyło? Ok. 22.00 prezydent łyknął tabletki i poszedł do swojego przedziału. Tam chciał się przewietrzyć, więc otworzył okno, wychylił się, ale zbyt mocno i wypadł z pociągu. A że ten jechał akurat wolno, to nie odniósł większych obrażeń. Ale co tak naprawdę pre-

zydent nawyprawiał, to nie wiadomo, bo nic nie pamiętał. Wiadomo, że była to kolejna przygoda chorego psychicznie Paula Deschanela. Ledwie dwa miesiące wcześniej całkowicie nagi przyjął brytyjskiego posła, lorda Derby, a przy innej okazji rzucił się na weterana wojennego i zaczął go całować. Po przygodach w Orient Expressie nie było wyjścia, jak tylko złożyć go z urzędu.

Jak będzie z prezydentem Bidenem – nie wiemy. Wedle przeprowadzonej dla NBC ankiety aż 89 proc. Amerykanów uważa, że nie jest dość zdrowy, by podjąć drugą kadencję, a 63 proc. że nie jest w stanie już teraz sprawować urzędu. O jedno Amerykanie mogą być spokojni. Z pociągu im nie wypadnie, bo żadnym nie jeździ, ani też okna czy drzwi w czasie lotu Air Force 1 nie otworzy i nie wysiądzie. 

„W trakcie rozmów z naszym biurem wyszło na jaw, że nie pamięta nawet, kiedy był wiceprezydentem, kiedy zaczęła się, a kiedy skończyła jego kadencja... Nie pamiętał nawet, kiedy zmarł jego syn Beau” – napisano o Joe Bidenie w opublikowanym w tym miesiącu raporcie prokuratora specjalnego

Nielegalny imigrant w luksusach



MAŁGORZATA WOŁCZYK

Zapewne wielu z państwa spędziło wakacje w luksusowym hotelu w Hiszpanii, drenujących konto z ciężko zarobionych pieniędzy. Pozostaje ufać, że było jednak warto, a fotki i wspomnienia zrekompensowały wydatek. Wyobraźcie sobie jednak, że za nic nie płaciecie, jecie, ile chcecie i w dodatku składacie zażalenia na niezbyt ciepłą wodę w basenie. W tym celu wystarczy: pochodzić z Afryki, nielegalnie przybić do brzegu pontonem lub łódką i czekać, aż was ugoszczą w białej pościeli



Bądźmy szczerzy: nie wszystkim nielegalnym imigrantom udaje się załapać na półroczny pobyt w luksusowym hotelu i leżakowanie nad basenem z widokiem na zatokę. Większość intruzów, przybywających każdego dnia na hiszpańskie plaże, jest zakwaterowana w ośrodkach dla „uchodźców” o standardzie, który mógłby jednak wzbudzić zazdrość niejednego Polaka. Wyjaśnijmy też od razu, aby uniknąć nieporozumień – skoro według oficjalnych statystyk 80 proc. osób przybywających do wybrzeży Hiszpanii pochodzi z najbliższego Maroka, to używanie terminu „uchodźcy” zakrawa na żart. Maroko nie jest terenem żadnego konfliktu ani wojny, wręcz przeciwnie. Będąc krajem stowarzyszonym z UE i dzięki odwiecznej braterskiej relacji z USA, wyrasta na lidera w regionie Maghrebu. Mimo to do Hiszpanii pod

rządami socjalistycznego premiera Pedro Sáncheza ludzie z Afryki walą drzwiami i oknami, a dokładnie drogą morską, powietrzną i lądową.

W 2018 r., gdy Italia i Malta odmówiły przyjęcia do swych portów statku Aquarius z 629 imigrantami na pokładzie, to właśnie rząd Hiszpanii, zresztą w świetle kamer z całej Europy, wykonał szeroki gest zachęty, który skutkował przyrastającą geometrycznie dynamiką inwazji. To nie tylko Angela Merkel była odpowiedzialna za zaproszenie mieszkańców innych kontynentów do maleńkiej Europy, lecz także premier Sánchez od sześciu lat jest oskarżany przez swoich obywateli o stworzenie tzw. efecto llamada, czyli zachęcania

mieszkańców Maghrebu, aby skorzystali z oferty lepszego życia w myśl polityki „otwartych drzwi”.

WIELKA DEMOLKA

Zatem skorzystali z zaproszenia, i to do wiwatu. Oto przykładowa relacja, którą można było przeczytać np. w dzienniku „El Español” o zajściach w kompleksie hotelowym Mogán na Gran Canarii w 2021 r. „Jestem policjantem od 15 lat i nigdy nie widziałem czegoś podobnego. To wyglądało jak brazylijskie więzienie w czasie zamieszek. Imigranci całkowicie przejęli kontrolę nad kompleksem hotelowym. Byli nawet na dachach, pełno pijanych, wybijali okna i wyrzucali przez nie urządzenia. Zniszczone meble, latające mikrofalę, kamienie rzucone w strażników i w siły bezpieczeństwa. Bitwy i walki. Na recepcji zabarykadowało się pół tuzina personelu, nie mogli wyjść ze względu na ataki. Na podłodze kompleksu potłuczone szkło zmieszane z plamami krwi imigrantów”. Pikanterii dodaje fakt, że w oficjalnej wersji wydarzeń w Mogán udzielono schronienia ok. 400 „nieletnim uchodźcom”. Fotorelacja pokazuje, że owi ponoć „nieletni” mieli niezłą krzepę, wyrzucając przez okna lodówki (!) i meble.

Takie „noce tłuczonego szkła” w hotelach Wysp Kanaryjskich budzą przeżenie zarówno wśród mieszkających tam obywateli, jak i turystów zszokowanych brakiem ostrzeżeń o czyhających na nich „atrakcjach”. Kryzys migracyjny na Wyspach Kanaryjskich przybiera rozmiary inwazji, o której nie mówi się w głównych mediach Europy, choć przecież to znany kierunek turystyczny. Tylko w październiku 2023 r. na archipelag przybyło prawie 14 tys. intruzów. Hotelarze boją się, że zostaną zrujnowani, a za parę lat turyści będą omijać Gran Canarię szerokim łukiem.

IMIGRANT MA LEPIEJ NIŻ EMERYT

Co czują Hiszpanie oglądający obrazki ułożonych w luksusowych hotelach „nachodźców”? Moja przyjaciółka mówi mi: „Sama widzisz, że w Madrycie czy innych miastach widać ludzi

śpiących na ulicach. Jeśli więc państwo nie ma środków, aby pomóc swoim obywatelom, to skąd bierze fundusze, aby zapewniać loty czarterowe imigrantom oraz wikt, dach nad głową dla dziesiątków tysięcy imigrantów?”.

Trzeba dodać, że loty czarterowe należą do stałego repertuaru trików rządu. Jeśli w pewnych portach zjawia się zbyt dużo imigrantów naraz, rząd dystrybuje ich w różne miejsca Hiszpanii, aby uniknąć wrażenia ataku na granice.

Polacy niewiele słyszą o trwającej inwazji na Hiszpanię, media głównego nurtu emitują migawki jedynie wtedy, gdy „masa krytyczna” przekroczy normy. Tymczasem zaledwie w listopadzie i grudniu 2023 r. na małe wyspy napłynęło prawie 25 tys. osób. Jak poradził sobie z tym rząd, informował dziennik „Ok Diario” w następujący sposób: „Rząd Pedro Sáncheza zakwaterował w hotelach tysiące nielegalnych imigrantów z Afryki Subsaharyjskiej, którzy przybyli na Wyspy Kanaryjskie w ostatnich tygodniach. Oplaca obiekty w centrach miast, czterogwiazdkowe, a nawet w uzdrowiska, za które rząd płaci 49 euro na imigranta za jedną noc przez sześć miesięcy. Cyfra ta jest siedmiokrotnie wyższa niż dotacja rządowa na pobyt emerytów w ramach programu wczasów Imsero: w tym przypadku dopłacają im dziennie tylko 7,4 euro do hotelu”.

Problemem są nie tylko wyspy, lecz także szerokie wybrzeże południa Hiszpanii, do którego łódki przybijają parę razy w tygodniu. Na hiszpańskich social mediach jest pełno filmików nakręconych telefonem przez przypadkowego spacerowicza na plaży, który nagrywa schodzenie na ląd grupy kilkudziesięciu imigrantów.

W SPIRALI SZANTAŻU

Dlaczego Hiszpania jest zalewana imigrantami z Afryki, skoro płaci haracz Królestwu Alawitów z Maroka właśnie za powstrzymywanie tej ludzkiej fali?

UE także z naszych składek przeznaczyła pakiet pomocowy dla Maroka w kosmicznej wysokości 500 mln euro na lata 2021–2027, aby kraj ten uszczelnił granice i zatrzymywał ludzki strumień z głębi Afryki. Wszyscy prze-

cież pamiętają, jak szczerze Maroko potrafiło zamknąć granicę na wieść, że w Hiszpanii wybuchła pandemia COVID-19. Wtedy nie mogła przecisnąć się nawet mysz, dziś w kierunku Europy wymykają się tysiące ludzi. Madryt, szantażowany przez kapryśnego sąsiada z południa, płaci swój haracz oddzielnie, ale Maroko nie tylko kiepsko wywiązuje się z umowy, ale właściwie zaludnia Hiszpanię, a zwłaszcza Katalonię, swoimi obywatelami, którzy prowadzą we wszystkich statystykach przestępstw.

Europa, a tym bardziej rząd Hiszpanii, zdają sobie sprawę, że znajdują się w spirali szantażu, w który wpadli dobrowolnie. Zaczadzeni ideologią multikulturalizmu, w której „żaden przybysz nie jest nielegalny”, muszą się teraz zgadzać na wszystkie jej następstwa. Oznacza to zatem dalsze uleganie komuś, kto od lat decyduje się na traktowanie przepływów migracyjnych jako skutecznej broni w stosunkach dyplomatycznych z Europą. Pamiętnego 17 maja 2021 r. satrapa Maghrebu wepchnął Hiszpanom do Ceuty ponad 10 tys. Marokańczyków jednego dnia, sprawiając Hiszpanów w stan szoku. Od tamtej pory rząd Sáncheza wydaje się być zakładnikiem przede wszystkim kapryśnego króla Mohammeda VI, ale nie tylko on, bo właściwie my wszyscy zamieszkujący „globalną wioskę Europa”.

Dziennik „El Pais” donosił parę dni temu: „Sánchez i von der Leyen obiecali ponad 500 mln euro Mauretanii w zamian za powstrzymanie napływu łódek z imigrantami na Wyspy Kanaryjskie. UE przekazuje bezpośrednio 210 mln euro na projekty inwestycyjne Mauretanii, te związane z kontrolą granic, a Hiszpania obiecuje kolejne 300 mln w różnych formach finansowego wsparcia”.

Widzimy zatem, że tkwimy w rękach szaleńców, którzy zamiast pilnować własnych granic, zatrudniać służbę graniczną, wznosić mury wolą płacić ze wspólnej (choć podobno pustej) kasy unijnej haracz kolejnym państwom, aby powstrzymały własnych obywateli przed ucieczką. W kolejce po zapomogę są być może wszystkie państwa Sahelu, na którym operuje Rosja

z pomocą wagnerowców, aby wypychać imigrantów ku Europie.

Nie chodzi jednak tylko o zgubną ideologię multikulturalizmu czy brak woli politycznej i wyobraźni ze strony szefów państw oraz unijnych biurokratów. Musimy pamiętać, że lewica równolegle prowadzi swoje interesy, zaraabiając na imigracji w perfidny sposób.

JAK ROBIĆ KASĘ NA UCHODZCACH?

Mój przyjaciel, emerytowany policjant Rafael Mínguez, przepracował 30 lat w różnych niebezpiecznych dystryktach Madrytu. W Hiszpanii nie wolno mu otwarcie mówić o sprawach, których był świadkiem. „Miałem kiedyś okazję słyszeć prywatną rozmowę dwóch polityków planujących biznes w oparciu, jak to mówili, »o 5 tys. euro za łebka«, zupełnie jakby rozmawiali o jakimś towarze – opowiadał. – Na początku nie byłem pewien, o czym mowa, ale niedługo potem pojawiła się ustawa i regulacje, które dotyczyły także nas, policjantów. Lewica zawsze ustanawia prawa, na których może zarobić. To wtedy rozpoczął się biznes oparty na przyjmowaniu młodocianych MENAS [hiszpański akronim od nazwy „nieletni cudzoziemcy bez opieki“], który jest jednym z najbardziej intratnych i dlatego nikt nie pyta, dlaczego małolaty z Maghrebu nie są odsyłane do swoich krajów, domów i rodzin”.

Mowa oczywiście o przybywających bez opieki dorosłych nastolatkach, tylko teoretycznie poniżej 18. roku życia, choć w praktyce nikt nie jest w stanie zweryfikować tego faktu. Pieniądze są wysyłane z centrali do rządów wspólnot autonomicznych, które mają uprawnienia do stania w ochronie nieletnich w specjalnych ośrodkach opiekuńczych. Te „ochronki” z pewnymi wyjątkami stanowią zazwyczaj własność publiczną, lecz są zarządzane prywatnie na podstawie dość nieprecyzyjnych zasad i przetargów ze strony administracji. Lewica skolonizowała wszystkie instytucje, więc zarządza także budżetami przeznaczonymi na ośrodki dla

nieletnich migrantów.

Rafael opowiadał mi, jak to działa: „Kiedy MENAS pojawiają się w Madrycie, zostają skierowani do ośrodka pierwszego schronienia. Istnieją dwa: jeden dla nastolatków do 14. roku życia i drugi od 14. do 18. roku życia. Tu spędzają pewien czas, zanim zostaną rozesłani do docelowego ośrodka – niejako adopcyjnego. Część małolatków stara się zintegrować, chodzi do szkoły, ale ponad 20 proc. z tej grupy stanowią zwykle młodociani przestępcy, którzy ani myślą o dostosowaniu się do reguł prawa. Dyrekcja stara się obłaskawiać ich kieszonkowym, aby nie przychodziły im do głowy rozboje. Niemal wszyscy przybywają bez dokumentów

„Noce tłuczonego szkła”
w hotelach Wysp Kanaryjskich
budzą przerażenie zarówno
wśród mieszkających tam
obywateli, jak i turystów
zszokowanych brakiem
ostrzeżeń o czyhających
na nich „atrakcjach”

i bezczelnie twierdzą, że nie znają daty urodzenia. Aby ich zarejestrować i przypisać do odpowiedniej grupy wiekowej, potrzebujemy więc lekarza medycyny sądowej, który odgaduje wiek na podstawie prześwietlenia nadgarstka. Oczywiście 19-latkowie chcą uchodzić za 15-latków, bo są świadomi, że dzięki temu popełniając przestępstwa, unikną odpowiedzialności przed prawem. Pamiętam, ile razy ci »małolaci« próbowali odebrać mi broń”.

SZEROKI STRUMIEŃ PIENIĘDZY

Co i raz słyhać o protestach mieszkańców, jeśli w ich dzielnicy powstaje taka „ochronka” dla MENAS. Wszyscy są

świadomi, że będą terroryzowani przez przebywającą tam młodzież. Oczywiście wielki budżet, nad którym pieczę sprawują dyrektorzy tych placówek, mają teoretycznie zapewnić MENAS jedzenie, naukę, rekreację, psychologa, sport, więc kasa jest ogromna i do podziału między „swoich”. Niektóre gazety podawały przykład madryckiego ośrodka dla 26 małolatków, który otrzymał budżet roczny w wysokości 1,7 mln euro, czyli 65 tys. euro rocznie na opiekę nad jednym małolatkiem. Proszę sobie wyobrazić, że ktoś państwu wręcza 270 tys. zł rocznie na jednego wychowanka, i to w dodatku bez konieczności ponoszenia kosztów za usługi w placówkach służby zdrowia, bo tę MENAS mają za darmo (w przeciwieństwie do rodowitych Hiszpanów).

Pieniądze, które leją się strumieniami na opiekę nad jednym małolatkiem, zmieniają się w zależności od regionu Hiszpanii, sumy zależą też od sytuacji nieletniego i jego potrzeb. Ośrodki otrzymują średnio na jednego podopiecznego 4,5–6 tys. euro miesięcznie. Jakie dobrodziejstwa można zaoferować młodzieńkowi za te 24 tys. zł na miesiąc? Po drodze ktoś więc korzysta z tych pieniędzy. Owe „ochronki” są rozsiane po całej Hiszpanii, bo wedle niekoniecznie rzetelnych danych rządowych tylko w 2023 r. zarejestrowano prawie 11 tys. MENAS.

Teraz lepiej rozumiemy, dlaczego łódki NGO tak często kręcą się po morzu w swoich „misjach ratunkowych”. To raczej zakrawa na handel ludzkim towarem.

Kwestie nierozzerwalnie związane z nielegalną imigracją, jak napływ dżihadystów, radykalizacja młodych muzułmanów i gigantyczna ilość narkotyków, która wpływa do Europy na szlakach przerzutu ludzi, to osobne sprawy, które w tym tekście już się nie zmieszczą. Najważniejsze, co warto zapamiętać, to fakt, że rządząca Unią Europejską lewica wszystkich nas wkręciła w spiralę szantażu, a jednocześnie zarabia na tej tragedii Europy, choć stara się nam wmówić, że jest dobroczyńcą ludzkości.

Skąd się biorą elity?

Jakie mechanizmy świadomego tworzenia elit państwowych istnieją w różnych krajach świata? Czy taki system w ogóle funkcjonuje w Polsce?

Podczas trwającej obecnie debaty publicznej na temat Centralnego Portu Komunikacyjnego dr Artur Bartoszewicz stwierdził, że największym zagrożeniem dla tego projektu są skolonizowane umysły polskich polityków, analityków, ekspertów czy publicystów. Innymi słowy, mamy niedostatek elit myślących w kategoriach strategicznych, a nawet operacyjnych. Horyzont umysłowy większości osób aktywnych w naszej przestrzeni publicznej ogranicza się do spraw drugorzędnych, rozgrywek taktycznych lub sporów personalnych. Brakuje ludzi, którzy potrafią przeanalizować i ocenić sprawy krajowe w szerszym



GRZEGORZ GÓRNY

kontekście międzynarodowym, nakreślić wizję rozwojową państwa w obliczu globalnych wyzwań, a następnie umieć wcielić je w życie i konsekwentnie realizować.

Artur Bartoszewicz jako wzór postawił Francję, gdzie od ponad ćwierćwiecza działa Szkoła Wojny

Gospodarczej (L'Ecole de Guerre Economique). Wspomniana uczelnia, założona w 1997 r. przez gen. Jeana Pichota-Duclosa, byłego szefa Centrum Szkoleniowego Wywiadu Armii Francuskiej, kształci co roku 200 polityków, naukowców, biznesmenów, wojskowych oraz przedstawicieli administracji publicznej. Placówka specjalizuje się w wywiadzie konkurencyjnym, geopolityce i geostrategii oraz programowaniu i wieloletnim planowaniu. Jej zakres nauczania stale się rozwija pod kątem pojawiających się wyzwań. W 2021 r. paryska szkoła rozpoczęła np. szkolenia o nazwie „Nauka o danych i transformacja cyfrowa”, zaś rok później

Fot. Shutterstock

otworzyła ośrodek badawczy poświęcony walce informacyjnej. Dzięki temu, jak zauważa dr Bartoszewicz, Francja dysponuje całą rzeszą kompetentnych ludzi, którzy potrafią bronić interesów ekonomicznych swego kraju w sytuacjach, gdy są one zagrożone, np. w obszarze decyzyjnym Unii Europejskiej.

Ten przykład każe nam zadać pytanie: czy w Polsce w ogóle istnieje mechanizm formowania elit przywódczych, przygotowanych do tego, by w przyszłości wziąć na siebie ciężar rozwoju politycznego i gospodarczego państwa? W innych krajach takie systemy istnieją.

AMERYKA, CZYLI KREATORZY PRZYSZŁOŚCI

Nie da się być światowym mocarstwem bez elit myślących w kategoriach strategicznych w wymiarze globalnym. Przekonuje o tym przykład Stanów Zjednoczonych, które w ciągu dziesiętności lat wykształciły sprawny mechanizm elitotwórczy. Główną rolę w tym systemie odgrywają prywatne uniwersytety badawcze, z których najsłynniejsze tworzą tzw. Ligę Bluszczową (Ivy League). Należą do nich takie ośrodki, jak Columbia, Yale, Princeton czy Harvard.

Wykładowcą na tej ostatniej uczelni był m.in. ekonomista i informatyk prof. Jerzy Surma, który dobrze zna amerykański model wyższej edukacji, ponieważ pracował również na University of Massachusetts Lowell. Jego zdaniem kluczem do sukcesu tych placówek jest rodzaj kompetencji, które pozwalają one uzyskać. Chodzi o to, by formować ludzi, którzy będą „tworzyć przyszłość, kreować nowe miejsca pracy, wymyślać nieistniejące dzisiaj profesje, nowe »gry«, w które będzie grał świat. To niezwykle rodzaj postawy wobec otaczającej rzeczywistości jako wizjonera, a zarazem kreatora. To odwaga porywania się na innowacyjne projekty biznesowe, reformy społeczne czy aktywną politykę międzynarodową. To typ myślenia: jeśli nie ja, to kto?”.

Takich właśnie absolwentów w świecie i systemowy sposób chcą formować najlepsze uniwersytety w USA. Jak mówi prof. Surma: „Ten systemowy

proces kreowania elit opiera się na kilku fundamentach, takich jak skrupulatna rekrutacja i system stypendialny, spersonalizowane nauczanie, interdyscyplinarność wykształcenia, etos ciężkiej pracy i współdziałania, innowacyjności i odpowiedzialności społecznej”.

Zaczyna się to już na etapie rekrutacji, opartej nie tylko na zadaniach pisemnych, lecz także rozmowach kwalifikacyjnych, podczas których wypłuje się osoby ponadprzeciętne, kreatywne, posiadające życiowe pasje, stawiające sobie samym wymagania czy zaangażowane społecznie. Wyszukuje się też ludzi o zdolnościach przywódczych, potrafiących jednoczyć wokół siebie innych. Jeśli taką młodzież nie stać na podjęcie dość drogiego studiów, uniwersytety oferują cały system różnych stypendiów, które umożliwiają dalszą edukację.

System kształcenia jest oparty nie na modelu masowym, lecz na zasadzie tutoring, czyli osobistej relacji mistrz–uczeń. Oznacza to, że profesor musi mieć dostatecznie dużo czasu, by zadbać nie tylko o rozwój naukowy, lecz także społeczny i osobisty swojego studenta. Jest to możliwe tylko wtedy, gdy na jednego zatrudnionego wykładowcę przypada jedynie kilku uczących się. Np. na Harvardzie na 4671 pracowników kadry akademickiej przypadało 6788 studentów studiów dziennych oraz 13 951 podyplomowych.

Podczas kształcenia duży nacisk kładzie się na interdyscyplinarność. Dlatego młodzież powinna wybrać nie tylko swój podstawowy kierunek studiów, lecz także pomocniczy, a najlepiej byłoby, gdyby ten pierwszy należał do jednego rodzaju nauk (np. humanistycznych), zaś drugi do innego (np. ścisłych lub przyrodniczych). Dzięki temu człowiek zyskuje większą liczbę perspektyw poznawczych, która może skutkować niestandardowym rozumowaniem, łączeniem nieoczywistych faktów czy wychodzeniem poza utarte schematy myślowe.

Uniwersytety zwracają też dużą uwagę na tworzenie więzi społecznych wśród młodzieży. Dlatego na wielu uczelniach studenci są zobowiązani mieszkać w akademikach, które mają swoich opiekunów. Najczęściej są

nimi profesorowie, którzy spędzają z młodymi dużo czasu, doradzając im w różnych sprawach życiowych. Jak mówi Jerzy Surma: „Tak silne więzi pomiędzy absolwentami owocują wspólnymi przedsięwzięciami biznesowymi, politycznymi czy społecznymi. Wielu z nich, zwłaszcza ci, którzy dostali pełne stypendia, czuje ogromny dług wdzięczności względem swej Alma Mater. Objawia się to poprzez wsparcie finansowe uczelni, np. ufundowanie stypendium dla kolejnego studenta. Absolwenci Harvardu bardzo często stają się tak majątni, że wyłożenie kilkuset tysięcy dolarów na taki cel nie stanowi dla nich większego problemu”.

Ducha wspólnoty między studentami budują również zajęcia sportowe, które stanowią ukryty wymiar kształtowania elit. Jak zauważa Jerzy Surma: „Sport to wspaniała szkoła charakteru, ćwiczenia wytrwałości, twardej systematycznej pracy oraz wyrzeczeń. Gry zespołowe to praktyczny trening pracy w zespole, solidarności, przywództwa i motywowania. Absolwenci z takim doświadczeniem są niezwykle cenieni przez pracodawców w Stanach Zjednoczonych”.

Dzięki takiemu systemowi, który ponadto promuje poczucie odpowiedzialności zarówno za swoją najbliższą społeczność, jak i za ojczyznę, a także popiera wolontariat oraz wszelkie zachowania dobroczynne i filantropijne, są kształtowane elity największego współczesnego imperium.

ROSJA, CZYLI „NOWA SZLACHTA”

Świadomy mechanizm kształtowania elit państwowotwórczych posiada też wiele innych państw, takich jak np. Izrael, Chiny czy Rosja. W tym ostatnim kraju prawdziwą kuźnią przyszłych kadr są specyficznie wyspecjalizowane uczelnie, takie jak m.in. MGIMO (Moskiewski Państwowy Instytut Studiów Międzynarodowych) czy AFSBRF (Akademia Federalnej Służby Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej) w moskiewskiej dzielnicy Jesieniewo, zwana niekiedy szkołą szpiegów.

W czasach sowieckich w rosyjskiej stolicy powstał też Uniwersytet im. Patrice’a Lumumby, gdzie kształcono

elity Trzeciego Świata, zwłaszcza krajów afrykańskich, które proklamowały niepodległość w okresie dekolonizacji. Wśród absolwentów tej założonej w 1961 r. uczelni znajdowali się przyszli prezydenci, premierzy, generałowie czy wyżsi urzędnicy wielu państw. Byli oni zarazem eksponentami wpływów Związku Sowieckiego oraz propagatorami ustroju socjalistycznego. Niektórzy ze studentów zostawali nawet terrorystami, zaś swój fach zawdzięczali zajęciom praktyczno-technicznym na moskiewskim uniwersytecie, gdzie uczono ich technik dywersji i sabotażu.

Kompetencje nabywane dziś przez rosyjskie elity w wyższych uczelniach są zgodne z panującym modelem rozwojowym imperium. Według naszych standardów zarówno tamtejsze państwo, jak i gospodarka są organizmami dysfunkcyjnymi, źle zarządzanymi, opartymi na eksploatacji surowców oraz pozbawionymi innowacyjności. Jednak z punktu widzenia wewnętrznej logiki rosyjskiego systemu jest wręcz odwrotnie. Wszelkie braki i niedobory ekstensywnej gospodarki już od dawna są tam nadrabiane przez działalność dyplomacji oraz służb specjalnych. Są to dziedziny, w których rosyjskie elity prześcignęły swoje odpowiedniki w innych krajach. Mechanizm kształcenia jest bowiem nastawiony na formowanie specjalistów o najwyższych światowych kwalifikacjach, np. w prowadzeniu gier operacyjnych czy działalności wywiadowczej.

Prof. Olga Krzysztanowska z Instytutu Socjologii Rosyjskiej Akademii Nauk już na początku XXI w. pisała, że ponad 70 proc. szeroko pojętej elity w tym kraju wywodzi się ze służb specjalnych, „organizacji afiliowanych” przy nich (jak centrale handlu zagranicznego czy agencje prasowe) lub związanych z nimi wielopokoleniowych dynastii resortowych. Nic więc dziwnego, że 20 lat temu Nikołaj Patruszew, wówczas szef FSB, a dziś sekretarz Rady Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej, powiedział, iż ludzie służb to „współczesna szlachta”.

POLSKA, CZYLI DZIWNA HYBRYDA

Problem Polski polega na tym, że do dziś nie otrząsnęliśmy się ze skutków hekatomb, która dotknęła Rzeczpospolitą w czasie II wojny światowej. Doszło wówczas do zagłady naszych elit, dokonywanej z premedytacją przez dwóch okupantów: niemieckiego i sowieckiego. Jak podaje prof. Przemysław Żurawski vel Grajewski, w tamtym czasie „zginęło 57 proc. adwokatów, 39 proc. lekarzy, 30 proc. naukowców, 21,5 proc. sędziów, 20 proc. nauczycieli, 20 proc. księży, 37,5 proc. absolwentów uczelni wyższych z lat 1918–1939 i 30 proc. maturzystów

Brakuje nam ludzi, którzy potrafią przeanalizować i ocenić sprawy krajowe w szerszym kontekście międzynarodowym, nakreślić wizje rozwojowe państwa w obliczu globalnych wyzwań, a następnie umieć wcielić je w życie i konsekwentnie realizować

z tych roczników oraz 53,3 proc. absolwentów średnich szkół rzemieślniczych – »arystokracji« robotniczej. Poza tym ok. 30 tys. ludzi – głównie należących do elit – zabito w latach 1945–1956, a od 100 do 200 tys. uwięziono w Polsce lub deportowano do łagrów w ZSRS (nie licząc przesiedleń obywateli polskich narodowości białoruskiej i ukraińskiej)”. Według spisu powszechnego z 1946 r. w Polsce mieszkało tylko 1,8 proc. osób z wyższym wykształceniem.

Doszło do tego zniszczenie ośrodków elitotwórczych oraz unicestwienie ziemianstwa, które było bastionem polskiej świadomości narodowej na terenach wiejskich. Po wojnie w wyniku reformy rolnej zlikwidowano ok. 10 tys. majątków ziemskich, które stano-

wiły lokalne centra kultury. Wpływ wywarły także masowe migracje związane ze zmianą granic. Jak zauważa Żurawski vel Grajewski: „Elity mają charakter środowiskowy. Wyrwane ze swego otoczenia jednostki nie stanowią elity. Po wojennej polska »wędrownia ludów« ze wschodu na zachód i ze wsi do miast zatomiła społeczeństwo. Wykorzeni ludzie z trudem wrastali w nowe otoczenie i tworzyli nowe środowiska w warunkach komunistycznego terroru do 1956 r. oraz koncesjonowanej przez władze aktywności publicznej po tej dacie. Do dziś mapy wyników wyborczych dzielą Polskę na wysiedloną i zakorzenioną”.

Przez cały okres PRL elity rządzące były kształtowane przez partię komunistyczną oraz związane z nią instytucje, takie jak ZMP, ZMS czy ZSMP. Podobnie jak w innych krajach znajdujących się w sowieckiej strefie wpływów, były one formowane w duchu ideologii marksistowskiej, ekonomii socjalistycznej oraz geopolitycznej podległości Moskwie.

Po 1989 r. nie stworzono w Polsce świadomego mechanizmu kształtowania elit. W dużej części były one hybrydą środowisk postkomunistycznych i postsolidarnościowych. Dla jednych doświadczeniem formacyjnym okazywały się studia na Wieczorowym Uniwersytecie Marksizmu-Leninizmu, dla innych tajne komplety na Uniwersytecie Łatającym i w Towarzystwie Kursów Naukowych. Elity III RP to emanacja środowisk postpeerelowskich (np. uwłaszczonej nomenklatury oraz ludzi ze służb specjalnych, zajmujących mocne pozycje w życiu gospodarczym, co było jednym ze skutków zaniechania dekomunizacji), do których zostali dokooptowani ludzie wywodzący się z dawnych kręgów szeroko rozumianej opozycji solidarnościowej oraz przedstawiciele młodszych generacji, wchodzących w dorosłość już po transformacji ustrojowej. Jest to jednak proces, który nie ma charakteru systemowego, animowanego i nadzorowanego przez państwo, nie mówiąc już o kształtowaniu konkretnych kompetencji oraz myślenia w kategoriach strategicznych.

Nie ma wolności bez trzeźwości

Pomyślmy – jeśli rodzin dotkniętych problemem alkoholowym jest w naszej ojczyźnie tak wiele, to w jaki sposób nasz naród ma być silny, zdrowy, zjednoczony, rozsądny? Silny naród to silne rodziny, a więc trzeźwe, zjednoczone wzajemną miłością



Z ks. Tadeuszem Bronakowskim, biskupem pomocniczym łomżyńskim i przewodniczącym Zespołu Konferencji Episkopatu Polski ds. Apostolstwa Trzeźwości i Osób Uzależnionych, rozmawia Goran Andrijanić

Księżu biskupie, statystyki mówią jasno, że jako naród mamy poważny problem z alkoholizmem. Mamy ok. 1 mln alkoholików, a niektóre dane podają, że ich jest dużo więcej. Każdego roku z powodu alkoholu umiera 30–40 tys. ludzi, a w tym samym czasie mamy też ogromną liczbę ofiar wypadków samochodowych spowodowanych przez pijanych kierowców. Jednocześnie wielu twierdzi, że liczby te nie są alarmujące i porównywalne z innymi krajami Europy. Jak ksiądz widzi tę sytuację?

Tadeusz Bronakowski: Mamy problem nie tylko z ok. 1 mln Polaków, którzy już uzależnili się od alkoholu. Szacuje się, że tych, którzy piją ryzykownie i szkodliwie, krocząc pewną drogą do uzależnienia, jest 3–4 mln. To właśnie ta grupa czyni najwięcej szkód w społeczeństwie. Oni mają swoich bliskich, którzy cierpią z tego powodu. Zresztą ogromne straty ponosi całe społeczeństwo.

Poważnym problemem jest konsumpcja alkoholu przez nieletnich i stałe obniżanie się wieku inicjacji alkoholowej. Do tego dochodzą wciąż nowe poważne uzależnienia, które

mają wpływ na zdrowie Polaków, na jakość życia czy sytuację materialną. Liczb wskazujących na dramatyczną sytuację w obszarze problemów alkoholowych i innych nałogów jest wiele. Musimy jednak zdawać sobie sprawę, że za tymi liczbami kryją się konkretni ludzie, którzy niszczą swoje życie i życie innych. Właśnie to powinno stanowić podstawowy bodziec do konkretnych działań, aby po pierwsze, zapobiegać, po drugie, pomagać w procesie wychodzenia z nałogu, a po trzecie, samemu nieustannie pracować nad wolnością wewnętrzną i dawać świadectwo trzeźwego życia.

Prawdopodobnie najgorszą konsekwencją alkoholizmu jest właśnie jego wpływ na życie rodzinne. Niektóre statystyki podają, że 76 proc. przypadków przemocy domowej ma związek z nadmiernym spożyciem alkoholu. W psychologii istnieje zespół zwany DDA (dorosłe dziecko alkoholika), który wymaga specjalnego leczenia. Stąd opinia, że alkohol wyrządza największe szkody w relacjach społecznych.

Każdy nałóg niszczy człowieka i ma negatywny wpływ na jego relacje

z innymi. Najpierw wpływa na odniesienie do samego siebie. Taki człowiek zapomina o swojej godności jako osoby. Nie stanowi właściwie o sobie, o swoim życiu, nie podejmuje dobrych decyzji. Powoli przestaje rozumieć sens życia i rezygnuje z podstawowego celu, którym jest osiągnięcie szczęścia w perspektywie doczesnej i wiecznej. W dramatyczny sposób cierpią na tym więzi z innymi ludźmi, zwłaszcza z bliskimi. Ktoś, kto nie potrafi prawdziwie kochać samego siebie, nie potrafi też kochać innych.

Szczególnie wrażliwa na problemy alkoholowe i inne nałogi jest rodzina. Miejsce, które powinno być bezpiecznym schronieniem, pełnym miłości i szacunku, oazą spokoju, staje się często piekłem na ziemi. Pomyślmy – jeśli takich rodzin jest tak wiele w naszej ojczyźnie, to w jaki sposób nasz naród ma być silny, zdrowy, zjednoczony, rozsądny? Silny naród to silne rodziny, a więc trzeźwe, zjednoczone wzajemną miłością.

Kościół już od dłuższego czasu jest świadom zagrożenia, jakie dla Polaków stanowi alkoholizm. Wystarczy przypomnieć inicjatywę Sługi

Bożego ks. Franciszka Blachnickiego nazwaną Krucjatą Wyzwolenia Człowieka, zainicjowaną w celu walki przeciwko alkoholizmowi. Jak dziś Kościół walczy z tą plagą?

Śmiało można powiedzieć, że Kościół od wieków reagował na szerzące się pijaństwo w naszym społeczeństwie. Nie sposób wymienić wszystkich powstałych dzieł mających przynieść otrzeźwienie narodowi. Jest ich tak wiele. Nie sposób wymienić wszystkich wielkich patriotów, mężów stanu, ludzi Kościoła – duchownych i świeckich – którzy rozumieli, że sprawa trzeźwości to także sprawa naszej niepodległości i prawdziwej wolności.

W XX w. jednym z nich był Sługa Boży ks. Franciszek Blachnicki. Jemu nie tyle chodziło o walkę z alkoholizmem, ile o walkę o człowieka. Walkę o to, aby każdy z nas był wolny w Chrystusie. Dlatego członkowie Krucjaty Wyzwolenia Człowieka podejmują dar dobrowolnej abstynencji, aby świadczyć o tej Chrystusowej wolności. Podjęmują tę decyzję z miłości do Boga i bliźniego, aby pomagać i dawać dobry przykład. Bez tej wielowiekowej pracy trzeźwościowej Kościoła sytuacja w naszym narodzie z pewnością byłaby o wiele trudniejsza.

Aktualnie Kościół w Polsce podejmuje liczne inicjatywy promujące trzeźwość, także działania niosące konkretną pomoc osobom w kryzysie z powodu różnych nałogów i wsparcie dla ich cierpiących bliskich. Odbywają się różne konferencje, sympozja, rekolekcje, misje i pielgrzymki. Działają bractwa i różne ruchy trzeźwościowe. Jednostki organizacyjne Kościoła prowadzą wiele ośrodków pomocowych dla osób z problemem alkoholowym i ich rodzin. W 2017 r. z inicjatywy Zespołu KEP ds. Apostolstwa Trzeźwości odbył się Narodowy Kongres Trzeźwości. Jego owocem jest Narodowy Program Trzeźwości, który został proklamowany w jubileuszowym roku stulecia odzyskania niepodległości przez Polskę. Teraz podejmujemy stałe wysiłki, aby realizować jego cele.

W jakim stopniu państwo powinno wesprzeć Kościół w walce z tym problemem? Dobre rezultaty przyniósł zakaz nocnej sprzedaży alkoholu w niektórych miastach, np. w Olsztynie czy Krakowie. Niestety, w Warszawie takiego zakazu nie ma. Jak to skomentować?

Nie tyle chodzi o wsparcie Kościoła w walce z tym problemem, ile o to, aby władze państwowe i samorządowe dobrze wypełniały to, co do nich należy. A ich obowiązkiem jest stanowienie prawa, które autentycznie chroni trzeźwość wszystkich mieszkańców polskiej ziemi. Ich obowiązkiem jest również skuteczne egzekwowanie tego prawa. Państwo ma wszelkie dostępne narzędzia, aby tak było.

Troska o trzeźwość narodu powinna stać się sprawą ponadpolityczną, ponieważ chodzi o dobro wszystkich Polaków, bez wyjątku. Jako społeczeństwo powinniśmy wreszcie zrozumieć, jak wielką wagę ma walka z tą narodową wadą

Oczywiście ważna jest dobra współpraca między różnymi instytucjami, grupami społecznymi, aby wreszcie trzeźwość stała się czymś normalnym i pożądanym, a nie sprawą, o którą trzeba walczyć.

Jedną z kwestii, na które zwracamy szczególną uwagę, a które państwo powinno załatwić, jest zakaz reklamy alkoholu, a także ograniczenie jego dostępności fizycznej i ekonomicznej. Chodzi o to, że alkohol jest za tani i jest po prostu wszędzie. To powoduje wzrost problemów alkoholowych, zwłaszcza w młodym pokoleniu. Instytucje państwowe powinny wziąć

pod uwagę światowe i nasze krajowe wyniki badań, opinie ekspertów oraz instytucji zdrowia, które jednoznacznie to potwierdzają.

Jeśli chodzi o zakaz nocnej sprzedaży alkoholu, to z pewnością jest to dobre działanie, ponieważ respektuje wyżej wspomniany środek zaradczy, czyli ograniczenie dostępności alkoholu. Szkoda, że tak mało samorządów z tego korzysta. Jeśli chodzi o kandydatów do władz samorządowych, to z pewnością powinni zająć wyraźne stanowisko w tej sprawie. Wyborcy powinni ich pytać o to, jak mają zamiar troszczyć się o trzeźwość danej społeczności lokalnej.

Wspominał ksiądz, że alkohol jest wszędzie. Wydaje się, że żyjemy w społeczeństwie, w którym spożycie alkoholu zostało zaakceptowane jako coś normalnego. Celebryci reklamują alkohol, producenci piwa są jednymi z głównych sponsorów festiwali rockowych i wydarzeń sportowych. Rynek zdaje się rządzić swoimi prawami, które często nie pokrywają się z interesem dobra wspólnego.

Producentom i wszystkim, którzy zarabiają na alkoholu, zależy aby był on postrzegany jako niezbędny element naszego życia. Co więcej – przypisują mu właściwości, których z pewnością nie ma, takie jak pomaganie w osiągnięciu sukcesów, przyjaźni, radości i szczęścia. W praktyce jest to niebezpieczny środek psychoaktywny, który ma właściwości uzależniające. Alkohol nie może być traktowany jak zwykły towar, nie może też być tak przedstawiany. Wokół alkoholu narosło wiele mitów, różnych kłamstw, które pogłębiają mentalność społeczną, sprzyjającą nietrzeźwości. To wielki problem naszego społeczeństwa.

Konieczną odpowiedzią jest promocja życia w trzeźwości. Należy pokazywać, że możliwa jest dobra zabawa, świetne spotkania towarzyskie bez spożywania alkoholu. Takie inicjatywy od lat podejmują różne środowiska związane z Kościołem. Wśród nas żyje wielu dobrowolnych

abstynentów i są oni dowodem, że radość życia, sukces, spełnienie marzeń z pewnością nie zależą od piwa czy innego alkoholu.

Niedawno w TV Trwam ostro się ksiądz wypowiadał na temat skutków spożycia alkoholu dla społeczeństwa, po czym bez żadnych argumentów skrytykował księdza niektóre liberalne media. Czy istnieje niebezpieczeństwo, że ostrzeżenie przed alkoholizmem zostanie uznane za purytanie?

Działania trzeźwościowe podejmowane w społeczeństwie dotkniętym wadą nietrzeźwości często są niezrozumiane, lekceważone, czasami ośmieszane lub reaguje się na nie agresją. Osoby, które działają aktywnie na tym polu, muszą być na to przygotowane. Jednak nie powinno tak być. Przed laty nasz św. papież Jan Paweł II napominał Polaków, że inicjatyw abstynenckich nie wolno ośmieszać i pomniejszać. 12 czerwca 1987 r. w Apelu Jasnogórskim powiedział bardzo

ważne słowa: „Maryjo, Królowo Polski, bądź nadal natchnieniem tych wszystkich, którzy walczą o trzeźwość swych bliźnich, o trzeźwość siebie samych. O trzeźwość Narodu. Jestem szczególnie wdzięczny tym, którzy podejmują inicjatywy w tej dziedzinie – zwłaszcza w sierpniu. Nie wolno tych inicjatyw ośmieszać i pomniejszać! Nie wolno! Zbyt wysoka jest stawka, o którą chodzi. Wiemy to dobrze z historii”. Dla dobra naszej ojczyzny te słowa należy przypominać i wypełniać.

Aktywista społeczny Jan Śpiwak, który walczy przeciwko alkoholizmowi, powiedział mi niedawno, że Polska potrzebuje sojuszu sił konserwatywnych z autentyczną lewicą. Sojusz ten ma walczyć o zmianę kulturową oraz zmianę przepisów, by zmniejszyć negatywny wpływ alkoholu. Czy zgadza się ksiądz z taką sugestią?

W mojej wieloletniej posłudze w Apostolstwie Trzeźwości miałem okazję spotkać liderów, którzy nieza-

leżnie od poglądów politycznych dobrze rozumieli, że troska o trzeźwość narodu powinna być priorytetem. Musimy pamiętać, że trzeźwość jest wartością uniwersalną. Ma ona bezpośredni wpływ na to, jak realizujemy swoje człowieczeństwo. O trzeźwość narodu powinni dbać nie tylko wierzący, ale po prostu wszyscy. Im więcej ludzi dobrej woli będzie działać w tej sprawie, tym lepiej. Jest tyle do zrobienia, że dla wszystkich starczy pracy.

Dzieło troski o trzeźwość narodu powinno stać się sprawą ponadpolityczną, ponieważ chodzi o dobro wszystkich Polaków, bez wyjątku. „Trzeźwość [jest] polską racją stanu”. Autorem tych słów jest bł. kard. Stefan Wyszyński. Jako społeczeństwo powinniśmy wreszcie zrozumieć, jak wielką wagę ma walka z tą narodową wadą. Od wyniku tej walki zależy nie tylko, jaki będzie stan społeczeństwa, lecz także to, czy w ogóle będziemy istnieć jako naród. Nie ma wolności bez trzeźwości. Naród nie ma przyszłości bez trzeźwości.

Wspólnie Pilnujemy Polski

Fundacja Media w Polsce

dla transakcji krajowych
Bank Pekao SA

67 1240 1242 1111 0011 3470 0721

dla transakcji zagranicznych

BIC (SWIFT) – PKOPPLPW

PL 67 1240 1242 1111 0011 3470 0721

tytuł wpłaty: DAROWIZNA

WESPRZYJ NASZE DZIAŁANIA

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z Polityką RODO

Pionki i figury cara

Uwaga świata zwróciła się na Władimira Władimirowicza Putina w 1998 r., kiedy został szefem Federalnej Służby Bezpieczeństwa Rosji. Od tego czasu, obejmując funkcję premiera, a następnie prezydenta skupił w swym ręku taki zakres władzy, jaki można śmiało porównywać z dawnymi rosyjskimi samodzierżawcami

pionki Putina”. Autor nie ujawnił w niej tajnych dotąd dokumentów, faktów i liczb, nie zdemaskował spisków. Wykonał po prostu rzetelną pracę – zgromadził i uporządkował powszechnie znane wydarzenia, procesy i postacie, dzięki czemu opisał zjawisko penetracji, opanowania zachodnich elit przez służby rosyjskiego państwa.

SKORUMPOWANI, NAIWNI I WIZJONERZY

Te elity można ogólnie podzielić na trzy grupy. Pierwszą i najliczniejszą są ludzie najzwyczajniej w świecie kupieni

Procedury demokratyczne, którym się w tym czasie poddawał, były jedynie dekoracją, za którą skrywało się azjatyckie jedynowładztwo. Odbudowując imperialną opozycję Rosji, zaczął też w coraz większy sposób wpływać na losy naszego kontynentu i całego globu. Nic więc dziwnego, że w ostatnich 20 latach ukazała się na polskim rynku niezliczona liczba książek, artykułów, filmów dokumentalnych i wywiadów poświęconych Putinowi, którego tylko ze względów formalnych nie nazwano jeszcze carem. Kiedy więc zobaczyłem go na okładce kolejnej książki, pomyślałem: „Znowu on? Czy można o nim napisać jeszcze coś, czego nie wiedzieliśmy?”

Okazuje się, że można. W powodzi analiz rosyjskiej duszy i umysłu Władimira Władimirowicza, jego relacji z otoczeniem oraz możliwych następców umyka nam to, co właściwie widać gołym okiem – jego teatr. Ludzi sprawujących najwyższe stanowiska w międzynarodowym świecie politycznym, gospodarczym, medialnym lub działających *pro publico bono*. Ludzi będących zatem znaczącymi figurami. Jednocześnie te figury tańczą tak, jak im Putin zagra. Są jego marionetkami.

Czasem dostrzegamy takie pojedyncze przypadki, ale brakuje nam dystansu, żeby ogarnąć całość tego zjawiska. I tę lukę wypełnia właśnie książka Kacpra Płażyńskiego pt. „Wszystkie



przez Kreml. Skuszeni pokaznymi gazetami w firmach, instytucjach, uczelniach i think tankach, gdzie Rosja rządzi lub ma decydujący głos – działają zgodnie z życzeniem Putina. Prawdziwym gigantem, wręcz symbolem jest tutaj Gerhard Schröder, który jako Bundeskanzler w latach 1998–2005 usilnie forsował ideę gazociągów z Rosji do Niemiec, położonych na dnie Bałtyku, z pominięciem krajów Europy Środkowej. Doprowadził do podpisania porozumienia w tej sprawie między koncernami Gazprom, E.ON i BASF. Natychmiast po utracie kanclerstwa z nadania Gazpromu został przewodniczącym rady dyrektorów rosyjsko-niemieckiego konsorcjum North European Gas Pipeline Company (NEGPC), budującego Gazociąg Północny. W 2017 r. wszedł w skład rady nadzorczej Rosnieftu, a w 2022 r. Gazpromu. Zarabiając dzięki Moskwie ponad 1 mln dol. rocznie, intensywnie działał na rzecz powstania gazociągu Nord

Stream 2, wykorzystując m.in. partyjne przyjaźnie z ministrem gospodarki Sigmarem Gabrielem, obecnym prezydentem Frankiem-Walterem Steinmeierem i obecnym kanclerzem Olafem Scholzem. Cóż z tego, że część niemieckiej opinii publicznej oburzała się na interesy Schrödera? Cóż z tego, że Borussia Dortmund odebrała mu honorowe członkostwo klubu? Rosja osiągnęła swoje – obydwie gazociągi powstały.

Ikonicznymi przykładami „użytecznych idiotów”, którymi posługuje się Kreml, są działacze ekologiczni. Zrzeszeni

w wielu organizacjach, spośród których najbardziej znana jest oczywiście Greenpeace, poświęcają się dla idei ochrony przyrody i klimatu, z różnych przyczyn pozostając jednocześnie ślepyimi na to, kto nimi kieruje i na czyją rzecz w praktyce pracują. Jeszcze w okresie zimniej wojny byli wykorzystywani przez Moskwę do protestów przeciwko bazom NATO, projektom zbrojeniowym swoich krajów czy budowie elektrowni atomowych.

Ich aktywność osłabła wraz z okresem smuty w Rosji w latach 90. i dziwnie przybrała na sile w pierwszej dekadzie XXI w., wraz z dynamiką polityki imperialnej Kremla. Najbliższym nam przykładem niech będą protesty polskich i zagranicznych ekologów przeciwko naszemu programowi atomowemu. W 2021 r. przedstawiciele niemieckich Zielonych spłynęli Odrą pomiędzy Frankfurtem a Słubicami, pokazując hasła przeciwko budowie polskiej atomówki na Pomorzu i zapowiadając, że będą się domagali od Rzeczypospolitej zatrzymania budowy. Od 2016 r. Greenpeace wraz z kilkunastoma innymi organizacjami walczył z projektem budowy kanału żeglugowego przez Mierzę Wiślaną. W 2020 r. grupa ta złożyła nawet skargę na inwestycję do Komisji Europejskiej. Dawało to politykom rosyjskim (głównie z obwodu kaliningradzkiego) świetny argument na potwierdzenie lansowanej przez nich tezy o „polskim awanturnictwie ekologicznym”. Tezy nie tylko fałszywej, lecz także pomocniczej, mającej ukryć wściekłość Kremla z powodu niezależności naszych poczynań. Grozę budzi występowanie w tym chórze również polityków Platformy Obywatelskiej oraz postawa popieranego przez ówczesną opozycję prezydenta Elbląga.

Daleko większe szkody niż przepiek wiślany mogło wyrządzić imperialnym interesom Rosji wydobywanie gazu łupkowego w Polsce. Złoża pod naszym krajem są oceniane na 3 bln m³. Ich eksploatacja rozsądziłaby podstawy rosyjsko-niemieckiego dealu w Europie i ustawiła rynek energetyczny na innych zasadach, o niebo dla nas korzystniejszych. Dla zablokowania tej idei Rosjanie również posługiwali się działaczami ekologicznymi, w tym niemieckiej partii Zieloni, co było dla nich tym łatwiejsze, że *modus operandi* wobec gazu łupkowego Kreml wypracował i stosował już wcześniej na całym świecie.

Do ostatniej grupy pionków Władimira Władimirowicza zaliczyłbym polityków, geopolitologów oraz autorytety akademickie, którzy wbrew faktom i logice starają się upatrywać w Rosji nadzieję dla świata Zachodu. Czyni tak np. włoski

wicepremier Matteo Salvini, obrońca tożsamości narodowych w Europie przed europocentrycznymi tendencjami unifikacyjnymi. Z jakichś powodów uznał, że dobre relacje z Putinem się temu przysłużą. Inni prawicowi politycy widzą w Rosji ostoję wartości konserwatywnych, niszczonych i ignorowanych przez generację woke. Każdemu prezydentowi Francji, bez względu na to, z której strony politycznej się wywodzi, tak bardzo przeszkadza mocarstwowa pozycja Stanów Zjednoczonych, że aby jej zaszkodzić, zniża się do roli petenta czekającego pokornie na audiencję u Putina. Nawet jego paryscy opozycjoniści kochają Władimira jeszcze bardziej.

Zabrakłoby tu miejsca, aby wyliczyć geopolitologów, którzy z wielkim przekonaniem głoszą potrzebę budowania za wszelką cenę sojuszu z Rosją, aby tym samym przeciągnąć ją

na stronę Zachodu w wielkiej rywalizacji z Chinami. Zupełnie nie dociera do nich fakt, że właśnie Putin swoim systemem władzy i polityką gospodarczą uczynił z Rosji junior partnera Pekinu. Są też tacy, którzy wierzą, że sama zamiana Putina na np. Nawalnego uczyni z Rosji kraj demokratyczny...

SZACHOWNICA PUTINA

Wyżej wymienionych łączy jedno. Są znaczącymi postaciami w swoich dziedzinach, figurami. Zresztą Moskwa interesuje się tylko takimi. Na szachownicy Putina są jednak zaledwie pionkami.

O tych wszystkich ludziach, z takich czy innych powodów służących interesom Kremla, gdzieś już czytaliśmy, gdzieś nam mignęli w programach i serwisach informacyjnych. Trzeba jednak zebrać te puzzle i ułożyć z nich całość, aby uzyskać rzeczywisty obraz. Przeczytawszy pracę Kacpra Płażyńskiego, zyskujemy taki obraz. Uświadamiamy sobie, że rosyjskie

służby specjalne, które mają swoje prywatne państwo (a takim krajem jest współczesna Rosja), w relacjach ze światem zewnętrznym na masową skalę posługują się oszustwem, przekupstwem, kłamstwem i zbrodnią, agentami wpływu i pożytecznymi idiotami dla osiągnięcia interesów moskiewskich, tak jak te interesy rozumieją. A ponieważ Zachód jest rozbrojony i zagubiony, rosyjskie działania wchodzą jak nóż w masło. Co z tego wynika dla naszego kraju? Jak powinniśmy postępować w takim otoczeniu? To już temat na osobny tekst. Ale książkę pt. „Wszystkie pionki Putina” trzeba przeczytać, i to uważnie.

Artur Kołęda

Autor jest historykiem i publicystą, pracownikiem Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej

NOWA TELEWIZJA

W POLSCE PL

W CENTRUM WYDARZEŃ

LIVE!

CODZIENNIE OD 9:00

» Informacje » Komentarze » Analizy



OGLĄDAJ NAS



polsat box
wcześniej Cyfrowy Polsat

NA POZYCJI

196

N E T I A

NA POZYCJI

192



NA POZYCJI

32

vectra

NA POZYCJI

825

PLAY
dawniej UPC

NA POZYCJACH

339

dekoder
Mediabox

121

dekodery
KAON i Horizon

www.wPolsce.pl

eprasa.pl e2cd3bea29



I Love Poland – z miłości do Polski

„I Love Poland” to wyjątkowy projekt żeglarski, powstały z inicjatywy Polskiej Fundacji Narodowej w 2018 r. z okazji 100. rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości

Towarzyszącą mu myślą przewodnią była chęć nieszablonowego i innowatorskiego promowania naszego kraju poprzez udział jachtu w najważniejszych, a zarazem najbardziej prestiżowych regatach na całym świecie, a przy okazji promowanie rodzimej żeglugi oceanicznej. By sprostać temu zadaniu, Polska Fundacja Narodowa sfinansowała zakup nowoczesnej jednostki jednokadłubowej trzeciej generacji Volvo Open 70, o całkowitej długości 21,5 m, szerokości 5,35 m, wysokości masztu 31,5 m oraz wyporności 14 t, która z polską załogą oraz pod biało-czerwonymi barwami rozsławiała Polskę na międzynarodowej arenie.

Zarząd Polskiej Fundacji Narodowej kieruje szczerze podziękowania do Partnerów honorowych i medialnych Programów Szkoleniowych, których wsparcie

okazało się kluczowe dla sukcesu frekwencyjnego oraz do Uczestników i Uczestniczek Programów Szkoleniowych, jak również wszystkich Kandydatów i Kandydatek, którzy wykazali ogromną determinację w procesie aplikacji. Wyrazy uznania kierujemy także do Ambasadatorów i Konsulów, z którymi mieliśmy zaszczyt współpracować na całym świecie, budując pozytywny wizerunek Polski. Dziękujemy także kibicom obserwującym nasze profile społecznościowe, jak również tym, którzy kibicowali nam w różnych zakątkach świata.

Dziękujemy kapitanowi i wszystkim członkom załogi w latach 2018–2023 za dostarczenie niezapomnianych emocji i osiągnięcie sukcesów!

dr Marcin Zarzecki – prezes Zarządu

Michał Góras – członek Zarządu

Cezary Andrzej Jurkiewicz – członek Zarządu



Biało-czerwona promocja Polski

Projekt Polskiej Fundacji Narodowej „I Love Poland” zakłada roczne starty jachtu w najbardziej prestiżowych zawodach takich jak Rolex Middle Sea Race, RORC Transatlantic Race, Heineken Regatta, Roschier Batlic Sea Race, Orvaldi B8 Race czy Caribbean 600

Udział jachtu w żeglarskich rywalizacjach na całym świecie oraz osiągnięcia w tych wyścigach sukcesy sportowe mają na celu promocję polskiej kultury i sportu. Wykorzystanie oceanicznego jachtu regatowego do promowania Polski to element wielowymiarowej strategii opowiadania o historii Polski, polskim dziedzictwie narodowym, ale przede wszystkim o cechach i postawach, jakie reprezentują członkowie załogi – zdyscyplinowaniu, męstwie i umiejętności zwyciężania.

Obecność biało-czerwonego jachtu na międzynarodowych wodach ma przynieść pozytywne skojarzenia z Polską i Polakami, którzy bardzo dobrze prezentują się na tle załóg z innych krajów.

NOWA ODSŁONA PROJEKTU

W październiku 2019 r., zgodnie z decyzją nowego Zarządu Polskiej Fundacji Narodowej i w odpowiedzi na zapotrzebowanie płynące ze strony polskiego środowiska żeglarskiego, nastąpiła zmiana dotychczasowej formuły projektu. Obok dotychczasowego udziału w regatach, jacht zaczął pełnić również funkcję jednostki dydaktycznej, na której pod okiem doświadczonych instruktorów, szkolone byłyby kolejne pokolenia polskich, regatowych żeglarzy oceanicznych. O tym, jak trafna



to była decyzja może świadczyć fakt, że do samej tylko pierwszej edycji szkoleniowej projektu wpłynęło aż 430 zgłoszeń, a przez cztery lata trwania projektu było ich przeszło 1,2 tys. Jacht „I Love Poland”, w przerwach pomiędzy zawodami, zmieniał się w bazę dla uczestników programu szkoleniowego. Ci, wyłonieni spośród grona kandydatów poszczególnych edycji konkursu, z pomocą kpt. Grzegorza Baranowskiego oraz stałej, liczącej zazwyczaj czternaście osób załogi jachtu, szlifowali swe żeglarskie umiejętności, zdobywając cenne do-

świadczenie. Najlepsi uczestnicy szkoleń stawali przed niepowtarzalną szansą, by stać się częścią załogi naszej żeglarskiej dumy. Każdy dzień szkolenia obfitował w typowo żeglarskie zadania, a także zadania teoretyczne, uzupełniane na bieżąco krótkimi odprawami. Wieczorem przychodził czas na omówienie i analizę poszczególnych manewrów na podstawie zarejestrowanych materiałów wideo. Nie istnieje w Polsce analogiczna inicjatywa, która integruje udział w międzynarodowych regatach z zaawansowanym systemem szkoleń.

5 lat projektu „I Love Poland”

Po pięciu emocjonujących latach pełnych wyzwań, pasji oraz spektakularnych osiągnięć, przychodzi czas, by podziękować za Państwa wkład w rozwój i wsparcie projektu „I Love Poland” oraz podsumować kilka lat wspólnych zmagani na międzynarodowych wodach. Z ogromną radością i sentymentem pragniemy wyrazić naszą głęboką wdzięczność dla wszystkich, którzy stali się nieodłączną częścią tej niesamowitej podróży.

5 LAT PROJEKTU TO:

- Udział jachtu w 22 regatach, w których załoga aż 18 razy stawała na podium – najważniejsze zwycięstwa:
 - Heineken Regatta 2020 – 1. miejsce w kategorii CSA Ocean Racing 1
 - Rolex Middle Sea Race 2020 – 1. miejsce Line Honours
 - Gotland Runt 2021 – 1. miejsce Line Honours
 - B8 – 1. miejsce w kategorii Open z rekordem trasy
 - RORC Caribbean 600 2022 – 1. miejsce w kategorii CSA 1 oraz CSA Overall
 - Orvaldi B8 Race 2022 – 1. miejsce w kategorii Open z rekordem trasy
 - Roschier Baltic Sea Race 2022 – 1. miejsce Line Honours
 - RORC Transatlantic Race 2023 – 1. miejsce Line Honours oraz w kategorii IRC Super Zero
 - St. Maarten Heineken Regatta 2023 – 1. miejsce w kategorii CSA 1
 - La Larga – Palmavela – 1. miejsce Line Honours oraz w kategorii IRC



Fot. Materiały prasowe

- Żegluga ponad 100 żeglarzy i żeglarek na jednostce VO70;
- Zebranie ponad 1000 aplikacji do Programów Szkoleniowych, co dowodzi ogromnego zainteresowania i zaangażowania w rozwój młodych, polskich żeglarzy oceanicznych;
- Przeprowadzenie 4 edycji Programów Szkoleniowych, które zaowocowały wyborem 44 utalentowanych Laureatów i Laureatek;
- Przepłynięcie ponad 100 tys. morskich mil, podczas których „I Love Poland” stanowił nie tylko platformę do rywalizacji, lecz także przestrzeń do nauki i rozwoju.

„I Love Poland” w tym czasie zdobył poniższe nagrody i wyróżnienia:

- Honorowe Wyróżnienie „Rejs Roku 2020” dla Grzegorza Baranowskiego, który został uhonorowany za wyjątkowe dokonania;
 - Zwycięstwo w IMA Caribbean Maxi Challenge 2022;
 - Trofeum Duncan Munro-Kerr Youth Challenge dla Borysa Michniewicza w 2022 i 2023 r.;
 - III Nagroda Honorowa „Srebrny Sekstant – Rejs Roku 2022” oraz Honorowe Wyróżnienie od Jury Konkursu „Srebrny Sekstant – Rejs Roku 2023” jako „Szkoleniowy oceaniczny projekt regatowy”;
 - Pierwsze miejsce w klasyfikacji IRC Super Zero 2023, stanowiące potwierdzenie dominacji w swojej kategorii;
 - Wygrana w Polskim Konkursie Fotografii Sportowej 2023 dla Roberta Hajduka, za wyjątkową serię zdjęć z pokładu „I Love Poland”;
 - Fundacja Sailing is Our Passion, będąca operatorem projektu „I Love Poland”, uhonorowana została tytułem Przyjaciela Pomorskiego Żeglarstwa Roku 2023;
- O polskim jachcie oraz o członkach załogi pływających pod polską banderą pisano wielokrotnie, jednak to

artykuł w Vouge poruszający temat miejsca kobiet w żeglarskim oceanicznym był szczególnym wyróżnieniem i uznaniem dla projektu Polskiej Fundacji Narodowej. Dziennikarka i żeglarka Sinead O’Sullivan uczestniczyła w treningu z polską załogą na ILP tuż przed Rolex Middle Sea Race 2023. Autorka tekstu doceniła unikatowość polskiego jachtu, osiągnięte sukcesy, fakt coraz większego zaangażowania kobiet w programy szkoleniowe, a także udziału pań w międzynarodowych regatach. Agnieszka Skrzypulec, polska olimpijka, wicemistrzyni olimpijska z Tokio 2020, która dołączyła do załogi podczas Rolex Middle Sea Race w 2023 r., jest tego najlepszym przykładem czy chociażby Magdalena Kwaśna, multimedalistka Mistrzostw Świata, która na ILP wzięła udział w Roschier Baltic Sea Race 2022. Droga do kariery w stricte męskim sporcie dla wielu kobiet może wydawać się bardzo trudna, a czasami wręcz nieosiągalna, dlatego projekt „I Love Poland” oferuje możliwość nauki i wykorzystania nabytych umiejętności w praktyce. Pozwala wspierać kobiece talenty w osiąganiu zawodowych celów, a także wzbogaca ofertę edukacyjną dla młodych polskich żeglarzy oceanicznych. Poprzez to przyczynia się do promowania Polski i biało-czerwonych barw na międzynarodowych wodach, a co za tym idzie na wszystkich kontynentach świata.

Jacht doczekał się także pięknego upamiętnienia w postaci niezwyklego muralu, od września 2023 r. zdobiącego ścianę jednego z budynków w Gdyni.

Prowadzone działania nie mogłyby się odbyć bez wsparcia Fundatorów Polskiej Fundacji Narodowej: PKOBPS.A, Enea S.A., Energa S.A., GPW S.A., Grupie Azoty S.A., KGHM Polska Miedź S.A., Grupie LOTOS S.A., PKN ORLEN S.A., PGE S.A., PGNIG S.A., PGZ S.A., PHN S.A., PKP S.A., PWPW S.A., PZU S.A., Tauron Polska Energia S.A. oraz Totalizatorowi Sportowemu Sp. z o. o.



Fot. Materiały prasowe

Artykuł sponsorowany | 31/12/23/F

K

ULTIMATY

Rola we francuskiej „Anatomii upadku” dała jej nominacje do Oscara i Złotego Globu oraz Europejską Nagrodę Filmową. O niemieckiej aktorce Sandrze Hüller głośno jest dziś także za sprawą brytyjsko-amerykańsko-polskiej „Strefy interesów”

Anatomia sukcesu

Fot. Fred Duval/Shutterstock.com



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA



Kadr z filmu „Anatomia upadku”

Urodziła się w nieistniejącej już dziś Niemieckiej Republice Demokratycznej. Miała 12 lat, gdy dawne wschodnie landy, wraz z leżącymi w Turynii miastami Suhl, w którym przyszła na świat, i uzdrowskim Friedrichroda (45 km od Suhl), gdzie dorastała, zostały przyłączone do RFN, tworząc dzisiejsze Niemcy. Aktorstwo studiowała już w jednym Berlinie.

NA POCZĄTKU TEATR

Pierwsze sukcesy odnosiła na scenie. W 2003 r., tuż po dyplomie, została uznana za najlepszą młodą aktorką teatralną. Między rolami filmowymi regularnie wraca do teatru. I wciąż jest ulubienicą krytyków, którzy tytułem aktorki roku uhonorowali ją w latach 2010, 2013, 2019 i 2020. Ostatnio za rolę Hamleta w spektaklu holenderskiego reżysera Johana Simonsa.

Nim zaczęło się przedoscscarowe szaleństwo związane z „Anatomią upadku” i „Strefą interesów”, Sandra Hüller regularnie jeździła z domu pod Berlinem (gdzie mieszka ze swoją 12-letnią córką) do oddalonego o kilkaset kilometrów Bochum, by zagrać duńskiego księcia. Podkreśla, że do zawodu przyciągnął ją właśnie teatr – bakcyła polknęła jeszcze jako nastolatka na amatorskiej scenie. Jednak to film dalej międzynarodową rozpoznawalność.

KIERUNEK HOLLYWOOD

W 2006 r. za rolę w dramacie „Requiem” otrzymała na festiwalu w Berlinie Srebrnego Niedźwiedzia. 10 lat później Europejska Akademia Filmowa po raz pierwszy przyznała jej tytuł najlepszej aktorki, doceniając rolę w komediodramacie „Toni Erdman”. Film dostał też nominację do Oscara w 2017 r. w kategorii najlepszej produkcji nieanglojęzycznej. I wtedy Sandra Hüller po raz pierwszy pojechała do USA.

Miała 39 lat i wszyscy wokół wróżyli jej szansę zaistnienia na amerykańskim rynku. „Nic takiego się nie wydarzyło” – komentuje w wywiadzie dla „Vanity Fair”, zauważając, że bynajmniej nie była tamtą sytuacją rozczarowana. „Passa może skończyć się w minutę i to jest w porządku”.

Od kilku miesięcy za sprawą ról w dwóch fascynujących produkcjach – moralnym thrillerze „Anatomia upadku”, wyreżyserowanym przez Francuzkę Justine Triet, oraz „Strefie interesów”, dramacie z Holocaustem w tle Brytyjczyka Jonathana Glazera, niemiecka aktorka budzi rosnącą uwagę Hollywood.

Oba filmy miały premierę na festiwalu w Cannes, zdobywając tam Złotą Palmę („Anatomia upadku”) i Grand Prix („Strefa interesów”). Potem rozsypały się worki z najważniejszymi filmowymi wyróżnieniami. Dla „Anatomii upadku” m.in. pięć Europejskich Nagród Filmowych (film, aktorka, reżyser, scenariusz i montaż); cztery nominacje, w tym dwa Złote Globy (dla produkcji nieanglojęzycznej i za scenariusz) oraz pięć nominacji do Oscara (w kategoriach: film, aktorka, reżyser, oryginalny scenariusz i montaż). „Strefa interesów” otrzymała m.in. trzy nominacje do Złotych Globów (najlepszy dramat, film nieanglojęzyczny, muzyka) oraz pięć nominacji do Oscara (film, reżyser, scenariusz adaptowany, dźwięk, film międzynarodowy). O tym, ile statuetek otrzymają wspomniane obrazy i czy Oscar trafi do Hüller, przekonamy się 10 marca.

SPECJALNIE DLA SANDRY

W „Anatomii upadku” dramaturgicznym punktem wyjścia staje się znalezienie ciała leżącego na śniegu pod oknami samotnego alpejskiego domu. Co się stało? Czy mąż znanej niemieckiej pisarki (w tej roli Hüller) i ojciec niedowidzącego nastolatka popełnił samobójstwo? A może uległ nieszczęśliwemu wypadkowi lub

stał się ofiarą zbrodni? Rusza poszlakowy proces, w którym filmowa Sandra będzie musiała opowiadać o najintymniejszych szczegółach swojego małżeństwa.

Justine Triet zdradza, że rolę w „Anatomii upadku” napisała specjalnie dla Hüller. Poznały się przy poprzednim projekcie reżyserki – „Sybilli”. Triet już wtedy zauważyła w aktorce fascynującą „nieprzejrzystość”, mieszkankę emocji i chłodu, tak potrzebną do zbudowania niejednoznacznej, niepoddającej się ocenom bohaterki oraz historii, w której zamiast pytania, czy zabiła, pojawiają się szerzej postawione kwestie, np. czy można być odpowiedzialnym, nie będąc winnym albo czy można być winnym, nie będąc odpowiedzialnym.

DOM ZA DRUTAMI

Poza moralnością funkcjonują bohaterowie „Strefy interesów” Jonathana Glazera. Tuż za drutami Auschwitz prowadzą sielskie życie, którego dobrobyt jest powiększany dzięki rzeczom odbieranym ludziom przywożonym na śmierć. I członkom rodziny dowódcy obozu Rudolfa Hössa nie przeszkadzają dochodzące zza muru krzyki, strzały i nieustannie dymiące kominy.

Sandra Hüller wspomina, że kiedy zdała sobie sprawę, jaką rolę zaproponował jej Jonathan Glazer, zareagowała fizycznie. „Zrobiło mi się niedobrze, tak bardzo się bałam tego tematu” – mówi.

Według aktorki wrażenie, które wywołuje film, osiągnięto m.in. dzięki dziesięciu kamerom, które bez przerwy śledziły pracę na planie. Tłumaczy: „Stworzyło to wrażenie życia pod nadzorem. Miałam uczucie, że ciągle jestem obserwowana”.

Jednocześnie grając Hedwigę Höss, żonę komendanta Auschwitz, bardzo zwracała uwagę na oschłość postaci. Podkreśla: „Nie chciałam, by ta kobieta miała jakąkolwiek moją zdolność do nawiązywania kontaktu i kochania. Nie chciałam jej tego dawać”.

Czy Leśna Góra istnieje? „Na dobre i na złe”

Od roku dość systematycznie oglądam trzy najbardziej popularne polskie telenowe TVP: „M jak miłość”, „Barwy szczęścia” oraz „Na dobre i na złe”. Dlaczego? Cóż, przewidywalne fabuły z bohaterami, którzy nie niosą wielkich komplikacji, ale stają się dobrymi znajomymi, mnie uspokajają. Czyżbym się starzał? Zarazem będę się upierał, że w każdym z tych tasiemców trafiają się ciekawe kawałki, zaskakujące trafnością obserwacji, a czasem po prostu nie do przewidzenia. Dystans do tzw. ambitnej twórczości nagle się skraca.

Z tej trójcy najbardziej doceniam najstarszą produkcję, medyczną. „Na dobre i na złe” jest z nami od 1999 r. Pamiętam, jak zapoznawałem się z pierwszą ekipą szpitala w Leśnej Górze. W międzyczasie te obsady się wymieniały, a ja traciłem serial z oczu na wiele lat. Ale wróciłem.

Powinienem być wkurzony tą niekończącą się opowieścią (w tym tygodniu 909 odcinek!). Nie lubię filmów „szpitalnych”. Jak ktoś parę razy leżał bezsilny z cewnikiem i kroplówką po bokach, rzadko pała do nich sympatią. Na dokładkę zaś ta fikcja realiów!

Ostatnio miałem zabieg w warszawskim szpitalu. Kiedy poprosiłem pielęgniarki o kaptcie, usłyszałem: „Nie jest pan w Leśnej Górze?”. Pacjenci znakomitych aktorów w rolach lekarzy są natychmiast badani w nienagannym komforcie. Ja spędziłem na tzw. SOR cztery godziny. Czegoś takiego jak Leśna Góra nie ma. A jednak kiedy Redbad Klynstra grał w środkowych sezonach, ludzie na ulicy prosili go o receptę.

W tych wydumanych wnętrzach i realiach dostajemy sugestywne ludzkie historie na jeden odcinek. Niekiedy banalnie wymuszające naszą uwagę emocjonalnymi szantażami. Bywa, że niewiarygodne, zwłaszcza gdy ześlizgują się w stronę kryminalów. Ale są naznaczone potężną dawką empatii. Małżeństwo ukrywa przed matką kolejne poronienia żony. Dopiero udane narodziny przynoszą trudne rodzinne pojednanie. Policjant przywozi małego pacjenta i chce uciekać do swoich spraw. Kończy, czuwając przy jego łóżku.

Wiem – to po to, abyśmy się wzruszyli. I jeszcze zadumali nad dylematami lekarzy, którzy są tu o niebo bardziej uważni, współczujący niż ci prawdziwi. Może to zbiór bajek, ale tak urokliwie opowiadających się po stronie dobra.

Jest w tym i siła dobrych ról. Kiedy Katarzyna Ankudowicz gra samotną prawniczkę, przywiązującą się w szpitalu do chłopca, który jej ukradł telefon komórkowy, wierzymy jej podwójnie. Jest tak groteskowa, że głęboko ludzka. Dotyczy to także stałej obsady lekarskiej. Takie postacie, jak prof. Falkowicz w wykonaniu Michała Żebrowskiego czy prof. Bart Piotra Głowackiego wydawały mi się niewiarygodnie przerysowane. Dziś kupuję ich ekscentryzm.

Mamy psychologiczne ciągi zagadek. Czy wirtuoz kardiologii Maks Beger (Tomasz Ciachorowski) to wstrętny męski szowinista, czy dojrzymy jego lepsze strony? Pojmuję, że jest to wymyślone przez tabun scenarzystów, by formatować nasze emocje. Lecz może to czasem chroni przed schematem ideologicznym. Dr Maks wydawał się kandydatem na marnego molestatora, karanego dla przykładu. Ale żeby było



ciekawiej, kombo twórców próbuje osłabiać takie schematy. Choć nie wiemy, co będzie na końcu.

Przez Leśną Górę przewinął się gwiazdopodobny – od Artura Żmijewskiego przez Mariana i Bartosza Opaniów po młodą i znakomitą Paulinę Gałązkę oraz jednego z weternów tej ekipy Piotra Garlickiego czy zbyt pozytywną jak na swój temperament Emilię

Komarnicką. Także w jednoodcinkowych rolkach pacjentów widzieliśmy sławy. Naprawdę nie jest rzeczą obojętną, kto nas przekonuje do najbardziej elementarnych emocji. 

Piotr Zaremba

Gnojówką albo wojną

Wolnemu światu zagraża dziś globalny islam, imperialna Rosja, cyfrowo-totalitarne Chiny oraz wróg wewnętrzny – marksistowskie ideologie, podmywające moralne fundamenty cywilizacji zachodniej i niszczące ekonomiczne oraz godnościowe podstawy jej bytu.

Jeśli nie nastąpi otrzeźwienie/wymiana elit, Europa przegra albo z demograficznym dżihadem, albo z prostacko imperialną Rosją, albo w dłuższej perspektywie z łaknącymi globalnej hegemonii Chinami. Europejska arystokracja demokracji częściowo to rozumie, stąd gwałtowne przyspieszenie jej dążeń do utworzenia centralistycznego państwa zarządzanego z Berlina z własną armią i globalnymi ambicjami. Tyle że aby stworzyć tę realną potęgę, unijny establishment musiałaby zrezygnować ze swych ideologiczno-religijnych celów: albo Zielony Ład, albo przemysł zbrojeniowy, albo walka o klimat, albo armia zdolna oprzeć się liczącej 1,5 mln ludzi Armii Czerwonej, albo pedagogika wstydu, albo młode pokolenie charakterologicznie zdolne do uniesienia ciężaru obrony ojczyzny. Jak bardzo nie zanoszą się na rezygnację z ideologii, widać po kształcie szparagowej reformy edukacji w Polsce.

W polskiej szkole dzieci nie będą poznawać przykładów heroizmu Polaków, w tym Witolda Pileckiego i Maksymiliana Marii Kolbego, ani polskich osiągnięć w różnych dziedzinach życia społeczno-gospodarczego oraz sukcesów polskich przedsiębiorców na arenie międzynarodowej. Mają nie poznawać też podstawowych zasad profilaktyki chorób przenoszonych drogą płciową ani opisu faz cyklu miesięczkowego kobiety i wpływu różnych czynników na rozwój zarodka i płodu. Nie przeprowadzą również doświadczeń wykazujących wpływ

zawartości dwutlenku węgla na intensywność fotosyntezy. Dla komfortu psychicznego rządzących nie poznają także przykładów kolaboracji z Niemcami i Sowietami oraz przykładów patriotycznych postaw młodzieży, np. udziału w konspiracyjnym harcerstwie. Mają się też nie uczyć o eksterminacji polskich elit, grabieży polskich dzieł sztuki oraz eksploatacji gospodarczej ziem polskich przez III Rzeszę Niemiecką i Związek Sowiecki. Do szkół wejdzie za to promująca masturbację fundacja SEXEDPL, z którą Ministerstwo Edukacji Barbary Nowackiej współpracuje przy tworzeniu modelu edukacji seksualnej dla polskich szkół. Fundacja ta jest wspierana przez firmę EasyToys, handlującą wibratorami i symulatorami „do robienia łoda”.

Czy w obliczu militarnego zagrożenia Europy zakończy się ideologiczne szaleństwo? Czy rządzący europejskim folwarkiem otrzeźwieją? Kontynuację samobójczej polityki na pewno szybko odczuje lud zamieszkujący eurokolchoz. Polską czteroosobową rodzinę realizacja unijnego planu Fit for 90 będzie kosztować miesięcznie 3,5 tys. zł i jak wyliczył francuski Instytut Rousseau, Europejczycy będą musieli się wyzbyć ponad jednej czwartej aut osobowych i jednej piątej ciężarówek, jeść znacznie mniej mięsa oraz ograniczyć do minimum podróże samolotami. Do tego za dwa lata 4,5 mln migrantów rocznie będzie rozdzielanych do państw członkowskich – tydzień temu komisja w Parlamencie Europejskim z poparciem polityków polskiej koalicji rządzącej przyjęła pakt migracyjny. Taka Europa o swoje bezpieczeństwo nie zawalczy.

Zachód wygrał konfrontację z moskiewskim totalitaryzmem opartym na przemocy, dziś przegrywa starcie z totalitaryzmem kulturowym. O ile zmagania z ekspansjonizmem islamskim, rosyj-



ROBERT TEKIELI

skim i chińskim rozgrywają się w przestrzeni militarnej, gospodarczej, demograficznej i informacyjnej, wewnętrzny front batalii cywilizacyjnej jest w swej istocie konfliktem religijnym.

Spór chrześcijaństwa z liberalizmem o miejsce religii w nowoczesnym świecie zaowocował głęboką sekularyzacją społeczeństw Zachodu: całkowitym odrzuceniem przez nie metafizyki oraz tryumfem relatywizmu moralnego i poznawczego, przemożną chęcią unicestwienia zastanego porządku, a także dążeniem do absolutnej i arbitralnej władzy. Marksizm kulturowy, który przejął od liberalizmu prymat w zachodnim mainstreamie, to rodzaj gnostycyzmu, religii samozbawienia, pokładającej swe eschatologiczne nadzieje w ustanowieniu nowego porządku politycznego. Być może religijny charakter nowych ideologii tłumaczy irracjonalizm współczesnych elit Zachodu.

Po stronie zdrowego rozsądku stoją interesy. Niewywołanie wojny o Ukrainę zakończyłoby niespełna 500-letnią imperialną przygodę Moskwii, podobnie wyjście USA z Europy oznaczałoby zrzeczenie się przez Waszyngton roli globalnego mocarstwa. Jest to nieprawdopodobne, więc jeśli wybory w USA wygra Trump, Europa będzie wydawać na swoje armie przynajmniej 2 proc. PKB. Geopolityka jest po naszej stronie. Oby jednak nie było tak, że europejski establishment może otrzeźwić jedynie bezpośrednie zagrożenie regularną, krwawą wojną. Na szczęście jest szansa, że skutecznym narzędziem społecznej kontroli elit okażą się lejące gnojówkę ciągniki. 



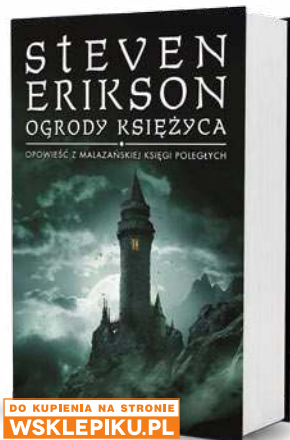
WOJNA CYWILIZACJI

POPKULTURA

Może być W obsadzie Alice Braga („Elizjum”, „Legion samobójców”) i Ben Affleck, zdobywca Oscara i Złotego Globu, a na fotelu reżysera Robert Rodriguez („Desperado”, „Sin City”, „Maczeta”) – tak reklamowałbym thriller **„Hipnoza”**, bo już z wykonaniem jest gorzej. Zaczniemy od tego, że scenariusz został napisany 20 lat temu i wtedy film zrobiłby furorę. Ale potem była „Incepcja”, na dużym ekranie zaistniało wiele podobnych pomysłów, więc dziś oglądamy jedynie solidny film science fiction klasy B. Nie będę spojlerował, bo ważne jest, by widz dał się nabierać na kolejne podsuwane fałszywe tropy. Po wiem tyle, przez 50 min bawiłem się dobrze, potem historia porwanej kilkuletniej córki policjanta zaczęła się płatać, by zmierzać ku finałowi, który jednak nie był w stanie poruszyć moich emocji. Iluzja iluzji w iluzji i w tym momencie nasz gadzi mózg zaczyna się nudzić, żeby go porwać, trzeba więcej „zabili go i uciekł” albo innych sposobów sprawiających, że skręca się żołądek lub serce przestaje bić czy choćby zaczynamy wstrzymywać oddech. Niestety, jeśli ma się narzędzie, którym można w absolutnie dowolny sposób manipulować rzeczywistością przedstawioną w filmie, to niełatwo go nie nadużyć.

POPKULTURA

Warte **„Ogrody Księżyca”** Stevena Eriksona to powieściowe political & war fantasy, otwierające dziesięciotomową serię Malazańskiej Księgi Poległych. Stworzone przez autora uniwersum liczy kilkaset tysięcy lat, mamy w nim mnogość ras, dynastii, rodzajów magii i istot magicznych. Do historii mieszają się bogowie, o przetrwanie walczy potężne imperium, nikt nie wie, ilu aktorów jawnych i ukrytych jest zaangażowanych w kolejne wojskowe i magiczne kampanie. Cała galeria wyrazistych bohaterów starających się przykuć uwagę czytelnika wypełnia swymi działaniami i ambicjami kilka tysięcy stron opowieści. Autor stawia na nieskomplikowaną rozrywkę, niesie nas fala wydarzeń; jeśli ktoś szuka w popkulturze mądrości, może się zawieść na produkcji Eriksona. Jeśli jednak ma ona wypełnić czas przeznaczony na czystą zabawę, czemu nie?



Warte Byłem pewien, że nakręcenie westernu nie jest już możliwe. I z przyjemnością mogę stwierdzić, że się myliłem. Opowiadanie takich historii jak **„Yellowstone”** będzie możliwe dopóki, parafrazując jednego z bohaterów tej sagi, człowiek nie wynajdzie leku na ludzką naturę. Kevin Costner w roli głównej, Złoty Glob dla serialu, rekordowa widownia, pięć równych sezonów. Rzecz dzieje się w Montanie – obserwujemy walkę rodziny właściciela największego rancza w Stanach z pazernym miliarderem deweloperem, który zawiera



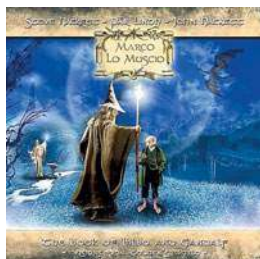
sojusz z czepiącym kolosalne pieniądze z hazardu potomkiem rdzennych mieszkańców, marzącym o zniszczeniu dorobku białych kolonizatorów. Mamy zatem epicki oddech, doskonałą obsadę, świetną historię, potężne emocje, konflikt o władzę, wiarygodną psychologię postaci, słowem: jeden z najlepszych seriali telewizyjnych w historii. Mocno antyamerykański.

Opowieść jest brutalna, rodzina Duttonów naznaczona traumą, akcja toczy się w zawrotnym tempie, najkrócej mówiąc: „Ojciec chrzestny” połączony z „Dynastią”, gdyby tę ostatnią całkowicie odedzić z żenady.

Być może jednym z najsilniejszych nośników atrakcyjności serialu jest tęsknota współczesnego człowieka za prostym życiem. Sceneria, pośród której toczą się losy walki pierwszego ranczera USA o swoją ziemię, jest urzekająca. Twórcy „Yellowstone” John Linson („Synowie Anarchii”) i nominowany do Oscara Taylor Sheridan („Aż do piekła”, „Sicario”) nie boją się używania wytartych schematów. Bój toczy się pomiędzy starymi a nowymi pieniędzmi. Jednak stary świat broniony przez bohatera granego przez Kevina Costnera nie jest w najmniejszym stopniu rajem utraconym. Poznajemy jego twarde piękno – scena w barze! – i zbrodnicze metody. Jak stać się mężczyzną? Rzecz dzieje się w głowie.

Robert Tekieli, Polskie Radio

POPKULTURA



Marco Lo Muscio – „The Book Of Bilbo And Gandalf”, Drycastle Records 2010

Tolkien według Marco

Płyta „The Book of Bilbo and Gandalf” jest inspirowana „Władcą Pierścieni” i „Hobbitem”. Łączy elementy muzyki klasycznej, barokowej i np. jazzu, a w przypadku Tolkiena obowiązkowo celtyckiego folku. Efekt jest udany, choć czasem melodie giną w przydługich fortepianowych improwizacjach.

Marco Lo Muscio brał na warsztat także „Iliadę” czy opowieści Edgara Allana Poe’a. Jest włoskim pianistą, organistą współpracującym m.in. z braćmi Johnem i Steve’em Hackettami. Ten ostatni to gitarzysta, znany z gry w najsłynniejszym składzie Genesis. Marco jest muzykiem, który wprowadził transkrypcje utworów rocka symfonicznego (niestety to oksymoron), m.in. Keitha Emersona (Emerson, Lake & Palmer), Ricka Wakemana (Yes) i właśnie Hacketta do sal koncertowych. Publiczność podobno była zachwycona.

Płytę otwiera wielowątkowa, kilkunastominutowa suite z partiami chóru i gościnną gitarą Björna Johanssona. Obecny również tutaj Pär Lindh gra m.in. na organach kościelnych i Hammonda, melotronie, syntezatorach i fortepianie. Dzięki temu nastrój waha się między różnymi możliwościami ekspresyjnymi, opierając całość na zapadającym w pamięć temacie. Reszta płyty to uzupełnianie tu i ówdzie muzyka fortepianowa. „Pieśń Elfów” jest podana jako zgrabna jazzowa impresja, a „Medytacja Théodena” i „Rycerze Rohanu” – pianistyczne stylizacje na virelai trubadurów. Są też momenty, gdy do fortepianu dołącza flet Johna Hacketta i wtedy nie mamy wątpliwości, że melancholia kieruje myśli Bilba wprost do domu – „Thoughts Turn Homeward” to najjaśniejsza perełka tego albumu, przenosząca nas wprost do filmu Jacksona. W „Galadrieli” zaś słyszymy intymną gitarę Hacketta w wersji klasycznej.

Skoro Tolkien to również epicki rozmach, znajdujemy też utwory przesadnie długie, jak „Księgę Gandalfa” czy niemal 20-min kompozycję „Bilbo i Gandalf” z zapadającym w pamięć motywem przewodnim. Na zakończenie dostajemy jednak w nagrodę nostalgiczne „Wizje z Minas Tirith”. Flet Oksany Sinkowej i kościelne organy przenoszą nas pod mury stolicy Gondoru, czyniąc gotowymi do bitwy z siłami Mordoru.



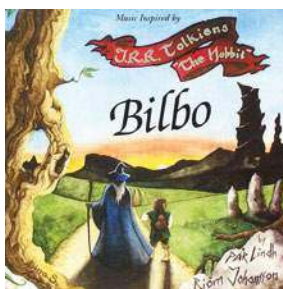
Maciej Walaszczyk

W Głębinach Czasu Ilúvatar przekazał Ainurom muzyczny temat, który rozwinęli w harmonijną Wielką Muzykę. Tak się zaczyna „Silmarillion”. Wielu wykonawców zafascynowanych tolkienowskimi opowieściami podąża za jej echem.

„Bilbo” to, jak łatwo się domyślić, muzyczna adaptacja „Hobbita”. Zaslugą duetu szwedzkich instrumentalistów Björna Johanssona i Pära Lindha (lidera Pär Lindh Project, który zaczynał swoją drogę muzyczną jako kościelny organista) jest, że powstała na długo przed ekranizacją „Władcy Pierścieni”. Bo z dzisiejszej perspektywy to brudnopis, wypełniony dziesiątkami świetnych motywów, aranż i pomysłów godnych rozwinięcia na ścieżce dźwiękowej (choćby 11-min „Mirkwood – Suite”). Ale ona sama jest naprawdę ciekawa, będąc także kolejnym dowodem na nieustające próby łączenia rockowych brzmień z klasyką.

Płyta zabiera nas na wyprawę do krainy hobbitów, gdzie żyjątrolle, gobliny, elfy, a także olbrzymi, zloczostoczerwony smok o imieniu Smaug. Dzięki tej muzyce podróż Bilba Bagginsa z kontraktem na posadę włamywacza w rękę

Muzyka z Głębin Czasu



Pär Lindh & Björn Johansson „Bilbo (Music Inspired By J.R.R. Tolkien's „The Hobbit”), Crimsonic Label 1996

wraz Gandalfem i 13 krasnoludami nabiera elegancji, napięcia i zwykłej dziecięcej radości. To podróż z klasycznymi instrumentami w 15 zróżnicowanych utworach, trwających łącznie 65 min, w których muzycy starają zachować równowagę pomiędzy średniowiecznymi i barokowymi melodiami a rockowo-symfoniczną stylizacją. Uzupełnianą w kilku miejscach m.in. pięknym wokalem Magdaleny Hagberg, np. w „Rivendell”, krótkiej piosence przypominającej typową anglosaską kolędę. Jej głos słychać również w pełnej celtyckich motywów „Pieśni krasnoludów”. I przyznaję, tak właśnie nie zawsze ją sobie wyobrażałem, choć może śpiewaną raczej przez zaprawionych piwem niżiołków.

Lindh i Johansson kontynuowali współpracę jeszcze przez kilka lat, by 2004 r. stworzyć album „Dreamsongs From The Middle Earth”, również nawiązujący do Tolkienowskich opowieści. Więc choć na godzinę obudźmy w sobie dziecko. Mając w jednym ręku atlas z mapami tolkienowskiego świata, a w drugiej jedną z jego świetnych książek, możemy również założyć słuchawki i posłuchać „Bilba”.

Którędy do krainy hobbitów?

Czytelnik dostaje do ręki niezbędnik, dzięki któremu z łatwością może się poruszać się po świecie Tolkienowskiego imaginarium

Podobnie jak Bilbo, zawsze uwielbiałam mapy” – przyznaje Karen Wynn Fonstad we wstępie do wznowionego po raz kolejny „Atlasu Śródziemia” jej autorstwa. Jednak po raz pierwszy „Atlas” ukazuje się po polsku w edycji uaktualnionej. A potrzeba zawsze była ogromna, bo kto tylko zajrzy do „Władcy Pierścieni”, „Hobbita” i „Silmarillionu”, poczuje silne i niezaspokojone pragnienie, by zajrzeć również do każdego zakątka Śródziemia. Sam pamiętam kolegów, którzy z mozolem próbowali podołać temu zadaniu, nanosząc na odręczne mapy rozkład tamtych krain. Również Fonstad pamięta historię, gdy w 1969 r. jedna z jej studentek na wydziale kartografii zdecydowała się w ramach projektu semestralnego opracować przerysowaną mapę Śródziemia. Nie zrealizowała jednak tego pomysłu. Potrzeba była jednak silna, a i sam J.R.R. Tolkien w eseju „O baśniach” wyjaśniał, że aby uczynić wiarygodną wyimaginowaną krainę i historię, która się w niej rozgrywa, ów wtórny świat musi się charakteryzować „spójnością cechującą rzeczywistość”. I tak przecież jest!

Dlatego atlas pierwotnie powstał dzięki szczegółowym, plastycznym i rozpalać wyobraźnię opisom, które każdy czytelnik może odnaleźć na kartach kolejnych powieści Tolkiena. Okazało się, że złożoność przedstawionych w nich historii, zróżnicowanie krajobrazów, języków, kultur i bogactwo miejsc tak bardzo oszalały i przytłaczały, że autorka wyobraziła sobie wszystko umieszczone na jednej gigantycznej, zindeksowanej mapie, ukazującej wszystkie, opatrzone nazwami, miejsca i trasy wędrówek. W końcu w 1981 r. ukazało się pierwsze wydanie „Atlasu”, które natychmiast trzeba było uaktualnić.

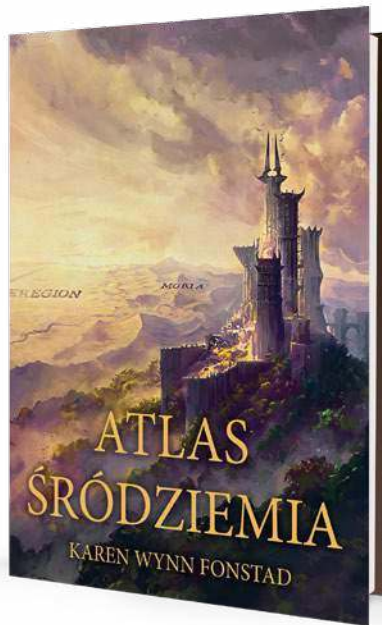
Syn pisarza Christopher, wydając po śmierci ojca „Silmarillion”, a potem „Historię Śródziemia”, wymusił konieczność doprecyzowania stworzonych już map, planów, rysunków szlaków czy zamków i twierdz, chronologii i drzew genealogicznych Tolkienowskiego świata. Potem doszły „Niedokończone opowieści” czy w końcu „Encyklopedia Śródziemia” autorstwa Roberta Fostera. Autorce udało się zebrać i porównać wszystkie informacje także dzięki odręcznym rysunkom pisarza,

przechowywanym w Dziale Specjalnych Zbiorów Marquette University. A że do sprawy podeszła z profesjonalizmem i wielkim oddaniem, nie dziwny się, że do pracy zostały zaangażowane także Wydział Geografii Uniwersytetu Wisconsin wraz z działającym w nim Wydziałem Usług Kartograficznych.

Świat Tolkiena jest podobny do tego, który wyobrażali sobie średniowieczni kartografowie. To dysk otoczony oceanami, poza którymi znajduje się Otchłań. Autorka pozostała przy tej koncepcji, mimo że w pewnym momencie kształt świata został odmieniony, a Arda stała się kulista. Co ciekawe, zarówno odręczne mapy pisarza, jak i te przeznaczone dla czytelników, jako podstawowy kierunek przedstawiają północ. Jednak w Śródziemiu wskazania kompasu zawsze kierują się ku zachodowi – w stronę Valinoru, „raju” tamtego świata.

Mamy tu również ujednoliconą skalę dystansów, wyrażoną w milach, tabele zawierające długości rzek i pasm górskich, powierzchnie krain i zbiorników śródlądowych, charakterystyki ukształtowania terenu. Możemy nawet prześledzić zmiany klimatyczne zachodzące w krainach Śródziemia. Morski i chłodny klimat Shire’u był podobny do tego, który panuje w Anglii, dobre moce żyły w nietypowo ciepłych i łagodnych klimatach Valinoru i Lórien, a złe moce Morgotha, Saurona i Angamaru wołały klimat mroźny. Sugestia jest aż nadto czytelna.

Autorka sporo miejsca poświęciła wizualizacji zmian, następujących w Śródziemiu w kolejnych erach. Wędrówki elfów, przebudzenie się ludzi, podróże Numenorejczyków, migracje hobbitów i krasnoludów, a w końcu wyprawa Bilba Bagginsa oraz Drużyny Pierścienia ze szczególnym uwzględnieniem wędrówki Froda i Sama. Do tego plany sytuacyjne właściwie wszystkich bitew, w tym m.in. szczegółowo rozpisane fazy starcia na polach Pelennoru. I ciekawostka: znajdujemy też mapę przedstawiającą skutki wojny na północnym zachodzie pod koniec Pierwszej Ery, w wyniku której większość krain zatonała w morzu, a jej mieszkańcy musieli ratować się ucieczką. Jej tytuł to: „Relokacja uchodźców”. Tolkien wszystko przewidział.



Karen Wynn Fonstad, „Atlas Śródziemia”,
Zysk i S-ka 2024

ORLEN szósty rok w padoku Formuły 1

Norwy bolid, większe szanse, wyższe cele

Jest szybszy, dzieli wiele części z maszyną mistrza świata Formuły 1 Maxa Verstappena i ma dać prowadzącym go kierowcom większe szanse na walkę o punktowane lokaty – taki jest nowy bolid zespołu Visa Cash App RB, którego głównym sponsorem jest ORLEN. Logo największego polskiego koncernu przyozdobiło tylne skrzydło maszyny, nazwanej oficjalnie VCARB01 i wyposażonej w silnik od Hondy. Do pierwszego wyścigu o Grand Prix Bahrajnu pozostało już niespełna dwa tygodnie

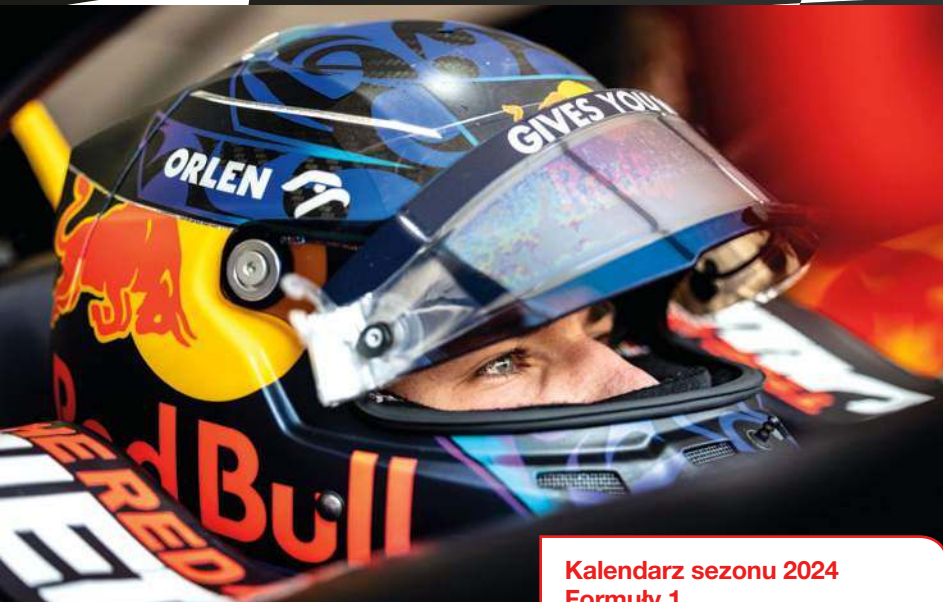


Sezon 2024 o mistrzostwo Formuły 1 zapowiada się pasjonująco – tym razem ma liczyć aż 24 wyścigowe weekendy. Po pandemicznych zawirowaniach do kalendarza powraca GP Chin, co z pewnością jeszcze zwiększy popularność tej najbardziej prestiżowej wyścigowej serii sportu motorowego na świecie. Po raz szósty z rzędu w padoku Formuły 1 będzie obecny ORLEN. Oficjalna prezentacja zespołu, którego sponsorem jest polski koncern, odbyła się na początku lutego w Las Vegas. Po raz pierwszy zaprezentowano tam też nowy bolid przyozdobiony logotypami polskiego koncernu.

NOWY BOLID MA BYĆ SZYBSZY

W sezonie 2024 zespół, którego ORLEN jest głównym sponsorem, wystartuje pod nazwą Visa Cash App RB. Jego siedzibą pozostaje włoska Faenza, a właścicielem Red Bull, który zdecydował o rebrandingu nazwy Scuderia AlphaTauri, pod którą stajnia funkcjonowała w poprzednim sezonie. Nowe auto, przygotowane na tegoroczny sezon, zostało oznaczone symbolem VCARB01 i według zapo-

wiedzi konstruktorów ma oferować zdecydowanie większe możliwości rywalizacji o najwyższe miejsca w stawce niż samochód, którym ścigali się kierowcy zespołu z Faenzy w ub.r. Konstruktorzy twierdzą, że wiele części VCARB01 dzieli z bolidami mistrzowskiej stajni Red Bull Racing, co sprawia, że kierowcy zespołu Visa Cash App RB mogą realnie myśleć o walce o wyższe cele.



Na prezentacji w Las Vegas stawili się dwaj kierowcy zespołu, a więc 34-letni utytułowany weteran F1, zwycięzca ośmiu wyścigów Grand Prix Australijczyk Daniel Ricciardo oraz 23-letni Japończyk Yuki Tsunoda, wychowanek programów juniorskich Red Bulla i Hondy, który w ub. sezonie zajął 16. miejsce w klasyfikacji końcowej kierowców. Zespół postawił więc na połączenie doświadczenia i młodości, na skład typu mistrz-uczeń, co może przynieść obiecujące rezultaty.

CZEKAMY NA NASTĘPCÓW ROBERTA

Jeśli chodzi o polskich kierowców, naszym jedynakiem, który kiedykolwiek zasiadł w bolidzie F1 na starcie wyścigu, wciąż pozostaje oczywiście ważny członek ORLEN Teamu Robert Kubica. Koncern przedłużył współpracę z krakowianinem na kolejne trzy sezony. Robert skupia się na startach w wyścigach długodystansowych WEC. Przypomnijmy tylko, że w tym sezonie nasz najsłynniejszy kierowca będzie się ścigał w hypercarze Ferrari w barwach zespołu AF Corse.

Koniecznym wypadkiem natomiast wspomnieć o tym, że ORLEN bardzo wnikliwie monitoruje rozwój największych polskich talentów wyścigowych i już dziś sponsoruje plejadę utalentowanych młodych Polaków, którzy z powodzeniem startują w takich seriach, jak Formuła 3 czy Formuła 4. Warto pamiętać o takich kierowcach, jak 18-letni Kacper Sztuka, który po wygranym w ub.r. włoskiej Formule 4 oraz

Kalendarz sezonu 2024 Formuły 1

Królowa motorsportu zaprezentuje się kibicom aż na pięciu kontynentach. Nie ma drugiej takiej serii sportowej, której zawody byłyby organizowane w ciągu jednego sezonu w tak wielu miejscach na świecie. To dlatego budując globalny biznes, warto zabiegać o miejsce w świecie Formuły 1.

1. GP Bahrajnu – 2 marca.
2. GP Arabii Saudyjskiej – 9 marca.
3. GP Australii – 24 marca.
4. GP Japonii – 7 kwietnia.
5. GP Chin – 21 kwietnia.
6. GP Miami – 5 maja.
7. GP Emilii-Romanii – 19 maja.
8. GP Monako – 26 maja.
9. GP Kanady – 9 czerwca.
10. GP Hiszpanii – 23 czerwca.
11. GP Austrii – 30 czerwca.
12. GP Wielkiej Brytanii – 7 lipca.
13. GP Węgier – 21 lipca.
14. GP Belgii – 28 lipca.
15. GP Holandii – 25 sierpnia.
16. GP Włoch – 1 września.
17. GP Azerbejdżanu – 15 września.
18. GP Singapuru – 22 września.
19. GP USA – 20 października.
20. GP Meksyku – 27 października.
21. GP Brazylii – 3 listopada.
22. GP Las Vegas – 23 listopada.
23. GP Kataru – 1 grudnia.
24. GP Abu Zabi – 8 grudnia.

cyklu Formula Winter Series został członkiem słynnej akademii Red Bulla i wystartuje w tym roku w Formule 3. Kolejny wielki talent w stajni ORLEN Team to pochodzący z Tarnowa 15-letni Maciej Gładysz, który robi furorę w Formule 4 w Hiszpanii, a swój debiutancki

weekend na tym poziomie wyścigów zakończył z dwoma miejscami na podium i trzema zwycięstwami w klasyfikacji debutantów. Gdy zamykamy ten numer tygodnika, do debiutanckiego startu w hiszpańskiej Formule 4 w wyścigu w ramach Winter Series szykuje się właśnie inny wielki polski talent i członek ORLEN Teamu – Jan Przyrowski. Po pełnej sukcesów karierze w kartingu, okraszanej tytułem wicemistrza świata, 15-letni Przyrowski dostał propozycję dołączenia do najlepszego w Hiszpanii zespołu Campos i szykuje się do swojego pierwszego sezonu na wyższym szczeblu poważnego ścigania.

Warto też zapamiętać nazwisko Borysa Łyżenia. To wybitnie utalentowany 13-latek, który na początku lutego także dołączył do ORLEN Teamu. Póki co Borys prezentuje swoje fenomenalne umiejętności w najważniejszych seriach kartingu, ale nie ukrywa, że jego marzeniem jest start w Formule 1. Każdy z tych czterech młodych Polaków: Sztuka, Gładysz, Przyrowski i nazywany „Brzytwą” Łyżeń ma szansę stać się następcą Roberta Kubicy w Formule 1 i ścigać się kiedyś bolidem, którego skrzydło przyczyniło do rozpoznawanej globalnie logo polskiego koncernu.

W poprzednich latach ekwiwalent reklamowy pochodzący z obecności ORLENU w Formule 1 i współpracy z Robertem Kubicą wynosił 400 mln zł w 2021 r. i aż 648 mln zł w 2022 r. Dzięki regularnej obecności na ekranach telewizorów, komputerów i urządzeń mobilnych setki milionów fanów Formuły 1 na całym świecie w 2022 r. ORLEN uplasował się na 30. miejscu w rankingu rozpoznawalności marek wśród 100 firm zaangażowanych w sponsoring „królowej sportu”. Obecność w świecie F1 ma istotne znaczenie w budowie rozpoznawalności polskiej firmy na rynkach zagranicznych, gdzie koncern stale rozwija swoją rynkową obecność.

PARTNER DODATKU



JAKUB GIERZAŁ*

Wyspa na krańcu świata



Obie są wyjątkowe, bliskie naturze i odcięte od świata. Na obu, z dala od ludzi, można spróbować odnaleźć drogę do siebie. Ale nie tylko to łączy Nisiros i Foule. Choć są odległe o 3336 km.

O greckiej wysepce pisaliśmy przy okazji grudniowej premiery filmu „Uśmiech losu” Andrzeja Jakimowskiego. To właśnie na Nisiros, u stóp uspiętego wulkanu, przewartościowo wywał swoje życie bohater grany przez Mateusza Kościukiewicza. Z kolei szetlandzka Foula przyciągnęła ekipę „Ultima Thule” – pełnometrażowego reżyserskiego debiutu Klaudiusza Chrostowskiego, nagrodzonego na festiwalu w Gdyni w 2023 r. Złotymi Lwami w Konkursie Filmów Mikrobudżetowych. Głównym aktorem (debiutującym jednocześnie w roli producenta) jest w tym obrazie Jakub Gierszał.

Ciekawe, że i Gierszał (rocznik 1988), i Kościukiewicz (rocznik 1986) w podobnym czasie przyjęli role w filmach, których bohaterowie – odcięci od wygód oraz szumu współczesnego życia – próbują się zdefiniować na nowo. 15 lat wcześniej obaj aktorzy z młodzieńczym wigorem i pewnością siebie weszli do polskiego kina, grając w pokoleniowym obrazie Jacka Borcucha „Wszystko, co kocham”. Tam szeroka perspektywę otwierały przed bohaterami kadry znad polskiego morza. Teraz tłem wewnętrznych rozterek stały się m.in. plenery Fouli.

Rewelacyjne ujęcia do historii filmowego Bartka, który wykonując najprostsze prace na tytułowym krańcu świata, szuka wyciszenia i dystansu, by móc rozliczyć się z przeszłością, nakręcił Michał Rytel-Przełomiec. Jak zdradza reżyser, wizualną inspiracją kadrów były obrazy Caspara Davida Friedricha, niemieckiego malarza okresu romantyzmu, który często przedstawiał wędrowców „pośrodku mgieł, skał i gór”. – Dużo w tych postaciach zamyślenia i tajemnicy. A wszystko na tle dominującej przyrody – podkreśla Chrostowski. – W podobnych krajobrazach Bartek musi się zastanowić nad tym, kim jest i czego chce – dodaje.



O Fouli mówi się, że leży na krańcu świata. Określenie Ultima Thule (z łac. *ultimo* znaczące ostatni i gr. *thule*, czyli świat) w średniowieczu

oznaczało północną krainę, poza którą już nic nie ma. Takiego miejsca szuka ekranowy Bartek, uciekając od ludzi i nieprzepracowanych problemów. Na Fouli znajduje, dosłownie i w przenośni, nowe opcje i perspektywy. Wraz z nim widzowie mogą odkryć niezwykłą przestrzeń jednej z najbardziej odizolowanych wysp Wielkiej Brytanii (i północno-wschodniej Szkocji). Raptem 13 km² lądu, wylaniające się stromymi (wysokimi na kilkaset metrów) klifami z Oceanu Atlantyckiego.

Od najbliższej wyspy Foule dzieli 22 km, od stałego lądu o 150 km więcej. Zasiedla ją ok. 30 osób. Spotkać tu można cenne gatunki migrujących ptaków i oczywiście szetlandzkie owce, wśród których jedna wyróżnia się szczególnie. Warto zobaczyć, jak kradnie sceny Kubie Gierszałowi.

Jolanta Gajda-Zadworna
*W filmie „Ultima Thule”



Fot. Materiały prasowe



SŁODKO-SŁONY

Ceregiele z babą

ANNA MONICKA

Ten jeden z najbardziej tradycyjnych polskich wypieków obrósł w legendy. No bo wiadomo, której babie udało się upiec na święta większą babę, ta była najlepszą kucharką, a przy okazji gwarantowała całej rodzinie pomyślność i powodzenie. W czasie wyrabiania ciasta działały się istne cuda. Musiało solidnie wyrosnąć i nie klapnąć, nie wolno więc było trzaskać drzwiami, otwierać okien, wpuszczać chłopca do kuchni, a nawet i domu, żeby złym okiem nie lypał na cud sztuki kulinarnej ani nie chuchał alkoholowym oddechem, bo delikatne ciasto mogłoby omdleć z wrażenia. Nad babą szeptano, owijano ją w lniane obrusy, żeby się nie zaziębiła i nie skompromitowała pani domu.

Dziś większości z nas brakuje czasu na takie ceregiele i rzadko kto ma jeszcze w domu prawdziwy piec chlebowy, bo w takim właśnie wyrastały ciasta przed wiekami. Największym problemem jest znalezienie zdrowych jajek i porządnej mąki bez pestycydów czy innych chemikaliów – z czym nasi przodkowie nie musieli się mierzyć. Mieli swoje kury i zagonki pszenicy, a także żarna.

Ale gdy już się uporamy z problemem jaj i mąki, proponuję przypomnieć sobie przepis na drożdżowe z lodówki, które nigdy nie zawodzi. Pisałam o nim dawno temu i zrobiło furorę.

Ciasto ma same zalety. Nie trzeba go wyrabiać, wystarczy odmierzyć składniki, wrzucić je do miski i wymieszać. Rośnie w nocy w lodówce, a dorasta już w piekarniku. Może być chlebem śniadaniowym, plackiem owocowym, można je też włożyć w foremkę do babki albo podzielić na małe porcje i zrobić muffinki.

W wariantcie podstawowym potrzebujemy pięć jaj, po szklance mleka, oleju i cukru, pięć szklanek mąki i małą kostkę drożdży. Wsypujemy wszystko do miski, rozkruszymy drożdże, mieszamy i odstawiamy na noc do lodówki. Rano wylewamy do formy. Jeśli wybraliśmy wariant placka – na wierzchu układamy owoce, posypujemy odrobinę gruboziarnistym cukrem i pieczemy w 170 st. (na początku w 150, drożdże jeszcze trochę poprawują i będzie pulchniejszy, potem podkręcamy temperaturę) ok. godziny. Do świąt mamy jeszcze trochę czasu, więc można potrenować. 

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Cztery drogi

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Może po prostu alfabetycznie. Betonka to stary trakt z betonowych płyt, prowadzący w głąb Parku Narodowego Ujście Warty i jego rozlewisk. Betonowe płyty nie brzmią romantycznie, ale są. Można tędy dojść np. do drewnianej chatowni albo po prostu iść. Jeżeli jest koniec zimy albo jesień, dookoła będziemy mieć dziesiątki lub setki tysięcy dzikich gęsi i żurawi. I sporo bielików. Chyba że Betonka będzie zalana, a cała okolica będzie wyglądała jak alaskańska tundra – co się zdarza.

Carska Droga. Przeprowadzona z wielkim trudem przez bagna dawna droga rokadowa, zbudowana na przełomie XIX i XX w., łącząca umocnienia wojskowe, w tym słynną twierdzę Osowiec. Dziś można podziwiać z niej łąki, mokradła i olsy Biebrzańskiego Parku Narodowego. Z auta – jadąc bardzo powoli, bo w każdej chwili na drogę może wyskoczyć łos – lub z roweru. Można też wykorzystać ją jako punkt startowy i podmokłą ścieżką pobrodzić na bagno Ławki lub łąkę dubeltów i batalionów obok leśniczówki Barwik.

Gościniec. Miał łączyć idealnie prostą, dwudziestokilometrową linią kościół w Janowie z kościołem w Biłgoraju. Nie udało się, droga minęła kościół biłgorajski, a projektujący ją inżynier nie mogąc, jak mówi legenda, znieść hańby, powiesił się. Niewątpliwie też nie udało się ujarzmić przyrody. Gościniec istnieje, przecina Lasy Janowskie, ale trudno o drogę bardziej grząską, bagienną i nie tylko całkowicie nieprzejezdną, lecz także nie do przebycia nawet pieszo po deszczach. Za to jej zalane wodą koleiny to znakomite siedliska larw ważek i kumaków nizinnych, preferujących dokładnie takie, okresowe, niewielkie zbiorniki.

Górny Plaj. To z kolei droga leśna, którą można dojść do schroniska na Markowych Szczawinach na północnych stokach Babiej Góry, np. startując z parkingu na przełęczy Krowiarki. Piękne widoki na Babią i Policę, stosunkowo łatwa trasa do drewnianego schroniska (chyba że jest oblodzona lub wieje wiatr – wówczas uwaga na wałace się drzewa) i możliwość podziwiania starych świerków, bardzo grubych jodeł i omszałych buków. Kto usłyszy stukanie dzięcioła, niech przybliży go lornetką – może to być dzięcioł trójpalczasty, mający rzeczywiście tylko trzy palce i żółtą czapeczkę. 

TechnoBiznes

2024



Konkursy Technologiczne

HIT ROKU 2024

produkty, rozwiązania i usługi skierowane do firm i instytucji

LIDER 2023

nowoczesne rozwiązania wdrożone w firmach i instytucjach

w kategoriach:

Gospodarka 4.0

**Ubezpieczenia i inne
usługi finansowe**

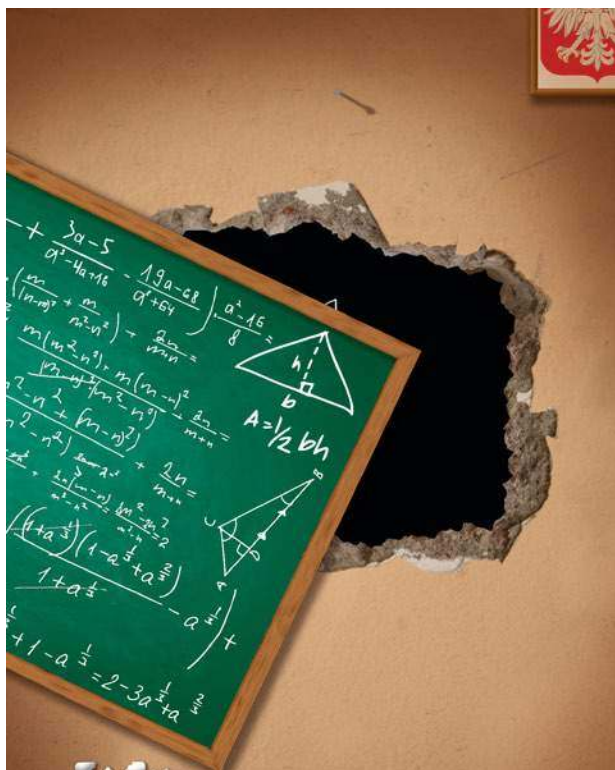
Bankowość

Zgłoszenia przyjmujemy w dniach **15.02–2.04.2024 r.**

Szczegóły na:

gb.pl/konkursy

Michał Korsun prezentuje:
Żegnaj, szkoło!



Wycinki z przeszłości

Oto piękna okładka magazynu „Naokoło Świata” z wiosny 1924 r. Kobieta za kierownicą symbolizuje postęp, a sam samochód bogactwo i luksus. Dostrzegamy też nową modę: „Do prostych, sportowych sukienek dostosowany jest ubiór głowy. Minęły czasy dużych kapeluszy, przytłaczających niejako całą postać i odpowiednich do fantazyjnej, powiewnej toalety. Dziś króluje w modzie mały kapelusik sportowy – zupełnie gładki albo układany w drobniutkie pliseczki, niczem nie przybrany, a w każdym razie minimalnie. Prócz tego toki, tricorny, bojerka, kłoz – wszystkie małych rozmiarów, prawie nie zmieniającego naturalnego kształtu główki. Najbardziej używanym materiałem na kapelusze jest crêpe georgette. Ostatnim wyrazem mody są małe kapelusiki filcowe, robione męskim krojem, noszone w nawet największe upały”.

Przyznajmy – zmiana w porównaniu z 1914 r. radykalna. Wojna bezpowrotnie obaliła stary świat.

(mk)

Festiwal leszczynowy



Leszek Długosz

Jeśli pamiętacie, luty 1982 r. to był bardzo mroźny czas, ale leszczyna wypełniała swoje zadania.

Luty 82

Choć dzień w kagańcu zimy jeszcze

Szaleje terror nocą

Funkcjonariusze mrozu – chociaż

O świcie i pod wieczór

Ścigają każdy ślad odwilży

Ale w południe, spójrzcie

Nie da się już ukryć

– Te pojedyncze krople strużki

Jak się jednoczą

Po cichu jak się dogadują

Jawnie rwą potoki

– Nie da się zagłuszyć

– Słuchajcie południowej strony dachów

Jaka już stamtąd płynna

Wiarygodna mowa

Czujecie, co donosi powietrze?

– Nawet odległych pól prowincje

Najściślej pilnowane rezerwy

Całymi polaciami podbiegają

Wodnistym kolorem zwątpienia

– To runie. Runąć musi

Bo nie umarła

Pod powierzchnią ziemi – zieleń

Obudzi się i ruszy...

Bądź pozdrowiona więc, Leszczyno Krucha

Patronko pierwszej linii

Najśmielsza rewolucjonistko

Emisariuszko szalona

Ty która pierwsza

– Gdy las w okowach jeszcze

– Śniegi kopne w polach

Ty która z nagą chorągiewką kwiatu

Pierwsza na zwiad ruszasz...

– Bądź pozdrowiona

Topnieje serce na widok takiej wiary.

Zamów prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	109 zł	189 zł	349 zł

* Dane do przewzru w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Od parobka do parobka

To pewnie nie jest zwyczaj felietonowy, ale nawet w sprawach prostych lubimy zaglądać do źródeł. W tym przypadku zaczynamy od Słownika Języka Polskiego PWN. Wpisujemy hasło: „parobek”. Potem czytamy: „Najemny robotnik rolny, pracujący dawniej w gospodarstwach bogatych chłopów i w folwarkach; też: służący we dworze lub w karczmie”. Słownik podaje, że przy użyciu pogardliwym parobek znaczy „ślugus, pacholek”.

Wiadomo, że parobkowie często pracowali za marne wynagrodzenie, a nawet za darmo. Inne słowniki podają takie przykładowe użycia słowa parobek: „Najęła parobków, obsiała pole, dokupiła krów i kilka świń” albo „Nawet nie zauważyłeś, jak zrobił z ciebie swojego parobka”.

„ŻYJCIE NA WŁASNYCH WARUNKACH”...

...to umieszczone na okładce „Tygodnika Powszechnego” zalecenie piosenkarki Renaty Przemyk zapowiada wywiad z artystką. Dola parobką jest przeciwieństwem tego, co, podążając za taką poradą, można dostać od życia.

Wywiad jest ciekawy i poruszający. Przemyk zapamiętała z domu rodzinnego rażące nierówności między kobietami i mężczyznami. Kobiety były zawsze na przegranej pozycji.

„Gdy dziadek owdowiał, szybko ożenił się z nową kobietą, która urodziła mu kolejne dzieci. A tę trójkę z pierwszego małżeństwa oddał na służbę. Za parobków, do obcych ludzi. Babka Małgorzata [...] wypasała gęsi. Pewnie miała 3–4 lata nie więcej. Jak miała 10 lat, poszła w odwiedzin do ojca mieszkającego w tej samej wsi. A on do niej od progu: »Po coś przyszła? Idź mi stąd«”.

Dwie strony wywiadu dalej artystka mówi: „Jestem matką wypychającą na zewnątrz. Odwrotnością kwoki”. Obok bliskości z matką córka ma poczuć, „jaka siła może płynąć z kobiecości”. „Mówię: »Córcia, pocuj ten wiatr we włosach«”.



*W dzisiejszym świecie
można być ślugusem mody,
ideologii albo władców
algorytmów. Wiele
osób już od wczesnego
dzieciństwa to parobki tego
wszystkiego naraz*

„NA ZEWNĄTRZ MGŁA”

To cytat z innej piosenki wykonawcy całkiem innych klimatów niż Renata Przemyk. A jaką mgłą „na zewnątrz”, tzn. w świecie, który nas otacza, dostrzegają socjologowie? Jak ją interpretują?

Idzie o mgłę dezorientacji, coraz powszechniejszej w pełnej sprzeczności dzisiejszej kulturze. O utratę *zdolności odróżniania* prawdy od fałszu; tego, co ważne, od tego, co nieistotne; człowieka od bota; pilnego od niepilnego; przyjaciela od wroga; wreszcie – i przede wszystkim – dobra od zła. Jak to wszystko robić, surfuując po oceanie dezinformacji, w warunkach ciągłego infooprzeczenia i pod presją sztucznie wymuszanej pilności zadań?

ALGORYTMY, ALGORYTMY

Ale jest jeszcze jedna warstwa mgły. Naszą ciekawością i wyobraźnią kierują algorytmy Facebooka, Instagrama, Google’a, YouTube’a, TikToka. Algorytmy, które niewiele osób rozumie, a jeszcze mniej nad nimi panuje. Jednak są tacy, którzy czynią to dość skutecznie. Np. cyberpanowie, głównie z Doliny Krzemowej, opisani w książce „Cyber kontra real: Cywilizacja w techno-pułapce”.

Tanieświadomość, że bodaj wszyscy korzystający dziś ze smartfonów są w mniejszym lub większym stopniu cyberparobkami, powoduje, że siła cyfrowych uzależnień jest tak wielka.

W dzisiejszym świecie można być ślugusem mody, ideologii albo władców algorytmów. Wiele osób już od wczesnego dzieciństwa to parobki tego wszystkiego naraz: głupich mód, pokręconych ideologii, a także cyfrowych uzależnień. Ci, którzy, przewijając niekończące się strony portali, tu i tam klikając w reklamy, gorliwie obsługują interesy panów, których nie tylko nigdy nie zobaczą na własne oczy, lecz także o których istnieniu większość nie ma najmniejszego pojęcia. Tak samo jak przez myśl im nie przyjdzie, że oto sami zajmują się na parobków.

IRONIA HISTORII

Gdzie w cyfrowym świecie miejsce na „własne warunki”, o których z takim przekonaniem mówi Renata Przemyk? To brzmi jak perfidny żart historii: gdy dzięki rozwojowi technologii ciężka fizyczna praca parobków została wyeliminowana w wielu częściach naszej planety, w rolę wiejskich bogaczy-wyzyskiwaczy weszli właściciele wielkich korporacji. Często sprytnie kryjacy się za mglistą narracją *społecznej odpowiedzialności biznesu*.

Dobrze by było, aby ta ironia historii została głębiej odczytana przez nas wszystkich.

**Katarzyna i Andrzej
Zybertowiczowie**

NOWA TELEWIZJA

W POLSCE PL

POLITYKA NA DESER



CODZIENNIE O 20:35

Wydarzenia dnia komentują
dla Państwa znani i lubiani:

- Dorota Łosiewicz
- Krzysztof Feusette
- Stanisław Janecki

OGLĄDAJ NAS

polsat box
wcześniej Cyfrowy Polsat

NA POZYCJI

196

N E T I A

NA POZYCJI

192



NA POZYCJI

32

vectra

NA POZYCJI

825

PLAY
dawniej UPC

NA POZYCJACH

339

dekoder
Mediabox

121

dekodery
KAON i Horizon

www.wPolsce.pl

eprasa.pl e2cd3bea29



26 lutego w tygodniku **SIECI**

dodatek patriotyczny z okazji Narodowego Dnia Żołnierzy Wyklętych

- Bohaterowie warci monumentów – historia ppłk. Ludwika Marszałka ps. Zbroja
- 1963 metry razem dla Niezłomnych – 11. edycja biegu „Tropem Wilczym”
- Czy wraz z nową władzą nadszedł zły czas dla Żołnierzy Wyklętych?
– rozmowa z dr. hab. Grzegorzem Berendtem, dyrektorem Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku

Fot. Archiwum IPN

PARTNERZY DODATKU:

